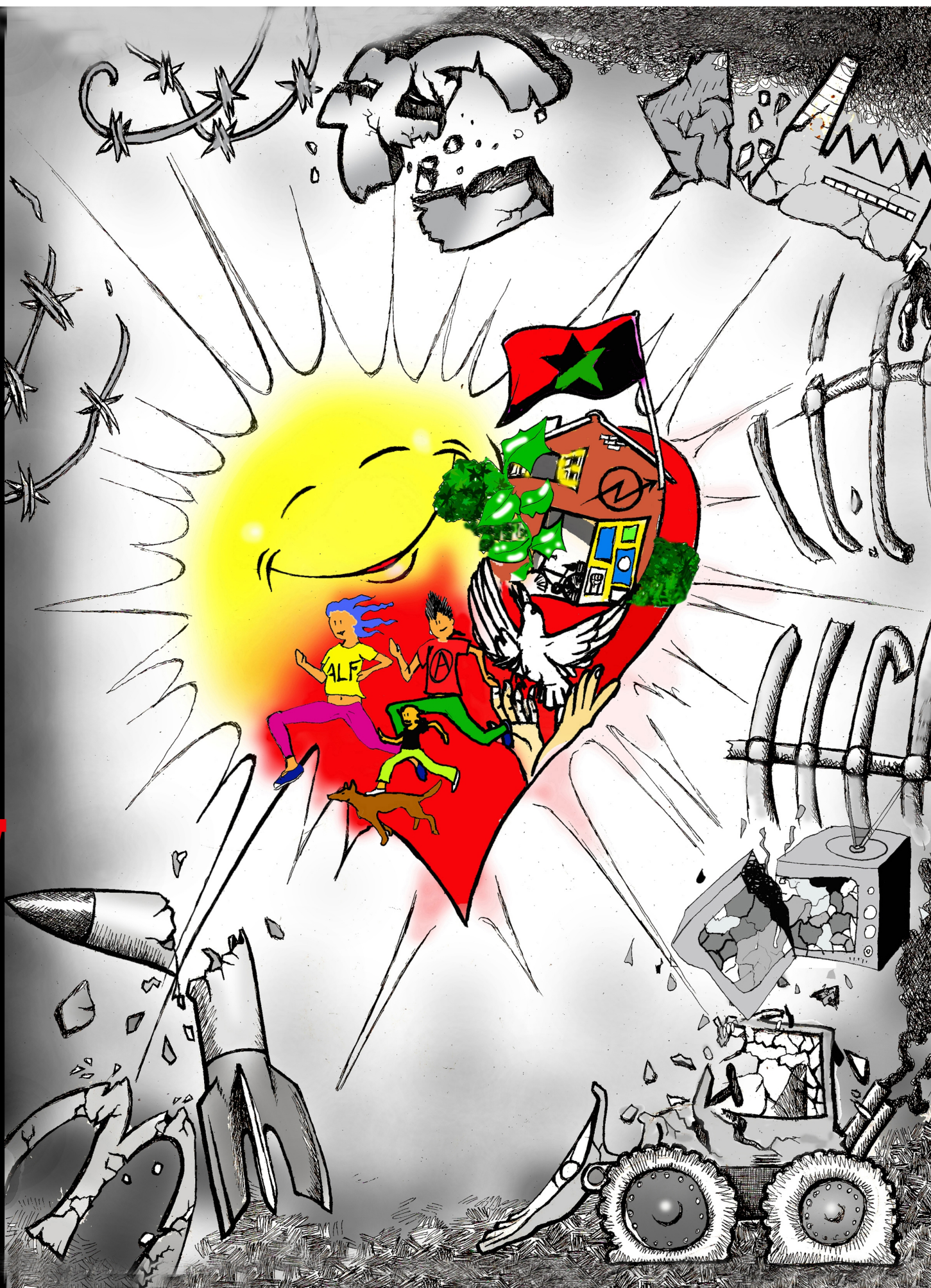


LOS BUNTOWNIKA



Marek Griks

okładka: <http://vegangrafik.blogspot.com>

Dedykowane młodym ludziom by nie ustawiali w poszukiwaniu własnej drogi, by nie bali się być inni, by wierzyli, że musi być lepiej, by walczyli o swój własny szczęśliwy świat.

Podziękowania : RODZINA, Miercin Glutek, Daria Dubiela, Małgorzata Bordko, Beata, drukarnia Stencil, księgarnia Fort van Sjakoo, vegangrafik.blogspot.com, stronom pl.indymedia.org, cia.bzzz.net, anarchista.org, anarchipelag.wordpress.com, czsz.bzzz.net, wszystkim innym, którzy wystąpili w tej książce i którzy przyczynili się do jej wydania.

Wydawnictwo POLONIA AKTYWNA 2010 Amsterdam

Spis Treści

| | |
|---|----|
| Wstęp ostateczny..... | 2 |
| WSTĘP FILOZOFICZNY..... | 3 |
| Pierwsza Akcja Bezpośrednia | 6 |
| Demonstracja pod McDonalodem..... | 8 |
| Kara za wolność..... | 11 |
| POCZĄTEK KAPELI ZBUNTOWANI..... | 15 |
| PAPRYKA RATUJE MI ŻYCIE..... | 17 |
| Skłoting w Polsce w latach 1998-2000..... | 18 |
| Brutalny napad policji..... | 18 |
| POCZĄTKI SPOKOCHATY..... | 26 |
| FOOD NOT BOMBS..... | 27 |
| POŻAR W SPOKOCHACIE..... | 33 |
| NARODZINY SZCZENIAKÓW..... | 34 |
| STRASZNA PODRÓŻ..... | 40 |
| PIERWSZE SKŁOTOWANIE W AMSTERDAMIE..... | 45 |
| OBRONA SKŁOTU KALENDERPANDEN..... | 48 |
| HOLENDERSKI PAŃSTWOWY RASIZM..... | 54 |
| ZJEDNOCZONA EUROPA – FASZYSTOWSKA GRANICA..... | 77 |
| PROJEKCJA NA FABRYCE..... | 81 |
| PSY SKŁOTERSKIE NAJMĄDRZEJSZE – PSY SKŁOTERSKIE NAJWIERNIEJSZE..... | 83 |
| KLINIKA DLA NIELEGALNYCH | 86 |
| Rainbow festiwal..... | 93 |
| Miłość..... | 96 |

Wstęp ostateczny.

Napisałem już „wstępik”, w którym wytłumaczyłem me błędy i zachęciłem do krytyki. Napisałem także „wstęp filozoficzny”, w którym opisałem motywy powstania tej książki. Przyrównyując je do powodów także mej innej działalności. Przyszedł czas by napisać „wstęp ostateczny” tuż przed wydaniem książki. Opowiem w nim pokrótce o czym jest książka „Los Buntownika” i co chciałbym przez nią wyrazić.

To książka pisana od czasu do czasu przez okres ponad dziesięciu lat. Taki przygodowy pamiętnik. Opisuje migrację z małych Siedlec do dużej Warszawy, a potem do holenderskiego Amsterdamu. Opisuje też „migrację” z zbuntowanego, czasem pijanego punka do świadomego, trzeźwo myślącego ojca, ekologu i aktywisty. Od błędów młodości poprzez często bolesne doświadczenia, przygoda po przygodzie obnażam swe życie, opisuję moją drogę, która czasami po wybojach zaprowadziła mnie aż tutaj. Szczerze do bólu opisuję nawet najgorsze błędy z obawą, że niektórzy mogą się śmiać lub zbyt boleśnie skrytykować. Wierzę jednak, że mnie zrozumiecie, iż dostrzeżecie, co chciałem przedstawić Wam swoją postawą. Teraz jestem dumny z tego, gdzie dotarłem. Nie doszedłbym nigdzie gdybym nie odważył się popełniać pomyłek. To takie usprawiedliwienie samego siebie (ha!)

„Los Buntownika” przedstawia prawdę taką jaką widzę w danym momencie. Jest to książka anty systemowa. Nie mieści się w szufladki ludzkich postaw oraz jakichkolwiek „izmów.” Przez to uczy tolerancji każdego kto po nią sięgnie. „Los Buntownika” ma dobre intencje. Poprzez opisywanie prawdy ma nadzieję wzbudzić w czytelnikach refleksję i zmianę swego życia na lepsze. Poprzez opisy momentów i miejsc pięknych, poprzez zapierające dech w piersiach przygody często pełne przemocy policji i brutalności państwa, czy rasizmu europejskiego staram się obudzić Was z letargu byście otworzyli swe oczy i tym razem inaczej spojrzeli na świat. To jedna z moich cegiełek w jego ulepszanie. Ktoś kiedyś zauważył, że dzisiejsza młodzież nie ma autorytetów. Tą książką chciałem zachęcić młodych ludzi by zawsze byli sobą, nie bali się żyć ciekawie, zawsze starali się być dobrymi. Co prawda czasami było ciężko jednak w ten sposób osiągnąłem szczęście i niczego nie żałuję. Tym wstępem otwieram tę książkę „Los Buntownika”, a zarazem zamykam jakże ciekawy okres w mym życiu.

Pisanie kontynuuję w książce „Życie Aktywisty”, która chyba tak jak me życie jest bardziej dojrzała, filozoficzna, świadoma, szczęśliwa i pozytywna. Już dziś zapraszam do czytania fragmentów na naszych stronach www.positi.blogspot.com, gdzie także możecie pooglądać nasze filmy, plakaty, gdzie możecie posłuchać naszego radia + masa innych już nie naszych wiadomości na tematy dla nas ważne w miarę możliwości jak najbardziej pozytywne.

Marek Griks

WSTĘP FILOZOFICZNY

Wstęp ten powstał po to, by wyjaśnić jakie przyczyny mną kierowały by napisać tę książkę. Uważam, że to bardzo ważne wiedzieć co właściwie ludzi pcha do działania.

Pierwszymi przyczynami, w zasadzie prawie wszystkiego, co staram się robić w życiu, a więc także napisania tej książki, jest chęć czynienia dobra, pragnienie zmieniania świata na lepsze, a także wola niesienia dobrej nowiny, czy jak to tam zwał. Myślę, że wiecie o co mi chodzi.

Bo jeśli chodzi o mój punk(t) widzenia to prawdziwe szczęście mamy dzięki czynieniu dobra. Znam to z doświadczenia, które postaram się przekazać również w tej książce. Najlepiej gdy dobro jest czyste, nieskażone, nie oczekujące na cokolwiek w zamian. Do tego ostatniego doszedłem dopiero ostatnio, a raczej wciąż jeszcze się tego uczę. Dla początkującego pisarza ciężko jest zrezygnować z zapłaty. Szczególnie, jeśli chce by pisanie stało się jego pracą.

Ciekawe jednak, że coś prowadzi mnie w ten sposób, że pierwsze wydanie fragmentów mej książki będzie drukowane za darmo. Uważam za duży sukces, że na początku, by wyczyścić, choć trochę me dobro z oczekiwań na coś w zamian, zrezygnowałem z budowania mojego Ego. W tym

celu zamiast długiego imienia i nazwiska na okładce będzie widniało tylko nieużywane na co dzień artystyczne pseudo.

Według odwiecznego prawa natury, wszystko, co dajemy w życiu potem do nas wraca. Nic w przyrodzie nie ginie. Za każdym razem gdy czynimy dobro dostajemy nagrodę właśnie tu i teraz, a nie tylko w obiecany niebie po śmierci. Może się to przejawiać w satysfakcji z wykonanego dobrego uczynku, dobrego samopoczucia, czy jeśli już bardziej materialnie patrząc, wdzięczności wspomóżonej osoby, czy też jej wynagrodzenia. Jednak nie powinniśmy się skupiać na tych dwóch ostatnich, materialnych, czy egocentrycznych przyczynach dobra, ponieważ „zanieczyszcza” wówczas intencje naszych działań. Lepiej by tym, co pcha nas do działania była miłość do wszystkiego, całej naszej planety, każdej żywej istoty, czy rośliny. Wybaczając nawet naszym wrogom – to właśnie tego uczy nas Jezus: kochać bezinteresownie wszystkich – to chyba istota wierzeń wszystkich dobrych ludzi. Każde nawet nasze najmniejsze dobre działanie, zmienia nas, a zarazem cały świat na lepsze. I nieprawdą jest to, co mówią niektórzy, „Po co się wysilać i tak świata nie zmienisz”, bo gdyby nie te starania dobrych ludzi może już dawno by nas tu nie było. „Nie zmienię świata?”. Co za bzdura? Wystarczy tylko spojrzeć na tych, co czynią dobro. Nawet gdy są najbiedniejsi pod względem materialnym oraz najbardziej kopani przez życie to i tak są szczęśliwsi niż ci bogaci i źli z całym swoim dostatkiem, a przy tym z frustracją oraz ciężkim bagażem na sumieniu. Dlatego też piszę tę książkę, by przekazać również to, czego i w jaki sposób życie mnie nauczyło. Moją receptą na szczęście jest czynić dobro. Być dobrym znaczy być szczęśliwym. Żyć szczęśliwym, znaczy żyć dobrym. I nie przejmujemy się, że ideały są nieosiągalne. Ważne, że do nich dążymy. Powtórzę za Buddą Gottamą „Nie poszukuj drogi do szczęścia, to szczęście jest drogą”. Dlatego nie ważne jest gdy ktoś mi powie, że anarchia jest utopią. Nawet jeśli raj na ziemi nie istnieje to i tak warto o niego walczyć.

Jako autor tej książki mam ambicję, by stała się ona punkową rewolucją w literaturze, by pokazać, że każdy może pisać i powinien to robić, jeśli ma cokolwiek ciekawego do przekazania. Niech pisanie odżyje jako głos dobrej nowiny. Niech stanie się naszą bronią przeciwko złemu światu. Nie każdego stać na komputer, czy kamerę zaś długopis, czy coś do pisania to chyba nie problem nawet w krajach trzeciego świata (choć tam niestety problemem mogą być wciąż umiejętności). Przez tę książkę chcę zachęcić wszystkich do wylewania swych myśli na papier i wydawania ich na każdy możliwy sposób. Nie zostawiamy literatury tylko tym, którzy ukończyli po 10 fakultetów polonistyki i językoznawstwa, bo często (mam nadzieję, że nie zawsze) są oni tak już wpasowani w system, że pisanie o dobrych rzeczach już ich mało interesuje. Poza tym ich życie często (mam nadzieję, że nie zawsze) stało się tak nudne, że cóż ciekawego mogą napisać? Nic dziwnego, iż proszą dobrzy ludzie przestają sięgać po książki.

Przepraszam za tą moją, może nie do końca miłą nagonkę, ale musiałem jakoś usprawiedliwić swój prosty styl pisanie. Tak naprawdę to ja bardzo szanuję studentów, szczególnie tych, którzy oparli się długiemu wpasowywaniu ich do systemu i mimo wszystko pozostali sobą.

„Ocalić od zapomnienia”. Wspomnienia są tak ważne w moim życiu, że staram się je utrwaląć na każde z możliwych mi sposobów. To właśnie dlatego często ściany moich skłotów zdobią zdjęcia, plakaty z różnych akcji i imprez. Dlatego też tak bardzo zafascynowało mnie filmowanie wszystkiego, co się dookoła dzieje, dokumentowanie w ten sposób życia mego, moich przyjaciół, Amsterdamu, ruchu skłoterskiego etc. Zbieram wszelkie niezależne gazety wydawnictwa ulotki, plakaty itp. (mam cichą nadzieję, że może kiedyś na jakimś ze skłotów będę miał możliwość zorganizowania muzeum skłotingu). Dlatego też pisana jest ta książka. By przelać na papier te wszystkie przeżycia i jeszcze raz dać im odżyć gdy po raz kolejny będzie ona czytana. Także by uchwycić ten proces wiecznej przemiany w samym sobie. Bo musisz wiedzieć mój czytelniku, że niektóre rzeczy w tej książce napisałbym inaczej, niektórych bym w ogóle nie pisał, a niektórych to może nawet teraz się trochę wstydzę. Jednak publikuję je mimo wszystko, bo przecież człowiek całe życie się uczy i warto utrwalić jakoś ten proces, chociażby dlatego by coś z tych błędów wyciągnąć, a nie o nich zapominać. Wspomnienia są jedną z niewielu rzeczy, które kolekcjonuję.

Są one bardzo ważne w moim życiu. Nie jest to może do końca dobre, ale taki już (jeszcze) jestem. Są dla mnie jedyną rzeczą w życiu, którą warto zbierać, której nikt nam nigdy nie zabierze, która zawsze będzie z nami. Gdy wszystko przeminie, zostaną wspomnienia, które będą stale nam przypominać, że się to życie przeżyło. I choć czasem ciężko było, czasem nawet okrutnie, to potem jest przynajmniej co wspominać i nie zamieniłbym tych wspomnień na żadne wygody i skarby tego świata.

Żyj ciekawie + żyj dobrze = żyj szczęśliwie.

Jedyna historia w jaką wierzę to ta, którą przeżyłem.

Piszę książkę, bo mnie to cieszy. Raduje mnie to, bo czuję, iż jest to jakiś sposób na zmienienie tego świata na lepsze. Czynienie dobra jest moim motorem, jest źródłem radości w moim życiu.

Kocham moją córkę i moją kobietę, bo czuję że to jest dobre. Spełniam się gdy daję im całego siebie i staram się by moja miłość była jak najlepsza i jak najczystsza. Staram się dać im szczęście i dzięki temu otrzymuję szczęście. Te dwie istoty są najważniejsze w moim życiu. Całą resztę staram się robić dla nich, a przez to także oczywiście dla ludzi, zwierząt, roślin i całego świata. Z miłości, z potrzeby czynienia dobra leczymy, filmujemy, pomagamy w skłotowaniach, by ludzie mieli, gdzie mieszkać, chodzimy na demonstracje, akcje, sadzimy drzewa, staramy się żyć ekologicznie, robimy program w radiu, by o tym wszystkim opowiedzieć. Cieszy mnie to wszystko, bo czuję, iż jest to dobre, a że moje życie, chociaż czasem trudne, to i tak uważam, że jest dużo bardziej wartościowe niż tych, co uczestniczą w wyścigu szczurów po pieniądze.

Czasem wyobrażam sobie niebo jako miejsce, gdzie będę miał czas na robienie tych wszystkich rzeczy, na których teraz nie mam czasu. Robię tyle rzeczy na raz, tak jak z tą książką, że ciężko przychodzi mi je skończyć. W głowie mam tyle fajnych projektów, pomysłów, że niestety czasem muszę być wybiórczy i zrezygnować z niektórych. Często nie mam czasu na doskonalenie mych „dzieł” jak np. tej książki. Na szczęście nie jestem perfekcjonistą i jestem dumny z tego, co stworzyłem takim jakim jest. Na poprawianie błędów tej książki znajdę czas pisząc następną, którą z kolei poprawiać będę w następnej, i tak dalej, i tak dalej. Tutaj nie mam czasu, bo to nie niebo, a tylko ziemia. Nie mam czasu, bo zawsze staram się mieć czas dla moich najbliższych, później dla ludzi, zwierząt, dla Matki ziemi...

Mógłbym rzec, że nie mam czasu dla siebie, ale to nieprawda, bo przecież gdy pomagam innym zapracowuję na moje, nasze szczęście tu i teraz.

Niczym w niebie czuję się w porównaniu do tych snobów, którzy żyją w iluzji, że jak zapłacą za nowy samochód, za piękny dom, „miłość”, wakacje na Kanarach, skok na bandzi, czy heroinę to ich życie stanie się bardziej interesujące, czy lepsze. To tylko iluzja, ułuda, bo tak naprawdę szczęścia kupić się nie da. Gdy próbujemy zastąpić je dobrami materialnymi po chwili sztucznego zachwyty, ekstazy, nadchodzi pustka, którą znowu ślepo staramy się wypełnić. Błędne koło uzależnienia toczy się dalej i po raz kolejny wypełniamy ją krótką ułudą. Poszukujemy coraz to mocniejszych wrażeń pogłębiając się coraz bardziej w bagno niespełnienia. W ten sposób skupieni na zaspokajaniu swego ego, zamiast uzyskania szczęścia, pogłęwiamy jedynie naszą frustrację. Ja za darmo czyniąc dobro otrzymuję tyle atrakcji i szczęścia, że nie muszę ich „kupować”. Taką drogę wybrałem i jestem na niej szczęśliwy, dlatego też poprzez tę książkę staram się Wam pomóc w (jak mi się wydaje) dobrym wyborze dla nas wszystkich.

Kolejnym powodem, dla którego piszę jest promowanie kultury, w której po części się wychowałem. Jest ona tak różnorodna, że nie da się jej określić jednym słowem. Niektórzy nazywają ją punkową subkulturą, inni sceną niezależną, albo ruchem skłoterskim, czy anarchistycznym, lub też po prostu wolną społecznością. Jakkolwiek by to zwał jest to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie mnie w życiu spotkały i jestem bardzo szczęśliwy, że mimo odmienności i trudności wszedłem w to i do dziś w tym stoję dobrze się z tym czując. Nie wszystko opiera się tu na pieniądzach, czy własności. Są tu wartości większe niż chciwość, zazdrość i chęć posiadania, które to chcą zawładnąć światem (dlatego może coraz bliżej do zagłady). Te wartości to

prawdziwa miłość, prawdziwa równość, prawdziwa wolność, (które razem tworzą prawdziwą anarchię), które należy ludziom pokazywać, przekazywać, uczyć i walczyć o nie na wszelkie możliwe sposoby. Ta książka jest właśnie jednym z moich kroków do lepszego świata dla nas, dla naszych dzieci, dla wszystkich.

Ruch skłoterski to społeczność, w której wybrałem swe życie, z którą się utożsamiam i z której jestem dumny. Nie jestem Polakiem, jestem Skłotersem. Nie jest to raj, ale dla mnie jest to zdecydowanie krok w tym kierunku. Oczywiście jest w tym ruchu wielu „typów spod ciemnej gwiazdy”, którzy skłoty wykorzystują do mieszkania za darmo, jako pogłębienie swojego lenistwa i imprezowania. Są nawet tacy, którzy na uczestnictwie w skłotingu robią pieniądze, władzę, czy ciężkie narkotyki. Nie o nich tutaj mówię, bo oni tylko ten ruch spowalniają i przynoszą mu najczęściej złe imię i wstyd. Chcę pisać, mówić tu o tych marzycielach, którzy to postanowili pokazać wszystkim, że potrafią budować własną anarchię, że w garstce podobnie myślących ludzi znaleźli rodzinę, która sobie bardziej ceni walkę o lepszy świat, robienie dobrych rzeczy, życie razem, niż udział w wyścigu gromadzenia. To właśnie o tych skłotersach chcę pisać. O tych, którzy porzucili wygody normalnego życia, by dać innym przykład, iż można żyć inaczej i że to właśnie czynienie dobra czyni nas naprawdę szczęśliwymi. Ta książka ma również za cel szerzenie tego przykładu.

Dopóki wciąż istnieje nadzieja na uratowanie świata, póki dobrzy ludzie jeszcze żyją, dopóki nie wszystko jest opanowane przez pieniądź, dopóki istnieją wolne społeczności, dopóty trzeba o to wszystko walczyć. Jeszcze świat nie zginął póki my żyjemy. Może wreszcie ludzie się opamiętają i przejrzą na oczy. Mam nadzieję, iż ta książka im, Wam w tym pomoże.

Czy wiesz, że za każdym razem, gdy kupujesz coś, czego tak naprawdę wcale nie potrzebujesz, sprzedajesz samego siebie?!!

Pierwsza Akcja Bezpośrednia

Za ulicą na której mieszkałem, jakieś nie całe sto metrów od nas rósł rząd pięknych, starych wierzb i buków. Niektóre były tak wysokie, prawie jak nasze czteropiętrowe bloki. Kiedyś były one dla nas niczym drugi dom. Codziennie po budzie, gdy tylko przyszedł czas latania po dworze, szliśmy na nasze drzewa spędzać tam czas na różnych ciekawych zabawach. Były one naszą bazą, ostoją, gdzie czuliśmy się bezpiecznie, beztrosko, a czasami nawet bezkarnie. Gdy byliśmy na górze tylko od nas zależało, czy damy tam komuś wejść, czy też depcząc mu po palcach mu to uniemożliwimy. Z wysokości mogliśmy obserwować całą okolicę sami pozostając nie zauważeni. Rzadko kto spogląda do góry by obejrzeć drzewa. Poza tym na wysokości 3 – 4 – go piętra całkiem nieźle zasłaniały nas liście. Zawsze musieliśmy być ostrożni, bo jeśli ktoś by spadł, wtedy byłaby tragedia.

Któregoś dnia między naszymi blokami, a naszymi drzewami robotnicy zaczęli robić szeroką, czteropasmową ulicę. Robili przy tym dużo hałasu i rozkopali teren. Ogólnie nikomu z nas się to nie podobało, ale nikt nas o zdanie nie pytał. Zamiast fajnych terenów do zabawy jakiś debil zafundował nam hałaśliwą, śmierdzącą i niebezpieczną ulicę.

Któregoś dnia wracając z budy zobaczyliśmy coś, co nas bardzo oburzyło.

- Kur...a! Patrzcie! Nie ma tego grubego drzewa! Pierwszy zauważył Kozik.

- Wycieli je sku...yny ! - Stwierdził Loleks.

- Jak oni mogli wyciąć tak stare drzewo ? Przecież to zabytek przyrody ! Nie mają szacunku ? - mówiłem oburzony.

- Zabytki przyrody mają zielone tabliczki. - poinformował Kozik, co skwitowałem:

- Eee tam tabliczki. Takich drzew jak tamto nie ma za wiele. Widziałeś kiedyś takie grube drzewo ?

- Może było chore ? Pamiętacie ? Przecież jedna gałąź była spruchniała.

- No.

- A chore drzewa się wycina. – Kozik naprawdę wierzył że dorośli mieli rację.

- Ono nie było całe chore, a miało tylko jedną chorą gałąź. Nie zabija się człowieka gdy skaleczył się w palec lecz się go leczy, tak jak to drzewo. - wytłumaczyłem mu jak tylko mogłem najlepiej, co skwitował w końcu:

- Eee tam, ja to się na tym nie znam.

- Wiecie co ? Mi to się wydaje, że to drzewo wycieli dlatego, bo budują tę przekłętą ulicę - stwierdził poważnie Loleks.

- No co ty ? Przecież to drzewo stoi tutaj, a ulica ma biec tamtędy.- nie dowierzał Kozik.

- A ja myślę, że to całkiem możliwe. Z niektórymi dorosłymi to nigdy nic nie wiadomo. Zawsze coś im może przeszkadzać.

- No żeby tylko naszych nie ruszyli. - wyraziłem obawę

- No ! - Loleks uniósł pięść i dopowiedzieliśmy jeden przez drugiego:

- Niech tylko spróbują !! - Kozik na potwierdzenie rzucił kamieniem w kierunku spychaczy.

Złość ogarniała nas już na samą myśl o zniszczeniu naszych drzew przez maszyny. Tak byliśmy do nich przywiązani. Tak bardzo ważna była to część naszego podwórka. Baza. Miejsce, gdzie tylko my mogliśmy wejść, gdzie mogliśmy siedzieć niezauważeni, sami mając na oku cały teren. Było to jedno z ostatnich miejsc, gdzie tak bardzo czuliśmy kontakt z przyrodą. Dlatego też nie wracaliśmy do domów w dobrych humorach. Ogarnęły nas obawy o nasze miejsce.

- Ja nie wiem, po co oni budują tę ulicę? - wyraziłem swe zdenerwowanie.

- No. Teraz nasi rodzice pewnie będą nam pozwalać się bawić tylko do ulicy. - zauważył Loleks.

- I tak będziemy wychodzić.- stwierdził Kozik, a my potwierdziliśmy.

- No pewnie, że będziemy.

- Tylko hałas przez robienie tej ulicy.

- Nawet wyspać się dobrze nie można.

- I tak będzie jeszcze przez pół roku.

- Albo jeszcze dłużej.

- Nigdy nic nie wiadomo. - w takich nastrojach wracaliśmy do domów. W duchu przeczuwaliśmy to najgorsze : że jednak nam wytną nasze drzewa. I tak też się niestety stało. Któregoś dnia wracając ze szkoły w miejscu, gdzie stało najdorodniejsze z nich, zobaczyliśmy pustkę, a na ziemi pocięty już martwy pień.

- Sku...e ! - nasz krótki komentarz doskonale wyrażał naszą złość, rozczarowanie i gniew nas, młodych ludzi skierowany na dorosłych, którzy nie pytając nikogo o zgodę zniszczyli coś, co tworzyło się jeszcze za nim oni się urodzili. Tego piękna natury nie zastąpi żadna pie...na ulica, choćby nie wiem jak tłumaczyli, iż jest im potrzebna. Nie jednemu z nas zakręciły się łzy w oczach. To co nastąpiło potem wyszło zupełnie samo z siebie. Wogóle tego nie planowaliśmy. Ekologia i jakiejkolwiek działania z nią związane były jeszcze mniej popularne niż teraz. O punku wówczas też jeszcze nic nie słyszeliśmy, więc kto tam mógł wiedzieć o jakiejkolwiek akcji bezpośredniej. Wypłynęło to prosto z naszych serc, z naszej złości i chęci zemsty, odegrania się na mordercach drzew, jak ich nazywaliśmy. Nie było w tym żadnej ideologii. Zrobiliśmy tak, bo tak czuliśmy, że tak właśnie trzeba. Było to szczere, impulsywne działanie młodych dzieciaków. Kozik nie mógł dzisiaj wyjść na dwór, więc bawiliśmy się dzisiaj tylko ja i Loleks. Najpierw bawiliśmy się w piasku przyszykowanym pod budowę ulicy, lecz gdy zapadł zmrok do głów wpadł nam dobry pomysł :

- Ty, Loleks. Patrz tam stoi spychacz, który rozwalił nam nasze drzewo !

- Tak ?! To ten na pewno.

- Tak ten. Buli nie był dzisiaj na dwóch pierwszych lekcjach i widział jak te drzewo rozwalali.

- No. Przecież od niego dowiedzieliśmy się , że je zniszczyli.

- No, tak.

- Zresztą, nawet jak to nie ten sam, to przecież on też jest ich własnością. On też robi tę ich przekłętą ulicę.

- No, prawda.

- To chodźmy najpierw go obejrzymy - po czym podeszliśmy jak, gdyby nigdy nic i zaczęliśmy oglądać spychacz. Zastanawialiśmy się jakby go tu zepsuć.
- Widzisz tę rurę wydechową na masce ? -zapytał Loleks
- No, ślepy nie jestem.
- Jak nasypujemy do niej piachu, to będą musieli rozkręcać cały silnik i bardzo ciężko będzie im go uruchomić z powrotem.
- Ty, może poczekamy jeszcze trochę aż się bardziej ściemni ? - zaproponowałem.
- Nie, no co Ty ? Zaraz matki będą nas wołać do domów.
- Musimy się śpieszyć - ponagliłem i z uporem oraz zapalem młodych łobuziaków zabraliśmy się do psucia. Piachu nasypaliśmy, gdzie się tylko dało. Gdy tak beztrząsoko dokonywaliśmy dzieła zniszczenia podbiegli do nas starsi koledzy i od razu zobaczyli co jest grane.
- Ty, Królik. Pa, małolaty spychacz psują!
- Uuuu ! Teraz to będziecie mieli przerypane !
- Nie wiecie, kur..., że mój stary pracuje w tej firmie ?
- No, a teraz się o wszystkim dowie, Ha ha ha !
- Chyba nie będziecie kapusiami? - zaczął wątpić w ich słowa Loleks.
- Jednocześnie była to inteligentna prośba, by nas nie wkopywali. Ślepy jednak dalej próbował nas zastraszyć.
- A co Ty se wyobrażasz, że będziesz psuł w mojego ojca firmie spychacz, a potem mój stary będzie mniej przez Ciebie zarabiał, a Ty se będziesz dalej psuł. - gorzej jeśli mówił to serio.
- Ja to na waszym miejscu to bym zaraz ten piach z powrotem wybierał. - powiedział Królik i obaj czmychnęli tak szybko jak się pojawili.
- Co myślisz, że poskarżą ? - zapytałem z obawą.
- Nie, no co Ty ! Znam Ślepego. Nie jest kapusiem.
- Ja nie wiem. Mam nadzieję.
- Ściemnia się. Wracajmy do domów. Co tam będziemy się martwić na zapas. - pocieszył Loleks i poszliśmy zmęczeni naszą akcją.
- Następnego dnia spychacza zabrała ciężarówka, a drzewa mogły dalej rosnąć. Szkoda, iż tylko dwa dni dłużej, bo wkrótce pojawił się drugi spychacz. My jednak byliśmy dumni nawet z tych dwóch krótkich dni. Najważniejsze było to, że oni też musieli zapłacić słoną cenę za zniszczenie naszych drzew. Następnym razem mieliśmy nadzieję, że zauważą, iż destrukcja przyrody nie wszystkim się podoba i może kosztować więcej niż się to z początku wydaje.
- Dzień po naszej akcji gdy wracaliśmy ze szkoły Loleksa zaczęli robotol.
- Mam cię. To ty zepsułeś spychacz ?!
- Jaki spychacz ?! Panie, odczep się pan ! - udawał zdziwionego Loleks.
- Ślady twoich korków są wszędzie wokół spychacza. Nie wyprzesz się.
- Panie, teraz w korkach chodzi co drugi piłkarz. U nas w bloku nawet Pawłowski też ma korki.
- Loleks wciskał kit robotnikowi o osobie, która nie istniała.
- A ten Pawłowski to kto ?
- A to taki trochę dziwny typ. Myślę, że on mógł nawet to zrobić.
- To powiesz mi jak będzie tędy przechodził. Dobra ?
- Dobra - odparł Loleks i wszystko na szczęście dobrze się skończyło.

Demonstracja pod McDonalidem

Nie był bym sobą gdybym w tej książce nie opisał przynajmniej jednej z demonstracji, na których byłem. Wyjść na ulice by zaprotestować, by zmanifestować swe zdanie i osiągnąć coś w ten sposób było i jest zawsze czymś co bardzo lubię i uważam za bardzo potrzebne w walce z zastaną rzeczywistością. Już od młodości udział w demonstracji był dla mnie ważniejszy niż dobra zabawa na koncertach. Jest tyle złych rzeczy na tym świecie, że jedną z ważnych dróg ich zwalczania jest właśnie wyjście na ulice by przekazać innym własne zdanie. „STOP. Mi się to nie

podoba. Nie zgadzam się ! Wysłuchaj mojego zdania i sam oceń, czy nie mam racji !” To właśnie tego typu działanie sprawiało, że zwykli ludzie po przeczytaniu transparentu, czy ulotki podchodzili do nas i mówili : „Macie rację.” Albo jeszcze lepiej przyłączali się do nas i krzyczeli razem z nami. To była zawsze niezła nagroda dla nas lub organizatorów. Poczuć, że nie jesteśmy sami w naszej walce o dobro tego świata. Nie najważniejsze było to, czy osiągnęliśmy jakieś namacalne cele ale ważne było to, że zawsze odnieśliśmy wygraną sami w sobie. Z czystym sumieniem mogliśmy sobie spojrzeć w twarz i powiedzieć : „Ja nie jestem obojętny na zło tego świata, nie siedziałem cicho, nie poddałem się bez walki.” Jednak jeśli dzięki naszej demonstracji udało osiągnąć się jakieś bardziej konkretne, bardziej namacalne cele, to wiercie mi: nic tak nie podbudowuje człowieka jak sukces z osiągniętego działania. Nic nie daje tyle satysfakcji i tyle radości z życia, co osiągnięcie celu poprzez swój bunt, swój sprzeciw, poprzez powiedzenie: „Stop ! Nie zgadzam się !” (przynajmniej ja, jako punk tak właśnie to czuję).

My demonstranci możemy być także dumni, że to właśnie my jesteśmy najszybszym i największym hamulcem zła w społeczeństwie. To my tworzymy kulturę obywatelskiego nieposłuszeństwa, to nas najbardziej boją się politycy i to my zatrzymujemy ich przed zrobieniem ze wszystkich stada potulnych owieczek. Właśnie dlatego tak bardzo marzą o zwiększeniu uprawnień policji, by ich lepiej broniła przed karą za ich złodziejstwa i ku...estwa. Wszyscy protestujący mogą być również dumni z tego, iż to oni są motorem napędzającym historię w kierunku dobra. To właśnie dzięki nim mamy ośmio, a nie szesnasto godzinny dzień pracy. To właśnie dzięki nim ta książka może zostać wydana bez cenzury. To dzięki nim nie ma już w Polsce testowania kosmetyków na zwierzętach. To dzięki nim być może świat jeszcze nie zginął i nie schylił się ku ostatecznemu upadkowi.

O tej demonstracji dowiedzieliśmy się od innego „punko turysty” - Jagody, który mówił, że zamierza jeszcze tego samego wieczoru wybić szybę w McDonalddie przed jego hucznym otwarciem następnego dnia. Właśnie z powodu rozpoczęcia działalności miała się tam odbyć pikiet.

Następnego dnia poinformowaliśmy o manifestacji resztę naszej paczki. Niestety większość z nich była skacowana i każdy tłumaczył się zmęczeniem. Było to dla mnie trochę dziwne, że nawet taki Aryst, czy Wlanek nie pokwapili się pójść. Było to dla mnie trochę żalosne, a nawet trochę mi było wstyd przed skłotersami z Ladronki, że gdy trzeba to nasza paczka jest tak mało aktywna. Niestety, alkopunki w większości tacy już są. We czwórkę: Ja, Dred, Wacek i Hilka udaliśmy się pod wskazane miejsce. Było tam już ponad 50 osób skandujących hasła i rozdających ulotki. Niektórzy trzymali transparenty, których treść jak mi się udało przetłumaczyć była oczywiście przeciw McDonaladowi. O dziwo w dużej części protestujący, tak jak my byli Polakami, co jako o narodzie świadczyło o nas dobrze. Chyba wszyscy z nich tak jak my byli „punkturystami.” Czuliśmy się tak swojsko, iż czasami nawet wśród okrzyków padało jakieś hasło po polsku. A okrzyków było dużo. Gdy tylko kończyło się jakieś jedno hasło, zaraz ktoś zaczynał następne, a wśród nich najczęstsza była piosenka: „F...ck off McDonald sialalalala. F...ck off McDonald sialalalalalala.” Jej melodia do dziś czasem obija mi się o uszy. Ogólnie to blokowaliśmy dojście do McShita, któremu przez naszą pikietę chyba g...no wyszło z hucznego otwarcia. Mimo naszego oporu kilku upartym udało się wejść. Wychodzili roześmiani, machając balonikami próbowali nam pokazać jacy to są „szczęśliwi”, że udało im się najeść mac g...nem. Ich euforie zakończył jeden z Polaków - Dryblas, który popsuł im baloniki krzycząc na nich „Juppie's scum.” Hasło to podchwyciła cała reszta przez co śmieciożercy odeszli zawstydzeni i zde gustowani. Na końcu wręczono im jeszcze ulotki. Mam nadzieję, że ta niemiła przygoda skłoni ich do nie jada nia w tej scierwodajni. Fajnie by było.

Miłym akcentem demonstracji było to, że przyszło na nią też trochę osób starszych i nie będących punkami, czego w Polsce nie spotkałem na taką skalę. Najbardziej w pamięci utkwiła mi około 40-sto letnia pani z koszyczkiem z warzywami i pieczywem, a w drugiej ręce z listewką, na której przyczepiony był kartonik z napisem : „McMurder powoduje głód w III świecie.” To bardzo

miłe, że nie tylko punki, ale także starsi ludzie rozumieją problemy tego świata i próbują im przeciwdziałać. To bardzo dobrze czuć, że nie jesteśmy osamotnieni w naszej walce o lepszy świat.

Po ponad godzinie aktywnego krzyczenia Hilka powiedziała mi :

- Griks, trzymajmy się razem, bo niebawem pikieta się zakończy.

Tylko zdążyła to powiedzieć, a jeden skłoters z Ladronki zaczął wysypywać na McShita cały worek Mcśmieci. Akcja trwała dosłownie parę sekund, bo gdy tylko zobaczyli to ochroniarze, którzy wyglądali i zachowywali się jak bastardi, zaraz rzucili się za nim w pogoń. Nie wiem co mną wtedy pokierowało : troska i strach o to, że złapią aktywistę, którego mało co znałem ? Poczułem z nim międzyludzką, punkową solidarność ? Podobno wszyscy punkowcy to jedna rodzina (haha!)

Wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Był to impuls. Widząc goniących, pełnych złości ochroniarzy nie wiele myśląc zacząłem przeciwdziałać. Pobiegłem za jednym z nich i mocno kopnąłem go w dupę. Był dużo większy i szerszy ode mnie. Miał długą pałę za pasem, gaz oraz pistolet, a ja byłem taki mały i młody (miałem dopiero 16 lat).

Gdy odwrócił się zdziwiony, zszokowany i rozwścieczony, gdy spojrzał na mnie zabijającym spojrzeniem pomyślałem sobie : „ O ku...! Co ja zrobiłem ?!”

Przez ułamek sekundy popatrzyliśmy sobie w oczy, zszokowani i chyba trochę nie dowierzający w to co się stało, po czym najszybciej jak tylko mogłem, zacząłem uciekać z powrotem w tłum demonstrantów. Cel został osiągnięty. Uwaga ochrony została odwrócona od pogoni aktywisty, bo wszyscy zaalarmowani rzucili się na mnie. Ich wściekłość była ogromna. Już prawie udało im się wyrwać mnie protesterom i wciągnąć do McShita lecz na szczęście niektórzy zablokowali wejście. Z jednej strony trzymali i ciągneli mnie do siebie zjednoczeni, walczący o mnie demonstranci, a z drugiej zaciekli bastardi, którzy za wszelką cenę pragnęli mnie ukarać. Nie muszę tu chyba pisać, że atmosfera była bardzo napięta (właśnie to zrobiłem Hahaha!).

- Puśćcie go - skandował po czesku tłum

- Lepiej się poddaj , bo i tak cię weźmiemy - z tego co zrozumiałem wykrzyczał do mnie bastard. Już sobie wyobrażałem wp...ol jaki dostanę gdy dopnę swego, nie mówiąc już o deportacjach i innych tego typu „przyjemnościach”.

- Czy mam zacząć strzelać ?! Mam gazówkę ! - krzyczał Fakir z Warszawy, a jakiś Czech mu odpowiedział:

- Nie, jeszcze nie trzeba.

- Zostaw mnie! Udusisz mnie!- krzyczałem, gdy ochroniarz ciągnął mnie za szyję. Chyba by mi ją urwał gdybym nie przeciwdziałał ciągnąc w drugą stronę. Wbijałem mu się paznokciami w ręce, a w pewnym momencie nawet zacząłem gryźć. Tak jak reszta demonstrantów, walczyłem o siebie jak tylko mogłem. Wokół starcia przybyli na pikietę reporterzy pstrykali zdjęcia z częstotliwością błysków stroboskopowych. Kto wie ? Może to właśnie oczy mediów przechyliły szalę zwycięstwa na naszą stronę. Gdyby nie one, na pewno interwencja ochrony byłaby dużo bardziej brutalna. Jednak przy takiej ilości zaproszonych fotografów, bastardy musiały się liczyć z opinią publiczną.

W końcu przez upór i solidarność demonstrantów zostałem szczęśliwie wyswobodzony. Cała szarpanina trwała z dziesięć minut, lecz dla mnie wydawała się niemal wiecznością. Poczułem ogromną ulgę będąc uwolniony od napastników, szarpania, a przede wszystkim od nerwów i od niebezpieczeństwa jakie mi groziło. Szybko zostałem otoczony przez tłum, bo ochroniarze ciągle pragnęli zemsty i mogliby oraz na pewno chcieli znowu mnie złapać.

- Jeszcze cię dorwiemy ! - odgrzaali się w moim kierunku

- Nic mu nie zrobicie !

- Faszystowskie świnię !

- Faszystowskie metody ! - odpowiadali im protestersi, a bastardi jakby na potwierdzenie tych słów znowu zaczęli się z kimś szarpać. Jednak nasza solidarność była dużo większa. Dryblas i inni nie pozostawiali dłużni ich ciosom. Gdy jednemu z ciuli spadły okulary, szybko zostały rozdeptane, przez beczelnie uśmiechającą się w ich stronę Rudą.

- Co dziewczyny też bijecie ?

Rozwścieczony ochroniarz już miał ją uderzyć lecz jego kolega złapał go za rękę i palcem wskazał w kierunku wymierzonego w nich foto aparatu, który tylko czekał na tego typu okazję. Pomijając biedną dziewczynę to byłoby dobre zdjęcie. Na szczęście tym razem reporter powstrzymał przemoc.

Po raz kolejny przekonałem się jak skuteczną ochronę dają nam obecne na akcji media. Ochroniarze byli tak wściekli, iż tylko marzyli o tym by spuścić nam manto. Musieli się jednak liczyć z opinią publiczną. Dlatego ich ataki były krótkie i nic nie dawały, a do tego jeszcze tracili na tym swoją twarz. Fiolka nawet nie wiem kiedy jednemu z nich ukradła drewniana tomfę, ktoś inny niespostrzeżenie wyjął drugiemu gaz, a któryś Ladrunkowiec na beszczela zdjął czapkę jednemu brutalnie zachowującemu się bastardowi. Wyrzucając ją w tłum rzekł mu ironicznie:

- Uspokój się, bo już łatwiej cię rozpoznać. - Bastard był tak wściekły, że chyba chciał go zabić lecz Ladrunkowiec czym prędzej schował się w tłumie. Rozwścieczeni bastardi z trudem powstrzymywali się by nie zmasakrować nas na oczach prasy. Na szczęście byliśmy mądrzejsi i widząc jak zło eskaluje w ich oczach oraz zachowaniu w pewnym momencie zdecydowaliśmy się odejść grupą i zakończyć demonstrację. Na szczęście dla mnie i innych bez aresztowanych.

Jednak ochroniarze nie popuścili tak łatwo. Hilka, która została na starym mieście opowiadała jak Ci sami bastardi, dwie godziny później brutalnie pobili bezdomnego za aktywny udział w demonstracji. Nie było tam już fotoreporterów więc mogli się wykazać. Sku...yny.

Jakież było me zaskoczenie gdy nazajutrz w prasie, w prawie każdym dzienniku ukazało się zdjęcie mnie szarpiącego się z ochroniarzem. W jednym nawet na pierwszej stronie. W ciągu pierwszego tygodnia w Pradze stałem się tak sławny (haha!). Miła pamiątka z mojego pierwszego samodzielnego wyjazdu za granicę.

Kara za wolność

Jechaliśmy z Lewtim pociągami. Planowaliśmy co będziemy robić gdy już znajdziemy się w tym pięknym mieście, które często nazywałem swoją wolnością.

- Najpierw pójdziemy do „Krzyża” najeść się. Dobra ? - zapytał Artek.

- Ja do „Krzyża” nie mogę. Mam tam zakaz wstępu. - odpowiedziałem.

- Jak to do „Krzyża” ??? - nie dowierzał dlatego mu wytłumaczyłem.

- Widzisz, w „Krzyżu” pracuje koleś, który jest gliniarzem. Kiedyś ten policjant spisywał mnie za ukradnięcie dwóch jegermajstrów (wódek). Gdy następnego dnia chciałem najeść się w „krzyżu” on siedział w drzwiach i wytłumaczył mi, że mam zakaz wstępu.

- „Dwuetatowa” praca. Haha. - zaśmiał się Lewti i zaraz dodał – To co będziemy robić ?

- Możemy pojechać posępić na jakieś parę gramów haszyszu i będziemy mieli co palić przez część ferii.

- To całkiem niezły pomysł.

- Wpadniemy z paleniem do tych dwóch dziewczyn, zrobimy imprezkę, a rano zapytamy się, czy możemy u nich trochę pomieszkać.

- Ty to masz łeb.

Gdy tylko skończyliśmy dyskusję wpadł nieco zawiany kanar i tradycyjnie rzekł:

- Bileciki poproszę !

Lewti wyjął swoją kolejową legitymację, a ja zacząłem się tłumaczyć.

- Proszę pana, ale ja mam tylko do Rzepina...- nie dokończyłem, bo przerwał mi kanar.

- Jedno piwko jeszcze nikogo nie zbawiło. Dwie dychy to w końcu nie taki duży pieniądz.

Znajdzie się, czy mam wypisać ?

Pogrzebałem w kieszeni i oznajmiłem:

- Cholera ja mam tylko dychę !

- Poczekaj, ja mam całą stuwę. Będzie miał Pan wydać ? - zaoferował się Lewti.

- Oczywiście. – odpowiedział konduktor i wyjął garść moniaków zapewne uzbieranych w ten

sam sposób. Wychodząc życzył nam miłej podróży, a my zaczęliśmy się zastanawiać jakby tu ją przeżyć, by rzeczywiście była ona miła i by nas nigdzie nie wysadzili.

- Wiesz Lewti jak ja ostatnio jechałem, to schowałem się do umywalki.

- A zmieszczą się tam dwie osoby ?

- Tak, ale nie wiadomo, czy z plecakami.

- To plecaki zostawimy tutaj.

- A jak zwiną ?

- No co Ty ? W Niemczech ?

- W polskim pociągu. – nadal miałem wątpliwości.

- Nie bój nic nikt nam nie zwinie tych plecaków. - uspokajał Artek, lecz ja nadal czułem się niepewnie i w końcu wpadłem na pomysł.

- Słuchaj. Jeden z nas schowa się pod siedzenia, a drugi do umywalki.

- A jak któregoś złapią ?

- To możemy się rozdzielić i ten co zostanie z plecakami pojedzie dalej albo nie rozdzielać i ten z plecakami wysiadzie za tym pierwszym.

- Dobra to ja się schowam do umywalki. - zaakceptował plan Lewti i nie rozmawialiśmy już o nim dotąd, aż znów nie pojawiły się wątpliwości lecz tym razem u Artka.

- Ty, a skąd będziesz wiedzieć, że mnie złapali ?

- O tym nie pomyślałem.

- Może najlepiej będzie jak tradycyjnie zaryzykujemy i przejedziemy w kiblu. - zaproponował Artek.

- O tak to chyba najlepszy pomysł. Tymbardziej, że tam zmieścimy się swobodnie z plecakami, a niemiecki kanar może nie będzie sprawdzał w ubikacjach, bo w tym kraju raczej mało osób preferuje jazdę na gapę. - tym razem ja zaakceptowałem plan Lewtiego.

Gdy tak rozmawialiśmy zbliżał się Frankfurt, a tam niemiecka kontrola celna. Celnik sprawdzając przez krótkofalówkę na komputerze mój paszport zapytał się po niemiecku:

- Ty jesteś Marek Griks ?

- Tak. To ja.

- To proszę wziąć swoje bagaże i pójść z nami.

- Ale dlaczego ?! - zapytałem zszokowany i spojrzałem na równie zaskoczonego Lewtiego, który szybko się zapytał.

- Mam wysiąść z tobą ?

- Nie wiem. Jak chcesz ! - odparłem, a celnik dalej chrząknął swoje:

- Szybko. Później okaże się dlaczego !

Wziąłem więc plecak i marudząc po niemiecku wysiadłem z pociągu. Celnik coś poszprechał przez krótkofalówkę i jeszcze na dworcu mnie poinformował.

- W lato, w Berlinie ukradłeś dużo drobnych rzeczy.

- Ja? Skądże. - udałem zdziwionego i zaraz dodałem: - Ja wcześniej zgubiłem paszport i...

- To się okaże. W kartotece są odciski palców złodzieja. - oznajmił mi przerywając, na co już nic nie powiedziałem tylko szedłem na znany mi z przeszłości przygraniczny posterunek. W oddali usłyszałem jeszcze głos Lewtiego, który wysiadł z pociągu i krzyczał w moim kierunku:

- Mam na Ciebie czekać ?!!

- Jak chcesz !! - również mu odkrzyknąłem. Ostatni raz spojrzałem na niego nie wiedząc jak długo nie będę widział jego i innych moich przyjaciół.

Wprowadzili mnie do pokoju, gdzie jeszcze jakieś dwa miesiące temu z Kinką i Reszakiem nabijaliśmy się z gliniarzy wymyślając historyjkę do protokołu wyjaśniającego dlaczego jechaliśmy na gapę. Sytuacja wtedy była o tyle śmieszna, bo mogliśmy się komunikować wzajemnie i z uciechą wymyślić niestworzoną bajkę.

Gdy tylko wszedłem kazali wypakować mi wszystko z plecaka. Potem jeden gliniarz obszukiwał mnie, a drugi sprawdzał co mam w kieszeniach wypakowanych ubrań. Chyba się

ucieszyli gdy w pudełku zobaczyli oryginał mojego zina. Czegoś takiego to tu jeszcze pewnie nie mieli. Zaraz mimo moich protestów i informowania, że to są moje prywatne listy oraz papiery zaczęli to przeglądać i wszystkim pokazywać. Zanieśli do pomieszczenia naprzeciwko i zaczęli pytać o zawartość jakiejś policjantki, która widocznie trochę kumała po polsku. Mnie zaś zaraz po obszukaniu samego zamknęli w celi. Zdruzgotany sytuacją w której nie bardzo wiedziałem o co chodzi rozpaczliwie starałem się znaleźć z niej jakiejś wyjście. Krzycząc zacząłem protestować przeciwko czytaniu mojego zina, bo już wówczas ogarnął mnie strach, że przez jego treść mogę mieć kłopoty.

- To są moje prywatne rzeczy! To wy popełniacie przestępstwo, a nie ja ! - lecz usłyszałem tylko krótkie:

- Zamknij mordę !

Zdenerwowałem się i postanowiłem się „pociąć”, co z doświadczenia wiedziałem, że czasem skutkuje, lecz niestety nie wiedziałem, iż nie zawsze dobrze. Jako, że przy obszukiwaniu zabrali mi wszystko co ostre, a w celi nie było widać żadnych nadających się do tego „narzędzi”, musiałem więc zadowolić się mymi paznokciami. Gdy zacząłem drapać, zacząłem też głośno, po niemiecku śpiewać wymyśloną piosenkę:

- „Ja jestem obcokrajowcem!

Nie jestem ważny dla niemieckiej policji.

Więc muszę się zabić !”

Tak trochę pośpiewałem specjalnie podkreślając ostatnie zdanie. W końcu do celi wpadł rudobrody policjant, nazwijmy go Piłatem, którego po wyglądzie, spotkawszy na ulicy oceniłbym na sympatycznego gościa. Wrzasnął do mnie zdenerwowany:

- Zamknij się !

Ja jednak śpiewałem dalej na jego oczach drapiąc dalej już nieco krwawiące miejsce. Od razu zawołał kołesi, którzy od razu zaczęli skuwać mnie kajdankami, na co zareagowałem ironicznie:

- Kajdanki to też dobre żyletki dla moich rąk !

Po tym stwierdzeniu natychmiast zmienili je na takie, które nie mają krawędzi. Jedną rękę przypieili mi do kratowych drzwi, a drugą do jakiejś rury. Ręce miałem tak naciągnięte, że ledwo co mi je rozciągnęli. Do tego nie byłem w pozycji stojącej lecz klęczącej. Pozycja ta oraz wyszydzenie, śmianie się ze mnie i cała moja sytuacja tworzyły torturę jakiej jeszcze nigdy nie doznałem i nie życzylbym nawet najgorszym wrogom. Zdesperowany byłem do tego stopnia, że szydziłem z mych oprawców tak, iż być może wkurzali się nawet bardziej ode mnie. To oni byli winni moich męk i to oni musieli sobie „czyścić sumienia” oraz żyć z tym. Chociaż znając tych faszystowskich Niemców, pewnie nie wiele ich to wzruszyło oprócz tego, że się zdenerwowali. Szydziłem z nich ironizując i poniżając nawet samego siebie:

- Jestem polskim zwierzęciem ! Kiedy mnie zagazujecie ?! Który mamy teraz rok ?! 1938 ?! Myślę, że za rok będzie wojna ! Ilu już Polaków zabiliście swymi rękami ?! Stu ?! Dwustu ?! Może tysiąc ?! Mnie też możecie już doliczyć do martwych !! - a czasem po prostu ich wyzywałem:

- Nowe SS !! Gestapo !!

Niektórych pewnie moje ironie w ogóle nie wzruszały jednak Piłat w pewnym momencie nie wytrzymał i przyleciał do mnie. Przystawiając mi przed oczy policyjną pałę wrzasnął:

- Zamknij mordę, bo Ci wpierdolę !!! - na co zareagowałem chyba odwrotnie niż się spodziewał. Takim samym tonem krzyknąłem.

- Pewnie ! Wpierdol mi, a jeszcze lepiej zabij !! Przecież jestem dla ciebie tylko polskim zwierzęciem!!! - na co opadły mu ręce i sobie poszedł. Swym zachowaniem chyba wzbudzałem w nich spore zainteresowanie, bo co raz któryś z nich przychodził sobie popatrzeć i pośmiać się zemnie. Gdy tak oglądali czułem się dokładnie jak zwierzę w cyrku, które przez swój zły los ma rozśmieszać i bawić ludzi oraz swych oprawców. Mówiłem wtedy:

- Co ?? Dobry teatryk ?? Dobry klaun ?? Podoba się polskie zwierze nowemu SS ?? - W ten sposób robiąc z siebie przedstawienie miałem cichą nadzieję uderzę w ich sumienia i przynajmniej

przestaną mnie tortuować, przynajmniej przestaną się śmiać, bo przecież są w końcu ludźmi. Jednak ilu Żydów i ilu Polaków, ilu obcokrajowców robiło podobnie z nadzieją wzbudzenia wśród Niemców choćby isierki litości, a wzbudzali tylko jeszcze większe okrucieństwo ? Może są ludźmi, jednak są rasistami. Ci Ssmani w obozach koncentracyjnych też byli ludźmi. Szkoda tylko, że złymi. W końcu nie wytrzymałem i zacząłem płakać. Płakać nad własną bezsilnością, nad własną niemocą, nad tym, iż są jeszcze ludzie tacy jak oni, że jest ich dużo i że groźba nadciągającego faszyzmu, groźba kolejnej wojny staje się coraz bardziej realna. Najgorsze w tym wszystkim jest to, iż Ty tak mało możesz zrobić. Na Niemieckich antyfaszystów nie ma co zbytnio liczyć, bo Niemcy to naród zbyt porządny, łatwy do pokierowania, a do tego tchórzliwy (w tym mogę się mylić) oraz łatwy do sterroryzowania. Z drugiej jednak strony, tylko na nich można liczyć, bo obcokrajowcy w Niemczech nie wiele mają do powiedzenia i nie mają też żadnego wpływu na politykę kraju. Eskalacja faszyzmu może nadejść w każdej chwili. Wystarczył jeden kryzys i jeden Hitler, który obarczył winą inne nacje i przez ponad sześć lat ludzie zabijali się między sobą. Teraz też wystarczy jeden człowiek, jedna niekorzystna sytuacja ekonomiczna, gospodarcza bądź polityczna oraz może parę „zbiegów okoliczności” i możemy mieć nowy konflikt światowy. Niech mi tylko nikt nie mówi, że uchronią nas rakiety atomowe albo pakt z Nato, bo zacznę się śmiać. W ten sposób rozczulałem się nad losami swymi i świata. Zobaczyłem na podłodze porwane kawałki papieru toaletowego, które z wysiłkiem używając nóg ułożyłem w kształcie krzyża i zapytałem cichutko łkając:

- Boże, Dlaczego ? - a zaraz dodałem – Boże, jeśli masz jakikolwiek wpływ na to, nie dopóść do tego.

Zaczęły mnie boleć mięśnie rąk. Najchętniej uwiesiłbym ręce o własnym ciężarze na kajdankach, lecz te zbyt bardzo wbijałyby mi się w kości. Cały czas musiałem trzymać ręce poziomo, co było bardzo męczące, tak jakby ta odległość między mną, a kratą nie była przypadkowa lecz celowo obmyślana. Czułem się jak Żyd, nad którym bez powodu znęcali się np. żołnierze Wehrmachtu, lub też (no może trochę lepiej) jak Chrystus męczony na krzyżu. Gdybym wiedział jak po niemiecku jest ocet to bym się ich zapytał o wodę, a jakby mi podali odmówiłbym słowami : „ Nie chcę, bo jeszcze podajecie mi ocet”. Byłem tak zrospaczony, że w tej niewygodnej pozycji chciałem pokazać im oraz sobie, że się nie poddaję i nadal „próbuję” popełnić samobójstwo. Najpierw sprawdziłem rękę prawą, która była blisko kaloryfera. Niestety nie było tam żadnej wystającej śrubki. Za to przy lewej ręce, którą przypięto do kracianych drzwi wisiała pewnie „na postrach” pałka policyjna, u której na sznureczku wisiało kółko. Niestety po obejrzeniu stwierdziłem, że kółko na pewno się nie nadaje. Gdy skończyłem obserwację, wszedł jakiś gliniarz i patrząc na mnie, być może przypadkiem zauważył dyndającą pałkę. Chyba stwierdził, iż może chce tą pałą pobić policjantów albo co gorsza ukraść, bo zaraz ją przewiesił w miejsce mi niedostępne jednak widoczne by swym widokiem wciąż przypominała do czego ją stworzono. Mimo wszystko dobrze się stało, że ją przewiesił, bo odsłonił mi tym śrubkę od klamki, którą mógłbym użyć zamiast paznokcia. Niestety. Śrubka na pewno by się dała wyciągnąć lecz zabrakło mi dosłownie może dwóch albo trzech milimetrów by ją dosięgnąć. Zresztą musiałem się czymś zająć by zapomnieć o bólu mięśni i „bólu serca”.

W końcu odpieli mnie, ponieważ mieliśmy gdzieś jechać. Kazali mi wziąć spakowany już plecak, sami zaś wzięli pudełko z „dowodami” i wprowadzili mnie do zielono białego volzwagena, po czym wraz z Judaszem, Piłatem i kierowcą z przodu ruszyliśmy. Gdzie? Tego jeszcze nie wiedziałem. Tego dnia gdy jeździłem po Frankfurcie, zauważyłem, że mimo iż jeszcze nigdy nie nocowałem w tym mieście, to poprzez częste przejazdy mniej więcej już je poznałem. Może miałbym trudności ze znalezieniem granicy, czy dworca kolejowego, bo zmysł orientacji mam raczej słaby, ale prawie wszystkie miejsca obok, których przejeżdżaliśmy rozpoznawałem w pamięci. Tak rozmyślając rozmasowywałem obolałe od kajdanek kości, dotąd aż zatrzymaliśmy się i kazali mi wysiadać. Miejsce do którego mnie przywieziono wyglądało na sąd i rzeczywiście nim było.

Kierowca(nazwijmy go „Okularnikiem”) został w samochodzie. Judasz poszedł coś załatwić, a Piłat wraz ze mną czekał na niego w długim, pustym korytarzu, którego sufit był na wysokości około pięciu metrów od podłogi. W oknach nie było normalnych szyb, a jedynie takie z metalową siatką w środku. Znając niemiecki porządek, to po to by więzień nie mógł uciec z sądu. Na Judasza nie musieliśmy długo czekać, bo zaraz jakiś inny glina poinformował go, że dzisiaj nie ma tam polsko niemieckiego tłumacza, przez co sprawa nie może się odbyć. Wtedy żałowałem, że nie poinformowałem ich o mojej niezłej znajomości niemieckiego, bo myślałem że wówczas bym był szybciej zwolniony. Wróciliśmy tą samą drogą na komisariat, gdzie Judasz chciał znowu mnie przypiąć lecz Piłat stawiał się w mojej obronie i rzekł do Judasza:

- Porozmawiam z nim i jak dalej będzie chciał się zabić to go przypniemy.

- Ale to jest moja osoba obstawiał przy swoim Judasz.

- Ja wezmę na siebie odpowiedzialność.

- Chyba że tak – w końcu zgodził się Judasz

Napisane w 1998 przeżyte w 1997. Ciąg dalszy być może nie nastąpi;

Niemcy się zjednoczyły w 1989 roku.

Lecz tak naprawdę nigdy się nie zjednoczą.

Dzieli ich mur niematerialny lecz mocny

I tego muru nikt nie rozwali.

Jedna strona faszystowska, druga anty.

Po pierwszej bogaci po drugiej biedniejsi.

Okradanie bogatych jest chwałą.

Biednych hańbą

Lecz jeśli nie musisz

To lepiej nie kradnij,

Bo wcześniej, czy później

Będiesz musiał im za to zapłacić.

Bo wcześniej, czy później

Może Cię spotkać kara za wolność,

A wolność jest droższa od rzeczy, które ukradłeś.

POCZĄTEK KAPELI ZBUNTOWANI

Początek kapeli był związany z początkiem punkowej knajpy „Black Flag”. Wraz z załogą młodych punków gdy tylko dowiedzieliśmy się o tym, że w Siedlcach ma powstać punkowy bar, szybko zaoferowaliśmy jego założycielom – Helmutowi i Pipetowi – naszą bezinteresowną pomoc. Gdy ja, Marucha i Franek przyszliśmy tam po raz pierwszy, byliśmy pod dużym wrażeniem. Niedokończone jeszcze graffiti Helmuta zachwyciło nas niezmiernie. Gdzieniegdzie były to głowy i czachy z irokezami, gdzieniegdzie krajobrazy zagłady niczym z okładek GBH, czy Exploited. Chodź dużo widziałem w swym życiu zajebistego graffiti w Berlinie, w Pradze, czy nawet w Warszawie to, co tworzył Helmut przewyższało je wszystkie. Dla mnie jest on zdecydowanie mistrzem w tym co robi. Byłem dumny, że moje szablony mogły być odbite koło tych arcydzieł.

Na tydzień przed otwarciem knajpy, chyba trochę z nudów i nadmiaru wolnego czasu zimowych ferii, wpadł mi do głowy pomysł założenia kapeli. Poprosiłem moją dziewczynę Jankę by śpiewała w niej, na co wówczas chętnie przystała.

Pierwszy tekst napisałem o „Gandzi”. Dużo paliliśmy w tamtych czasach więc miałem potrzebę napisać, co o tym myślę, jak to czuję i jak to traktuję. Była to też pewnego rodzaju kontynuacja artykułu „Ja i Maria”, który zamieściłem w którejś z „Makulatureczek”. Z resztą tekst „Gandzia” też w ostateczności znalazł się w tym biuletynie. Do wymyślonych wierszy bardzo fajnie

dopasowała się wesoła muzyczka, którą skomponowałem już jakiś czas temu. Muzyki niestety na papierze nie umiem przekazać więc przeczytajcie chociaż tekst:

Gandzia

"Gandzia jest po to by se przypalić,
By po niej zawsze dobrze się bawić,
By mieć dobre serce i dobrze czynić,
By poczuć się wolny i równy wszystkim.
Gandzia jest po to by się nią dzielić,
A jak tak nie jest, nie możesz jej palić,
Bo jeśli palimy w osób kilka,
To tworzy się bardzo fajny klimat,
A jeśli wolisz przypalać sam,
To widać, że z Ciebie wielki jest cham.
Więc jeśli ktoś się Ciebie zapyta.
To wówczas chętnie sobie z nim przypał.
A kiedy Ty będziesz w potrzebie.
Uraczy Cię ten co dziś jest w biedzie.
Legalizuj gandzię
I przypalaj wszędzie.
To jest nasze prawo!
Zawsze takie będzie!
Nabij lufę, przypal sobie,
Skręć dżoincika, nabij faję,
Zasadź, zapal, wyhoduj
I ze wszystkimi się podziel !

Wraz z Janką przez dwa dni ćwiczyliśmy nowo powstałą piosenkę, aż jako tako zaczęło nam to wychodzić. Z trudem udało mi się namówić Jankę byśmy zagraли próbę w klubie „młodych punków” na Staromiejskiej. Gdy nas wysłuchali posypały się brawa.

- Zajeście! – stwierdził Franek.
- No, zagrajcie jeszcze raz. – prosił Marucha.
- To wasza piosenka? – zapytał Słoniak.
- No pewnie, że nasza. – potwierdziliśmy.
- Fajne. Moglibyście to zagrać na otwarcie „Black Flaga”. – rzucił pomysł Słoń.
- No co Ty?! – zaoponowała Janka.
- A ja myślę, że to dobry pomysł. – podchwyciłem temat.

Tak szczerze to było to moje ciche marzenie od momentu założenia zespołu. Właściwie, to można nawet powiedzieć, że otwarcie „Black Flaga” oraz chęć zagrania na nim, było chyba dużym bodźcem do założenia zespołu na tydzień przed imprezą.

- No, zagrajcie! Przecież dobrze Wam idzie. – przekonywał Marucha.
- Ale przecież mamy dopiero tylko jeden kawałek. – Janka dalej się nie zgadzała.
- Ha! Ale za to jaki fajny. – powiedział Gawel.
- No co ty, tak bez perkusji i basu? – trwała dalej w swym przekonaniu ma ukochana.
- Ja słyszałem ostatnio gościa, który tylko śpiewał i całkiem dobrze mu to wychodziło. – podał dobry przykład Słoniak.
- Nie tak prędko. Ja się jeszcze trochę wstydzę. – w końcu Janka wyjawiała o co naprawdę jej chodzi.
- E tam, przed nami też się wstydziłaś i wyszło bardzo ładnie, to i w „Black Flagu” będzie dobrze. – stwierdził Marucha.
- Wypijesz parę piwek, to od razu Ci trema przejdzie. – trafnie zauważył Franek.
- Zobaczymy. – zakończyła o tym rozmowę Janka.

Nigdy nie czekałem tak na koniec ferii jak tego roku. Wcale nie dlatego, bym lubił szkołę, bo dla mnie to ona by się mogła nigdy nie zaczynać, ale to właśnie 28 lutego, w ostatni dzień ferii miała się odbyć upragniona impreza. To był wielki dzień w historii siedleckiego punka. Chyba po raz pierwszy mieliśmy własne miejsce i to prawie całkiem niezależne. Co z tego, że bar musiał zarabiać na siebie i piwo kosztowało 3,5 zł i nie każdego było stać na to by się najebać. W końcu nie o najebanie chodzi w punk rocku.

Mimo tego, że plakatów było jak na lekarstwo ludzi przyszło całe mnóstwo. Ciężko było się przecisnąć do baru. Nic dziwnego, jeśli grały czołowe zespoły siedleckiej sceny: OUTSIDE – najpopularniejszy z tutejszych zespołów rockowych, SPOKOJNIE – najpopularniejszy, bo jedyny zespół regowy, a także jedyny zespół grający crust punka – ZNIEWOLENIE. Wszystkie zespoły zagrały zajebiście. Zabawa też była jak nigdy przedtem, czyli bardzo fajna. Wszyscy się chyba bardzo cieszyli, że w końcu coś ruszyło w naszym mieście.

Wszyscy Ci, którzy pomagali w jakiś sposób przy zrobieniu tej knajpy dostali słowny, nieograniczony kredyt na piwo. Korzystaliśmy, więc jak tylko mogliśmy. Stało się tak jak Franek przewidział. Po paru piwach Jankę opuściła trema.

Gdy wszystkie zespoły zagrały już swoje bisy i wszyscy myśleli, iż impreza dobiegła już końca, my wyszliśmy na scenę. Mały pożyczył mi elektryczną gitarę, a ja zacząłem gadać:

– Koncert się jeszcze nie skończył, bo czeka na Was jeszcze niespodzianka, czyli nasz scenkowy debiut. ZBUNTOWANI to na razie tylko ja i Janka. Zagramy dla Was jeden kawałek – no i zaczęliśmy.

Mały wybrał dobrze pasujący efekt i jak dla mnie wyszło zajebiście. Jak na pierwszy raz całkiem nieźle. Parę osób się nawet bawiło i dostaliśmy całkiem niemałe brawa. Dostaliśmy też kilka budujących pochwał jak np. ta od Ryśka:

– Zajebisty tekst i fajne wykonanie!

Jancia dostała nawet propozycję śpiewania w Carasie – jednej z siedleckich kapel rockowych. Gdy o tym usłyszałem zapytałem:

– I co im powiedziałaś?

– Odmówiłam.

– Jak to? Czemu? – zapytałem trochę zdziwiony.

– Bo Carasa gra ciulową muzykę, a ja już śpiewam w jednej kapeli. – odpowiedziała i chyba miała rację.

– Szczęściarz ze mnie. – wyraziłem to co czuję.

Tak oto powstała nasza kapela wraz z knajpą, która też była kawałkiem naszego życia. Kto wie jak bardzo znaczącym? To był wielki dzień.

PAPRYKA RATUJE MI ŻYCIE

...I oto kolejny dzień na skłocie RZECZYWISTOŚĆ. Jak zwykle obudziło mnie zimno. Tego dnia jednak nie wtuliłem głowy zpowrotem głęboko w śpiwór. Nie nakryłem jej kołdrami oraz kocami. Nie próbowałem zasnąć ogrzewany własnym oddechem, który mógłby okazać się śmiertelnym, gdyby szpara wśród koców i kołder zatkała się, a ja spałbym twardym snem. Dziś miałem sprawdzić kolejną ofertę pracy. Zdobyłem ją z Wyborczej z ogłoszenia o treści, „Jeśli lubisz pracę z dziećmi to zadzwoń...”. Dzień wcześniej, w poniedziałek zadzwoniłem oraz umówiłem się na spotkanie o dziewiątej. Dlatego wcześniej wstałem by umyć się i ubrać w czyste ubranie trzymane specjalnie na tego typu okazje oraz by się przygotować. Do sklepu „Kindi Land” dotarłem punkt dziewiąta. Był to dwupiętrowy „supermarket” z samymi zabawkami, pewnie bardzo drogimi. Sprzedawcy byli poprzebierani za ołowiane żołnierzyki. Zapytałem się jednego z nich z kim mam rozmawiać w sprawie pracy. „Żołnierzyk” skierował mnie na górne piętro, gdzie zapytałem się pani za ladą, czy to z nią mam rozmawiać w sprawie pracy. Odpowiedziała mi „tak, ale niestety to jest już nieaktualne”, „Ale ja byłem umówiony na dziś”. „Przykro mi, lecz znaleźliśmy już kandydatów”. – otrzymałem odpowiedź po której wyszedłem i zrobiło mi się przykro. Z goryczą

myślałem „kurcze, już czwarty raz się nie udaje. Miałem taką nadzieję na otrzymanie tej pracy. Myślę, że by mi odpowiadała...”. W drodze powrotnej kupiłem mleko i płatki dla psa, a dla siebie chleb, a do niego keczup, bo był tańszy niż dżem. Pieniądze powoli mi się kończyły, więc musiałem oszczędzać, bo następny zakup grzybów mógł się trafić nie wiadomo kiedy. Zrobiłem psu jeść, sobie też. Gdy jadłem ten pierwszy posiłek tego dnia, cieszyłem się, że będąc głodnym bardzo smakował mi ten chleb z keczupem. Jednak, gdy już się najadłem pomyślałem, że przydałoby się nabić dzisiaj butlę gazową. Mógłbym wtedy robić sobie ciepłe posiłki i herbatę. Nie wiedziałem, gdzie by ją nabić, lecz nie zraziło mnie to by ruszyć w poszukiwania i podnieść swoją stopę życiową. Nabijanie znalazłem dopiero na Ursynowie (kawał drogi). Zajął mi to czas do wieczora, ale gdy zrobiłem sobie pierwszą herbatę, stwierdziłem, że warto było. Od razu humor mi się poprawił. O porannej porażce myślałem „Może i szkoda, że się nie załapałem, ale pewnie bym się tylko wkurzał obsługując rozpieszczone przez niańki dzieciaki bogatych rodziców, które czas z rodzicami spędzają jedynie podczas obiadów w McDonalddie”. Tak się pocieszałem mając nadzieję „Przecież w końcu musi się trafić jakaś porządna robota”. W radiu, które odbierało tylko jeden, ale za to najnudniejszy program, czyli „1-ę”, w wiadomościach podali, że parę kolejnych osób umarło z zimna. Wśród nich staruszek, którego nie stać było na opłacenie ogrzewania. „Czy o taką Polskę walczył kiedyś?” Zadałem sobie pytanie, po czym poszedłem połamać deski na noc. Jak zwykle miałem trudności z rozpaleniem tego „złomu”, który miał pełnić rolę pieca. Tracąc nerwy w końcu rozpałem za entym razem i położyłem się spać. W środku nocy obudziła mnie skacząca po mej twarzy Papryka. Cały pokój był tak zaczadzony, że nie byłem w stanie zobaczyć nic na odległość wyciągniętej ręki. Szybko wstałem, wziąłem psa i wybiegliśmy z pokoju, a potem z równie zadymionego korytarza. Na pierwszym piętrze dymu nie było. Zostawiłem tam Paprykę, zaczerpnąłem świeżego powietrza i pobiegłem z powrotem do pokoju. Pierwsze, co zrobiłem, to otworzyłem okna, najpierw u siebie, a potem inne by był przeciąg. Następnie zgasłem piec wlewając do niego wody. Potem zszedłem na dół i czekałem z Papryką, aż się przewietrzy. Szczeniak uratował mi życie. Być może, gdyby nie ona to obudziłbym się wśród martwych. Gdyby nie świadomość, że muszę żyć dla Janki i dziecka, które nosi zadowolony byłbym ze śmierci, która wyrwałaby mnie z tego piekła. Tylko Janka i nasze dziecko trzymało mnie przy życiu. Tylko miłość i odpowiedzialność powstrzymywała mnie przed samobójstwem.

Skloting w Polsce w latach 1998-2000

A to kawałek historii. Artykuł który napisałem przed tym jak wyjechałem do Amsterdamu. Oczywiście mówi o sklotingu w Polsce. Dużo pewnie się zmieniło. Co, może Wy mi opowiecie, bo ja w Polsce bywam zbyt rzadko by się wypowiadać.

Skloting - alternatywa dla bezdomności.

Skloty to zamieszkane nielegalnie pustostany. Po co budynki mają stać puste skoro tylu ludzi nie ma dachu nad głową. Prawo do mieszkania powinien mieć każdy, nawet jeśli jest to przeciw ustawom bogaczy. Zjawisko zajmowania budynków staje się coraz bardziej powszechne. To się opłaca! Nawet jeśli po jakimś czasie Cię wyrzucą to przynajmniej przez ten czas nie zamarniesz z zimna i będziesz miał własny kąt. Zawsze można zająć następny budynek. Wystarczy tylko trochę chęci by znaleźć pustostan, wstawić zamek, poprzynosić trochę wyrzuconych przez innych mebli i jakoś się urządzić. Można podłączyć sobie prąd, wodę i zorganizować sobie całkiem niezły dom. Naprawdę warto. Na pewno lepsze to niż trzęsienie się z zimna, niewygodne spanie, czy brak własnego miejsca. Z punktu prawa sklotowanie nie jest przestępstwem. Wykroczeniem jest jedynie brak meldunku w danym miejscu. W ewidentnych przypadkach (bardzo rzadko) policja wypisuje za to mandaty, które można olać, bo nie są egzekwowane. Po trzech miesiącach zamieszkiwania, jeśli potrafisz to udowodnić, właściciel może Cię wyrzucić jedynie drogą sądową. Założenie sprawy kosztuje go 700 zł, co nie zawsze mu się opłaca i co daje Ci chwilę na dalsze choć krótkie mieszkanie.

Skloty to często skupiska ludzi alternatywnych, centra kontrkultury, miejsca na koncerty,

biblioteki, knajpy i miejsca, gdzie rozwija się wspólnota anarchistyczna. Ludzie tam żyją wbrew państwu i bez jego pomocy. Władza jedynie przeszkadza żyć. Zachęcamy do skłotowania. WOLNE DOMY DLA WOLNYCH LUDZI.

Brutalny napad policji

To był chyba wtorek. Właśnie dziś była pierwsza miesięczka knajpy „Skłoterskiej”, czyli mijał pierwszy miesiąc od jej założenia. Ogólnie działalność rozwijała się bardzo dobrze. Wszystko szło w pożądanym kierunku. Nawet ostatnio udało mi się zdobyć magnetofon, który podłączałem pod naładowany akumulator, dzięki czemu grała muzyka. Gdy było dla kogo, rozpalałem w piecu, żeby było ciepło. Raz w tygodniu ktoś grał akustyczny koncert, a raz były małe czad-giеды. Knajpa zyskała sobie już nawet stałych bywalców, którzy nie zważając na skromne warunki woleli przychodzić tutaj, by poczuć punkowy, niezależny klimat, niż siedzieć w smętnych, drogich barach. Coraz więcej ludzi przychodziło do Skłoterskiej. W piątki i soboty spokojnie sprzedawałem dwie kraty, więc zwykle browary musiałem dokupywać później w nocnym sklepie.

Jedyne co mnie martwiło, to ostatnie włamania do knajpy. Zdarzyły się już dwa razy i chociaż nic nie zginęło, to trochę rzeczy zostało zniszczonych. Najbardziej zabolalo mnie to, iż zniszczyli moją gitarę – główne źródło mojego utrzymania, a zarazem najcenniejszą rzecz jaką posiadałem.

- Jak ktoś mógł zrobić takie chamstwo? Po co? Co za po...ne drechy. Niech ja ich tylko dorwę!- tak sobie rozmyślałem płacząc nad kolejną tragedią w moim życiu. Nie chcąc, by włamania się powtórzyły, oraz z zamiarem ukarania sprawców, tymczasowo nocowałem w knajpie, a nie na moim mieszkalnym skłocie- „Rzeczywistości”, na ulicy Dolnej.

Położyłem się spać około północy. Z początku nie mogłem zasnąć, lecz w końcu mi się to udało. Obudziło mnie głośne walenie do drzwi. Nie nazwałbym tego zwyczajnym pukaniem. Ktoś próbował wykopać drzwi. Niewiele się zastanawiając, w jedną rękę chwyciłem rurę, a w drugą krzesło i krzycząc podbiegłem do drzwi :

- Tym razem wam pokażę sku...ysyny, złodzieje !!! - już miałem otworzyć zamek i „powitać” intruzów, lecz moja ręka zastygła na zasuwie. Oblał mnie błydy strach, a myśli panicznie zaczęły kołatać po głowie. „Cholera, oni cały czas nieprzerwanie kopią. Nie podziały na nich moje słowa i groźby. Nawet na chwilę nie przerwali kopania. Przecież normalni złodzieje po czymś takim daliby sobie spokój i uciekli. Cholera! To jacyś psychole. Kur... ! Co ja mam robić?!”

- Czego ode mnie chcecie?! Jestem biedny. Zostawcie mnie ! – zacząłem prosić przestraszony, na co usłyszałem krótkie:

- Zabijemy cię!

„O kur... To naprawdę psychole! Cholera! Co ja mogę zrobić? Może ktoś mnie usłyszy?!” – myślałem gorączkowo. Teraz bałem się już nie na żarty. Szybko pobiegłem do najbliższego okna, otworzyłem je i zacząłem się wydzierać, z nadzieją w głosie:

- Ludzie! Pomocy! Chcą mnie zabić! Pomocy!!! – usłyszałem tylko trzask pękniętych drzwi. Z rozpaczą stwierdziłem, że to nie ma sensu. Wszyscy już śpią. Najbliższa kamienica znajduje się niedaleko ale nikt mnie nie słyszy! Jestem tu sam. Jeśli mnie zabiją, to nikt ich nawet nie zobaczy. Bez świadków będą mogli zrobić ze mną co zechcą! Modliłem się do Boga o pomoc.

Młodziutka, szczenięca Papryka usiłowała schować się przed hałasem. Ja patrzyłem jak drzwi coraz bardziej pękają, pod ciosami kolejnych kopnięć. Strach narastał we mnie cały czas. Cholera. Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu aż tak się bałem.

“Boże, proszę! Niech mnie nie zabiją. Przecież muszę żyć dla Janki i mej córki Nei. Boże, ocal mnie dla nich!” – modliłem się w myślach. Miałem śmierć przed oczyma. Mimo strachu z powrotem wzięłem do rąk krzesło i rurę. Stałem przed drzwiami i przyglądałem się jak drzwi stopniowo ulegają pod naporem intruzów. Najpierw pękły na pół, lecz nie poddały się jeszcze. Potem pojawiło się pęknięcie na górze, później na dole. Po chwili przez szczelinę dało się zauważyć białe, ostre światło latarki.

„Czyżby zabójcy profesjonaliści?” – pomyślałem ze zgrozą. Kopnięcia nie ustawały nawet na

pięć sekund. Po chwili zobaczyłem, jak zamek z mocną, grubą zasową powoli wygina się, jakby był z masła. To był już jego koniec. Teraz stanąłem twarzą w twarz z napastnikami. Jakież było moje zdziwienie, gdy w drzwiach zobaczyłem ...

... ubranego na czarno gliniarza. Tego się nie spodziewałem. Ze zdziwienia pewnie rozwarłem usta, a mój oręż – krzesło i rura wypadły mi z rąk. Zresztą bez sensu byłoby z nimi walczyć. Nawet jak bym wygrał (a było ich pięciu), to pewnie by mnie potem wsadzili na dożywocie. Nie wygrałbym z nimi tym bardziej, że przecież byli uzbrojeni.

W pierwszej chwili nawet trochę się ucieszyłem, że to bastardi, a nie jacyś nazi-debile, czy jakieś psycho-drechy. Szybko jednak zmieniłem zdanie. Z miejsca, ten pierwszy, który kopał rzucił się na mnie z nożem. Na początek dostałem kosą w rękę, potem z pięści w twarz.

„Cholera. Jeśli gliniarze łamią prawo, to są w stanie zrobić mi wszystko.” – przemknęło mi przez myśl. Czułem, że ocieram się o śmierć i że bardzo prawdopodobnym jest, że zginę. Teraz jedynie w ich litości widziałem mój ratunek. Po kolejnych uderzeniach, które spadały na mnie niczym grad, zacząłem prosić:

- Nie róbcie mi krzywdy! Au! Ja mam żonę i dziecko! Muszę na nie zarabiać! – krzychałem, lecz ciosy nadal nie ustawały. Ten psychol, który bił, zaciągnął mnie do pokoju, przewrócił, usiadł na mnie okrakiem i uderzał dalej.

- Gdzie masz złoto?! - zapytał po chwili.

- Jakie złoto?! Nie mam żadnego złota! – odpowiedziałem zdziwiony, po czym znów poczułem ciosy na swoim ciele.

- Nie oszukuj. Dawaj złoto! Nie oszukuj! – krzychał, waląc bez opamiętania w moją twarz.

- Jestem biednym człowiekiem. Przecież nie mieszkałbym tu, gdybym był bogaty! – próbowałem tłumaczyć.

- To gdzie masz narkotyki?! Mów !

- Nie mam narkotyków. Au! Nie jestem narkomanem!

- Kłamiesz! – psychol krzychał i uderzał dalej.

- Nawet nie stać mnie na ćpanie! Mam na utrzymaniu rodzinę!

- Gównu mnie to obchodzi! Dawaj pieniądze !

- Poczekaj! Nie bij! Au! Mam tu na szyi, w portfelu. – nawet nie próbowałem ściemniać. Życie w tym momencie było najcenniejsze. Psychol nie dał mi nawet zdjąć szaszetki. Zerwał ją, raniąc mi szyję. Zachowywał się niczym ćpun, bo może tak naprawdę nim był. Gorączkowo zaczął przeglądać mój portfel. Wszystko, co nie było obiektem jego zainteresowania wyrzucał na podłogę: karty telefoniczne, kartkę z numerami i adresami, a nawet mój dowód. W końcu znalazł jedynie 10 złotych, bo akurat tylko tyle miałem.

- I co, to wszystko ?! – zapytał z rozczarowaniem.

- Tak. – odpowiedziałem, na co otrzymałem kolejny cios. W tej chwili wszedł inny gliniarz i powiedział do psychola:

- Przerwij na razie. Niech nam otworzy drzwi do innego pokoju.

„Chwila ulgi.” – pomyślałem z radością. Jeden pokój był zamknięty na klamkę, której nie było w drzwiach. Oczekiwali po mnie że go dla nich otworzę. Na oczach policji chodziłem po pokoju i szukałem czegokolwiek co mogłoby zastąpić klamkę. Teraz dokładniej mogłem obejrzeć ich twarze. Chciałem zapamiętać każdy szczegół, bo mogłoby mi się to kiedyś przydać w sądzie, przy ewentualnym oskarżeniu. Gdy dostrzegłem, że jedna z osób jest kobietą, doznałem szoku.

„Jak kobieta może brać udział w takim okrucieństwie?” – zadawałem sobie pytanie. Strach paraliżował moje myśli, a oni do tego docinali tekstami:

- Co, policja Ci się nie podoba ty pie...ny punku ?

- My Ci pokażemy co to jest przemoc policji! – jeden z nich nawiązał do dużego transparentu wiszącego na ścianie, na którym widniało hasło: „Stop przemocy policji“, oraz namalowana była przekreślona ręka gliniarza, z policyjną pałą. Teraz sobie skojarzyłem, że to być może on był głównym powodem ich wściekłości.

W końcu udało mi się znaleźć nóż kuchenny, którym chciałem otworzyć drzwi. Gdy zobaczył to bastard, który zapowiedział mi przemoc (nazwijmy go muzykiem), uderzył mnie w głowę i wytrącił mi narzędzie z ręki.

- Co, z nożem na policjantów? Chciałeś nas pozabijać, tak ?

- Chciałem otworzyć nim drzwi- tłumaczyłem.

- To na drugi raz się zapytaj, czy możesz otworzyć drzwi nożem.

Stałem bez ruchu wku...ny i zdeorientowany zaistniałą sytuacją, aż jeden policjant, ten który przerwał psycholowi robotę (nazwijmy go Blondexem), rzekł:

- Otwórz do ch... te drzwi! – zrobiłem to nożem z obawą, iż znów dostanę karę za „napaść na gliniarza z kosą w rękę“. Na szczęście zależało im chyba na obeerzeniu pokoju, bo tym razem mi nie dowali. Rozglądając się weszli do pomieszczenia. Gdy dostrzegli, że nic szczególnego nie ma, zrobili demolkę, po czym wrócili do pokoju biurowego.

- O, masz już drugą gitarę. – powiedział Muzyk, przez co stało się pewne, kto zniszczył mi poprzednią.

- O, tutaj jest jeszcze jedna – Psychol wskazał na kolejną gitarę , która nie była jeszcze do końca zreperowana.

- No to sobie pogramy – stwierdził Muzyk, siadł na ławce i zaczął grać.

„Cholera ! Nigdy bym nie przypuszczał, że gliniarz, a do tego taki cham, mógłby umieć grać na gitarze. Zawsze sobie wyobrażałem, że ci, którzy uczą się grać na gitarze są wrażliwi i równi.” Teraz ten głupawy stereotyp leży w gruzach. Zresztą, w bonheadzkich kapelach też przecież grają gitarzyści, więc było to tylko złudzenie.

- Przecież na tym się nie da grać – rzekł i zamienił zepsutą gitarę na dobrą. – O, ta już lepsza – stwierdził i zaczął grać, co prawda nie najlepiej. Były to jakieś ogniskowe melodie. Gdy tamten grał, Blondex zażądał ode mnie dowodu.

- Nie mam przy sobie. Został wysypany na podłogę w tamtym pokoju, wraz z całą zawartością mojego portfela.

- To idź po niego. – rozkazał i ruszył za mną. Z pośród porozrzucanych kart telefonicznych, papierów, zdjęć itp. znalazłem mój dowód i dałem Blondexowi. Po chwili wróciliśmy do reszty policjantów. Muzyk jeszcze grał, a pozostali szperali, gdzie się da. Psychol dostrzegł butlę gazową i odpalił ją na cały zycher. Blondex zaczął mnie przepytawać z dowodu, by sprawdzić, czy rzeczywiście należy do mnie.

- Jak się nazywasz? Imię ojca? Data urodzenia? Adres zamieszkania? - pytał raz za razem, a ja odpowiadałem mu, zgodnie z prawdą.

- Pochodzisz z Siedlec ?

- Tak.

- To co tutaj robisz ? – zapytał zszokowany, jakby to było dziwne, że ktoś wyemigrował do Warszawy.

- Zarabiam na rodzinę. – „spowiadałem” się dalej.

- Tutaj? Nie możesz u siebie ? – zapytał, z oburzeniem lokalnego rasisty.

- Niestety, w moim mieście nie ma wolnych miejsc pracy.

- A tutaj co robisz?

- Gram na gitarze.

- Żebrzesz ?

- Gram na gitarze. – powtórzyłem stanowczo.

- A jakiej muzyki słuchasz? Pewnie punka? – dodał z pogardą Muzyk.

- Różnej. – odpowiedziałem.

- Włącz magnetofon, zobaczymy.

W magnetofonie był Fate, więc pomyślałem, że przyczepi się też do muzyki. Trafiłem wesoły kawałek- „Ska”, który zupełnie nie pasował do grozy sytuacji.

- Ooo... Nawet da się słuchać. – stwierdził Muzyk ze zdziwieniem.

- Szybko załatwiłeś sobie nowe gitary. – zauważył tym razem Psychol.

- Nie na długo. Ha! Ha! Ha! – złowieszczo zaśmiał się Muzyk, a Psychol złapał gorszą gitarę za gryf i zamachnął się, w momencie kiedy ja rozpaczliwie prosiłem.

- Proszę, nie psujcie mi jej. Nie będę miał jak wyżywić rodziny! Bądźcie ludźmi! – niestety, moje prośby nie przyniosły żadanego rezultatu. Zostały przerwane przez psychola, który bezlitośnie roztrzaskał pudło gitary na mojej głowie. Ani się otrząsałem, to samo zrobił Muzyk z instrumentem, na którym przed chwilą pogrywał. Byłem zrozpaczony i obolały. Nie mogłem pojąć ich okrucieństwa i bezwzględności. Straciłem kolejne źródło utrzymania. Kto mi teraz da gitarę, skoro moi wszyscy znajomi, którzy posiadali takowy instrument pomogli mi ostatnio, a ich własność roztrzaskała się przed chwilą na moim łbie. Z przerażeniem zastanawiałem się, czy uda mi się przeżyć tę tragedię. Mieli niezły ubaw z tego, że rozwalili mi instrumenty. Bałem się. Wszystko wskazywało na to, że oni rzeczywiście chcą mnie zabić. Naiwność i nadzieja mówiły mi: „Co ty. Przecież to są policjanci, nie mordercy. Załazłeś im za skórę, więc chcą cię tylko przestraszyć.” Niestety, fakty mówiły zupełnie co innego. Papryka gdzieś schowała się, jak kopali w drzwi i od tamtej pory nie wychodziła.

- I tak były kiepskie. Haha! – stwierdził rozbawiony Muzyk.

- Nie będzie grania.

- Eee tam. Gra jeszcze magnetofon. – cieszyli się, gdy ja z każdym słowem coraz bardziej nienawidziłem tego co robili. Ile bym dał, żeby stanąć z nimi do walki, mając równe szanse. Niestety. Byłem sam, bezsilny i ogarnięty niemocą. Ukradkiem zapytałem kobiety:

- Jak pani może patrzeć na to, a co dopiero uczestniczyć w takim okrucieństwie?

- Nie jestem kobietą. – postać odparła oburzonym, męskim, basowym głosem, a ja nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Ukradkiem przyjrzałem się bardziej i stwierdziłem, iż może to jest naprawdę facet. Niestety, naszą rozmowę usłyszał Muzyk, który nie wiadomo po co, od jakiegoś czasu podgrzewał na gazie metalowy pręt.

- Obrażasz naszego kolegę? Zaraz z ciebie zrobimy kobietę!

- Proszę. Nie róbcie mi krzywdy! Ja mam żonę i dziecko!

- A miałeś kiedyś rozgrzany pręcik w dupie ?

Gdy to usłyszałem, nogi się pode mną ugięły i momentalnie zalałem się zimnym potem. Teraz już byłem pewien, iż chcą mnie zabić. Miałem zginać śmiercią, która nie należała do przyjemnych.

„Co za chory umysł mógł wymyślić taką torturę?! Co za psychole! Muszę się ratować. Musi mi się udać! Znając teren, wybiegnę z budynku dużo szybciej, niż oni. Może uda mi się dobiec do najbliższego wieżowca. Na otwartej przestrzeni mnie nie zabiją, będą bali się świadków. W bloku tym bardziej. Najgorsze, że zostawię Paprykę, ale może jej nie znajdą. Może psa nie zabiją... Ku...a... Nic nie mogę zrobić! Boże pomóż!” – myśli miałem chyba z tysiąc na sekundę.

W takich chwilach człowiek pracuje na najwyższych obrotach. Musi dać z siebie wszystko, a nawet więcej. Dużo więcej. Spostrzegłem, że droga do drzwi jest wolna i najszybciej jak tylko mogłem, a może jeszcze prędzej dałem dyla. Na klatce było ciemno lecz to dawało mi tylko przewagę. Ja przez miesiąc zdążyłem dokładnie poznać drogę – gliniarze nie. Każde pół piętra brałem jednym skokiem, chociaż miało po sześć schodków. Skacząc ani razu nie zatrzymałem się na ścianie. Łapałem się poręczy i skakałem dalej w przeciwnym kierunku. Z tą szybkością mógłbym pewnie bić rekordy. Jednym ruchem zatrzasałem za sobą drzwi by zyskać choć te parę sekund, które gliniarze stracą na ich otworzenie. Potem biegłem do oddalonych o jakiś kilometr bloków. Po jakichś, może dwustu metrach usłyszałem głośnie:

- Stój! Bo strzelam ! - nawet nie zwoźniłem. Przecież właśnie przed śmiercią uciekałem. Jakże miałbym się jej poddać. Na otwartej przestrzeni miałem szansę, że w ogóle nie wystrzeli z obawy na przypadkowych świadków. W zamkniętym pomieszczeniu nie wierzyłem w litość tych gliniarzy psychopatów. Nie po tym co mi zrobili i co usłyszałem. Na wszelki wypadek robiłem niespodziewane ruchy i skręty oraz biegłem jak najszybciej by jak najbardziej zwiększyć dystans. Tylko raz się obejrzałem gdy usłyszałem głośnie:

- Ku...a je...na ! - to Psychol wyrzucił się na lodzie. Po tym może zaprzestał pościgu. W końcu dobiegłem do bloku. W duchu modliłem się tylko aby drzwi klatki były otwarte. Cholera ! Pie...ony domofon! Zamknięte. Uciekam więc dalej. Pobiegłem za blok i widzę drugą klatkę. Na szczęście otwarta. Wbiegam od razu na schody i biegnę ile sił do góry. Zatrzymałem się dopiero na czwartym piętrze. Nasłuchuję, czy nikt mnie nie goni. Coś jakby ktoś wchodził do klatki. Cholera! Będą mnie szukać! Muszę się gdzieś ukryć. Myśli znowu panicznie zaczęły biegać mi po mózgu. Pukam do pierwszych lepszych drzwi:

- Kto tam? - usłyszałem standardowe pytanie po chwili dłuższego stukania. Na to pokrótce zacząłem opowiadać moją historię zastępując „policjantów” „bandytami”, co z resztą nie miało się z prawdą. Jakbym użył pierwszego słowa podejrzewam, że mało kto by mi uwierzył, a tym bardziej pomógł. Prędzej by mnie uznał za przestępcę. Cały czas mówiłem przez zamknięte drzwi, a osoba za nimi prawdopodobnie obserwowała mnie przez judasza.

- Boję się, że mnie gonią. Już mnie zranili. - pokazałem zakrwawioną dłoń. - Czy mogę się u Państwa ukryć przez chwilę? - zakończyłem proszącym głosem.

- Idź Pan zadzwoń na policję. Policja jest od tego.

- Ale ja nie mam telefonu.

- Ci obok mają. - padła odpowiedź, po której zacząłem pukać w sąsiednie drzwi. Nikt nie odpowiada. Pukam do następnych. Po usłyszeniu „Kto tam?” w końcu ktoś otworzył mi drzwi. Pokazuję zakrwawioną rękę i mówię:

- Gonią mnie bandyci, zranili mnie. Czy mogę się schronić na chwilę, opatrzyć rękę oraz zadzwonić ?

- Ale ja nie mam telefonu.

- To niech pan mnie chociaż wpuści do środka. Nie rozumie Pan, że się boję i że muszę opatrzyć rękę ?

- Ja panu nic nie poradzę. Musi Pan zadzwonić na policję albo po karetkę. Ci naprzeciwko mają telefon. Lepiej do nich Pan pójdzie.

- Ale u nich już byłem i nikt tam nie odpowiada.

- Nic Panu nie poradzę. Ja nie mam telefonu. - po czym zamknął drzwi, a ja ze łzami w oczach powiedziałem:

- Jezus kiedyś powiedział: „Wszystko coście uczynili najmniejszemu z braci moich, mnieście uczynili.” Pseudo katolicy.

Wszyscy pewnie pójdą w niedzielę do kościoła i wszystko będzie w porządku. Zupełna znieczulica. Czulem, że gliniarze mogliby mnie zabić na oczach tych wszystkich ludzi i nikt by na to nie zareagował.

Podszedłem do schodów i zacząłem nasłuchiwać, czy mnie nie gonią. Nic nie było słychać. Obszedłem wszystkie okna i sprawdziłem, czy na dole nie stoi jakaś „suka policyjna”, czy nie kręcą się jakieś bastardy. Na szczęście nic takiego nie zauważyłem. Postanowiłem odczekać jakieś 10-15 minut, potem zadzwonić do kogoś i opowiedzieć całą sytuację na wypadek, gdyby jednak nie daj Boże coś mi się stało. Po jakiś piętnastu minutach odważyłem się wyjść z klatki. Szybkim krokiem, nie za prędko, by nie wzbudzać podejrzeń, ruszyłem w stronę przeciwną niż, z której przybiegłem. W kierunku „Rzeczywistości”- skłotu na Dolnej, gdzie głównie mieszkałem.

Obok parku najpierw usłyszałem, a potem zobaczyłem dwóch gości zjeżdżających na desce po śniegu. Ja - człowiek szukający pomocy nie przebiera za bardzo w środkach lecz sprawdza każdą napotkaną możliwość podania mu ręki. Podszedłem więc do nich i opowiedziałem im całą sytuację tak jak wcześniej zatajając fakt, iż napadający mnie bandyci byli gliniarzami. Jednak gdy zaczęli mi się dziwić czemu nie pójde z tym wszystkim na policję. Odpowiedziałem im w końcu:

- Bo to oni byli policjantami.

- Jak to? - zapytali zdziwieni.

- Tak. To właśnie policjanci mnie napadli.

- Byli ubrani jak policja?

- Tak.
- Może to byli poprzebierani policjanci?
- No przestępcy czasami się przebierają za policję – wtrącił drugi.
- Ale to byli na prawdę gliniarze. Przecież przestępcy nie interesowaliby się moim dowodem. Nie zadawali by dociekliwych pytań. Zrobiliby swoje bez tego wszystkiego. - próbowałem ich dalej przekonać.

- No co ty ? Po co policja miałaby cokolwiek robić ?
- Nie wiem. Może chcieli się zemścić za wiszący na ścianie transparent przeciwko przemocy policji.

- No co ty ? Przecież wielu ludzi ma u siebie w domach jakieś teksty na policję i ich za to nie zabijają. - Ci dalej tkwili przy swoim, więc przestałem ich przekonywać, że mówię prawdę i od razu przeszedłem do sedna sprawy, o co mi chodzi.

- Dobra. Nie ważne, czy to byli bandyci, czy policja. Moglibyście proszę tam pójść ze mną po mojego psa ?

- No co ty ? Żeby nas też chcieli zabić ?

- Przecież nie musieliście tam wchodzić do środka. Wystarczy żebyście spojrzeli na mnie i zaczekali, aż wrócę, a jakbym nie wrócił, to byście nagłośnili sprawę, zadzwonili na pogotowie, straż pożarną itp.

- No co ty ? Powinieneś zadzwonić na policję. Przecież to byli na pewno bandyci. Policja takich rzeczy nie robi.

Widząc, iż nie ma szans by ze mną poszli wysepłem od nich kartę telefoniczną i poszedłem w swoją stronę. Gdy odchodziłem ze łzami w oczach słyszałem jak powrócili do swej beztroskiej zabawy, jak znowu się śmieją tak jakby nic się nie stało. Bo dla nich też nic się nie stało. Zabawa dla nich toczyła się dalej. Piszac ten rozdział teraz i biorac pod uwagę niedowierzanie zwykłych ludzi w przestępczość policji zdaje sobie sprawę, że większość ludzi weźmie tę historię jako wyssaną z palca. Jednak żywię nadzieję, że niektórym pomoże otworzyć oczy. Być może niektórzy z Was usłyszą jedną z podobnych historii, które zdarzają się wcale nie tak rzadko. Nie usłyszysz ich jednak nigdy w TV, radio. Nie przeczytasz ich w prasie. Cały ten system kreuje policję jako stróża prawa i porządku przez co unika, a wręcz zakazuje wytykania i wywlekania ich wad. Jednak My wszyscy, aktywiści, skłotersi, ludzie ulicy, bezdomni i wszyscy Ci, którzy chociażby swym ubiorem odstępują od powszechnie przyjętych norm wiemy, iż najwięksi przestępcy to policjanci. Być może dzieje się tak dlatego, że prawo to „dziwka, która służy bogatym”, a policjanci to element systemu, który ma za zadanie chronić tych uprzywilejowanych u władzy przed biednymi oraz tych wpasowanych, podporządkowanych systemowi przed tymi, których podporządkować się nie da.

Kiedyś anarchiści zrobili bardzo trafny plakat. Zdobiło go hasło: „Chcesz mordować, kraść, gwałcić, rabować i zabijać bezkarnie ? Wstąp do nas ! - Policja i wojsko.” Rzeczywiście. Bastardy prawie nigdy nie są ukarani za ich przestępstwa. Gliniarz który zabił policyjną pałą uciekającego trzynastoletniego Przemka podczas zamieszek z kibicami mimo, że wywołało to masowe protesty zwykłych ludzi i zjednoczonych kibiców mimo, iż głośno było o tym w mediach mimo, że zdarzenie to zbulwersowało całe społeczeństwo to sprawca nigdy nie został ukarany. Jedyne co go spotkało to krótki pobyt w zakładzie psychiatrycznym, po którym morderca dostał dożywotnią rentę - nagrodę za zabójstwo.

Zwabieni tą bezkarnością do policji trafiają często nieodpowiedzialni ludzie: psychopaci i zakompleksione dupki, którzy za małolata zawsze byli gnojeni. W mundurze czują się kimś lepszym, kimś kogo każdy ma się słuchać, a jak nie to mają wspaniałe pretekst by w imieniu prawa i porządku się wyżyć, wyładować swoją agresję i popisać się przed równie skrzywionymi psychicznie jak on kolegami. Jak to się umie przyp...ć pałą. Jakim się jest wielkim i ważnym gnojąc każdego, który nie koniecznie jak ja wówczas zrobił cokolwiek złego. Bo, czy wywieszenie transparentu „Stop przemocy policji” może być czymkolwiek złym ? Jeśli ta przemoc istnieje to dlaczego ma się nie być przeciwko niej ? By mogli sobie ją dalej stosować przy zamkniętych

oczach, uszach i ustach wszystkich innych ? Zrozumiałbym może urażenie się jakiegoś policjanta, który jest w porządku (bo i tacy się zdarzają, choć szkoda, iż tak rzadko) i stara się nie używać przemocy jeśli nie jest to konieczne. Jednak ten zapewne raczej by mnie poprosił o zmianę hasła na „Stop przemocy niektórych policjantów.”, a nie utwierdzał mnie w moim przekonaniu poprzez stosowanie kolejnej brutalności.

Gdy oddaliłem się na bezpieczną w miarę odległość odważyłem się wyjść na drogę główną, by stamtąd zadzwonić i opowiedzieć całą sytuację na wypadek, gdyby (odpukać) coś mi się stało, by wszystko wówczas było wiadome. Bym nie zaginął bez śladu. Na szczęście miałem przy sobie kartę z jednym albo może nawet dwoma impulsami. Notes z numerami telefonów został wyrzucony przez Psychola na Skłoterskiej. Pozostały mi więc jedynie numery, które miałem w pamięci. Do Janki zadzwonić nie mogłem, bo by się pewnie zamartwiła na śmierć. Nie pamiętałem żadnych numerów warszawskich więc pozostało mi jedynie zadzwonić do Wandy, siostry Janki. Obudzoną poprosiłem by koniecznie oddzwoniła na numer budki, bo nie mam już prawie nic na karcie a mam dużo do powiedzenia. W skrócie opowiedziałem jej całą historię zaznaczając, że jeśli nie zadzwonię za kilkanaście godzin znowu, to znaczy, że coś mi się stało i całą sprawę trzeba nagłośnić. Słuchając mnie była wstrząśnięta, przejęta i zszokowana. Poprosiłem ją także by mi obiecała nic nie mówić Jance aż sam z nią na ten temat nie porozmawiam.

- No co ty. Dobrze, że do niej nie zadzwoniłeś, bo Janka to by się o Ciebie bała, że ja nie wiem.
- No sama rozumiesz. Dobra. To ja będę kończył. Teraz muszę odzyskać Paprykę.
- I co ? Wrócisz po nią ?
- Muszę. Przecież jej nie zostawię.
- A jak oni czekają tam na Ciebie ? Jak Cię złapią ?
- Nie wiem. Chyba pójdę najpierw poproszę w przychodni. Może ze mną pojadą.
- No miejmy nadzieję.
- Będzie dobrze! Dobra. To ja kończę.
- No to trzymaj się. Powodzenia. Będę czekać na telefon. Nie zapomnij zadzwonić.
- To cześć. Trzymajcie kciuki.
- No. Cześć.

Po rozmowie z Wandą szybkim krokiem, bocznymi uliczkami udałem się w kierunku szpitala. Powoli rozglądałem się dookoła by szybciej zobaczyć policję niż zostać przez nich zauważonym.

Bezpiecznie udało mi się dotrzeć do szpitala, gdzie zamiast poprosić o opatrzenie ręki, zacząłem opowiadać sytuację po raz kolejny zatajając fakt, że bandyci byli gliniarzami. Na końcu opowieści w trakcie, której pielęgniarka, ochroniarz i jakiś lekarz patrzyli na mnie jak na idiotę myśląc pewnie „Po co on nam to wszystko opowiada ?” poprosiłem ich:

- Teraz tam został mój pies, a ja boję się po niego wrócić. Proszę, czy mógłby ktoś tam ze mną pojechać ? - zapytałem naiwnie.

- My się zajmujemy ratowaniem ludzi, a nie psów.

- No ja rozumiem. Ale niech Państwo spróbują mnie też zrozumieć. Ten pies to mój najlepszy przyjaciel. Proszę pomóżcie mi. - prosiłem już ze łzami w oczach.

- My nie jesteśmy od tego. Może zadzwoń na policję.-znowu zaproponowano mi jedno z najgorszych rozwiązań.

- Już próbowałem jednak oni też mnie olali.-tym razem nieco skłamałem by nie powtarzać sytuacji z narciarzami.

- To już nie nasza wina.

- Jak tu szedłem miałem nadzieję, że mogę na Was liczyć jako na dobrych ludzi. Proszę nie dajcie mi się zawieść. - teraz coś we mnie pękło i rozbeczałem się już na dobre.

- My jedynie możemy Panu opatrzyć rękę. - stwierdził lekarz.

- Ale w tym momencie ratowanie psa jest dla mnie ważniejsze. Ja mogę cierpieć.- mówiłem dalej płacząc.

- Jeśli nie chce Pan byśmy Panu opatrzyli rękę to proszę niech Pan opuści teren szpitala.

- Proszę Was. Okażcie serce, pomóżcie mi ! - teraz to już chyba błagałem przez łzy. Jako, iż sam nie kwapiłem się do wyjścia, wyprowadził mnie ochroniarz.

- Chłopie, czegoś ty się naćpał ? - zszokował mnie swym pytaniem na odchodne.

- Co ?! Ja naćpał ?? Ja jestem przeciwny braniu narkotyków.-zaprzeczyłem.

- Taaa... Akurat.-odparł z niedowierzaniem, a zamykając drzwi jeszcze zagroził.

- Lepiej już tu dzisiaj nie wracaj.

Odszedłem więc zrozpaczony, zawiedziony i ze łzami w oczach. Na pomoc innych nie miałem co liczyć, więc po Paprykę musiałem zaryzykować pójść samemu. Poprzemykałem więc bocznymi uliczkami z powrotem w stronę Skłoterskiej. Gdzieś w okolicy knajpy spotkałem parę młodych ludzi. Po raz kolejny streściłem im historię, po raz kolejny zatajając fakt, że bandyci byli gliniarzami. Skończywszy poprosiłem :

- Ja teraz muszę iść po szczeniaka, którego tam zostawiłem i mam do Was ogromną prośbę. Bardzo boję się tam wracać i chcę byście poczekali na mnie na zewnątrz. Czy moglibyście to dla mnie zrobić?

- Chyba moglibyśmy ?-chłopak spojrzał pytająco na swoją dziewczynę.

- No pewnie. - na szczęście oboje się zgodzili.

- Dzięki. Jeślibym nie wrócił za minutę to znaczy, że coś mi się stało. Zadzwońcie proszę na pogotowie, potem na policję i opowiedzcie co się stało. Jak będziecie dzwonić na policję, to nie zapomnijcie proszę dodać, że o wszystkim dowie się prasa. Dobra ?

- Dobra.-oparł gościu.

- Jeszcze chciałbym byście zadzwonili także do mojej koleżanki. Tutaj jest jej numer oraz karta.

- Kartę mamy.-zaoferowała dziewczyna.

- Wielkie dzięki! Zaraz wracam.-odparłem z nadzieją i ruszyłem w stronę Skłoterskiej. W miarę zbliżania się strach narastał we mnie coraz bardziej. Myśli coraz bardziej zaczęły się gmatwać. Narodził się dylemat: „Czy będąc ojcem mam prawo ryzykować życie dla psa ?” To bardzo trudne pytanie mało co nie zawróciło mnie z drogi. Me wątpliwości i strach w końcu zostały zwyciężone przez wiarę w pomoc Boga oraz argumenty: „Przecież Papryka uratowała mi życie. Jakże mógłbym ją teraz opuścić ?”, „Jakże będę dalej żył ze świadomością, że ją opuściłem ?” Przed wejściem na skłot przeżegnałem się i w duchu pomodliłem się : „Boże, proszę, żeby nic jej nie zrobili i by nic mi się nie stało. Dla mojej córki, dla Janki.”

Bezszelestnie wszedłem do środka. Przez chwilę ponadśłuchiwałem, czy nikogo nie ma w środku. Cisza. Z największą ostrożnością udałem się na górę i wszedłem do pomieszczeń knajpowych. Wszystko zastałem poroż...ane. W pierwszej chwili rozpacz. Nigdzie nie widzę Papryki. Gdy jednak dokładniej się rozejrzałem, zobaczyłem ją wtuloną i schowaną pod przewróconym fotelem. Kamień spadł mi z serca. Szybko wziąłem ją na ręce i przytuliłem. Cała drżała i zaczęła smutno popiskiwać tak jakby się skarżyła. Być może przestraszyła się całą tą sytuacją. Być może dostała parę kopów od skur...i. Jednak dobrze, iż chociaż jej nie zabili. Byłem szczęśliwy i wzruszony, że żyje. „Boże dziękuję Ci, że nic jej się nie stało.”

- Już wszystko dobrze Papryczko. Wszystko dobrze.- głaszcząc uspokajałem sunię.- Już nigdy Cię nie zostawię. Przepraszam ale musiałem ratować swoją skórę. Już nigdy Cię nie zostawię.- obiecałem.

Nie było to miejsce ani pora na pieszczoty. Szybko zebrałem z podłogi portfel oraz wysypane z niego papiery i czym prędzej opuściłem Skłoterską.

- Dobrze, że jesteś bo już mieliśmy iść dzwonić.- oznajmił chłopak.

- Wielkie dzięki. Bez Was chyba nie odważyłbym się tam wejść. Bardzo mi pomogliście.

- Nie ma sprawy. Trzymaj się! I uważaj na siebie!- powiedzieli na pożegnanie.

- Miłej nocy. -życzyłem im na pożegnanie po czym rozeszliśmy się w swoje strony. Ja bocznymi uliczkami w kierunku „Rzeczywistości”, oni w stronę przeciwną.

Po drodze zadzwoniłem jeszcze do Wandy, by spała spokojnie. Krótko powiedziałem jej tylko, że odzyskałem Paprykę i że zadzwonię do niej gdy się wyśpię by opowiedzieć jej więcej.

Mimo zniszczonych gitar, mimo zdemolowanych i rozkradzionych sprzętów, mimo straconego miejsca na knajpę, w które włożyłem tyle pracy, mimo tego wszystkiego, szczęśliwy wracałem do domu. Papryka była cała i zdrowa. To było najważniejsze. Tak zwane „szczęście w nieszczęściu.” Co prawda była jeszcze bardzo wystraszona jednak miałem nadzieję, iż nie zostanie jej żaden uraz psychiczny na stałe. Chyba, że niechęć do policji, co wcale by mnie nie zdziwiło.

Po tych wszystkich przeżyciach, byłem tak bardzo zmęczony, że o niczym nie chciałem myśleć tylko o tym by bezpiecznie wrócić do domu, położyć swe zmęczone ciało i w końcu się wyspać. Gdy dotarliśmy do Dolnej, powoli się już rozwidniało. Jak dobrze, iż mamy jeszcze tę „Rzeczywistość”, a w niej mały pokój i wygodne łóżko. Chyba nigdy przedtem nie doceniałem tak bardzo tego skłotu, gdzie życie czasami bywało bardzo ciężkie.

POCZĄTKI SPOKOCHATY

Moje stosunki z Backiem z dnia na dzień się pogarszały. Mój najlepszy kumpel zaczął się do mnie przyczepiać o coraz mniejsze szczegóły. Ja starałem się wychodzić obronną ręką przez co kłóciliśmy się jeszcze bardziej. Stawało się dla mnie jasne, że jeśli się nie wyprowadzę, to nasza „przyjaźń” może zakończyć się nawet bójką. To była tylko kwestia czasu. Nasze kłótnie stawały się coraz bardziej zajadłe. Więc gdy tylko Kwiatek i Agniecha zdecydowali się zamieszkać na skłocie, od razu wybraliśmy termin przeprowadzki.

Niestety Agniecha nie mogła od rana urządzać mieszkania, ponieważ miała pracę. Ominęło ją wiele roboty. Za nią pomagała nam Ewa – jej siostra, która w przyszłości też miała z nami zamieszkać. Roboty było od groma. Na sam początek wybraliśmy jedno z mieszkań, które były puste. Oprócz mnie, Ewy, Kwiatka, którzy zamierzaliśmy skłotować, pomagali nam Bacek i Rolnik, gościu, który nas tu przyprowadził. Gdy już wybraliśmy lokal, wzięliśmy się za sprzątanie. Śmieci było gdzieś tam po kolana, a gdzieś tam po uda. Zdaje się, że uprzedni i ówczesni mieszkańcy naszej klatki nie trudzili się wynoszeniem śmieci do śmietnika, lecz wyrzucali je do sąsiednich pustostanów, czy nawet pokoi. Jeden nawet, którego zdążyliśmy już poznać na wizycie, „zapoznawczej”, tzw. „czołg” od „czołgów” na głowie, srał i odlewał się w pokoju obok, przez co śmierdziało w całym mieszkaniu. Ohydna!

Ohydna była też nasza praca. Mimo tego, że to, co miało zgnić już pogniło lub wyschło, to usuwanie góry śmieci nie należy do przyjemniejszych zajęć, chociaż miało też przyjemniejsze strony. Wśród śmieci można było znaleźć całkiem interesujące rzeczy, tzn. wiele sprzętów, dupereli, które mogłyby się nam z czasem przydać, dużo raczej nieciekawych książek, dużo map, doniczki, żyrandole, walizki, guziki i inne różności. Była tam też przeogromna masa „świerszczyków” i kołpaków samochodowych, co mogło świadczyć o wręcz fanatycznym zamiłowaniu do tych rzeczy poprzedniego mieszkańca. Robota szła sprawnie i szybko. Raczej nikt się nie obijał. Wynosiliśmy prawie wszystko w tekturowych pudłach z braku czasu do pustostanu obok. Głupio mi było robić coś co potępiam, lecz za to z góry sobie obiecałem, że nie będziemy wyrzucać własnych śmieci na pustostanie, a ponadto będziemy starali się je segregować. Gdy w miarę posprzątałśmy opuściła nas Ewa, która chciała już pojechać do domu rodzinnego, który mieścił się w małej wiosce koło Mińska Mazowieckiego. Bacek i Rolnik wzięli się za zamek, a ja za przepychanie kibla, co uważam za jeszcze gorszą robotę niż sprzątanie śmieci. Ktoś jednak musiał ją zrobić. Podziubałem, podziubałem. Kilka razy przyniosłem z dołu trochę wody, spuściłem i pierwsza, jedna z najważniejszych wygod na naszym skłocie zaczęła funkcjonować. Co prawda jeszcze jakiś kamień, czy coś tamował trochę odpływ. Czasami przez to kibel zapychał się i trwały awantury o to, kto to spowodował i kto ma go przepchać. Na szczęście ktoś kiedyś się odważył i w jakiś sposób go wyciągnął, bo kamień, czy coś znikło.

Gdy skończyłem z kibelem, zobaczyłem jak chłopakom idzie robota. Bacek poza tym, że nie wiem po co, powykręcał ze wszystkich futryn „zamki klamkowe” zaczął nożem Rolnika wybijać dziurę. Nie wyglądało mi to wszystko na roboty fachowca, który rzekomo tak pięknie zrobił meble w swym mieszkaniu, że wyglądały jak kupowane (jeśli nie były). Trudzili się jeszcze z wybić

dziury z godzinę, po czym okazało się, że zrobili ją w złym miejscu. Przez to mocny zamek Gerdy, który wzięłem od ojca mógł zostać wywalony byle, jakim kopnięciem. Trochę mnie to wkurzyło, co dałem znać w słowami: „Co to za fachowcy, co partaczą robotę! Te słowa z kolei wkurzyły Backa. Na tym kiepsko założonym zamku zakończyliśmy całą robotę na dzień dzisiejszy.

FOOD NOT BOMBS

Food Not Bombs-jedzenie zamiast bomb, to powstała w 1981 roku anarchistyczna organizacja, której główną ideą jest rozdawanie wegetariańskiego jedzenia. Organizatorzy już poprzez samą nazwę akcji komunikują, że zbyt dużo rządowych pieniędzy wydawanych jest na zbrojenia, podczas gdy tak wielu ludzi głoduje. Poprzez tę akcję anarchiści doskonale udowadniają, że mają do zaproponowania dużo lepszy porządek niż politycy, którzy tak często swój „ład” ustanawiają poprzez wojnę i terror. Pokazują, iż by pomagać innym wcale nie są konieczne przymusowe podatki, lecz wystarczy zwykły odruch ludzkiego serca.

Obudziłem się na berlińskim Alexanderplatz. Byłem mocno skacowany i ku...sko głodny. Jak zwykle w takich sytuacjach zacząłem sępić od przechdniów pieniądze aby móc coś przekąsić i czegoś się napić. Ledwo zacząłem to robić, a podszedł do mnie niemiecki punkowiec, którego też sytuacja zmusiła i zapytał mnie:

Nie wiem, z jakich powodów obudziłem się na Alexanderplatz. Byłem mocno skacowany i byłem ku...sko głodny. Jak zwykle w takich sytuacjach zacząłem sępić pieniądze by czegoś się napić i móc coś przekąsić. Ledwo zacząłem to robić, a podszedł do mnie niemiecki punkowiec, którego też sytuacja zmusiła i zapytał mnie:

- Cześć Hipi! Chcesz zjeść coś dobrego za darmo?
- Kur...! Tylko nie Hipi! Pewnie, że coś bym zjadł. – odparłem
- To chodź ze mną. O 14.00 będą tutaj obok rozdawali.
- To jest już druga godzina??!
- A co, nie wiedziałeś?
- Długo spałem.
- Zdarza się – odparł mój towarzysz po czym poszliśmy na drugą stronę placu. Obok białego, busowego Volkswagena. znajomi sępiarze już posilali się zupą. Zeszło się też sporo bezdomnych.

Ortodoksyjnie wyglądający punkowiec w mniej więcej moim wieku nalewał wszystkim wegańską zupę, życząc przy tym smacznego i zapraszając wszystkich ponownie za tydzień. To była jego anarchia.

Jedząc ten należący się mojemu ciału już od paru dni porządnym, zdrowy posiłek, rozmyślałem sobie: „Kur...! Przecież na jego miejscu równie dobrze mógłbym stać ja. Zamiast tak codziennie zalewać się alkoholem, powinienem tak jak oni robić coś pozytywnego”. Podobała mi się ta akcja. Była szczerą i konkretną. Nie przestając jeść, zacząłem gadać z tym punkowcem.

- Skąd macie pieniądze na jedzenie?
- Zrzucamy się między sobą.
- Naprawdę? Z własnych pieniędzy?
- Tak.
- I stać was na to wszystko? Przecież to masa żarcia, a jeszcze herbata i wasz czas. Kupa wydatków.
- Ciebie też byłoby stać gdybyś tak dużo nie pił.
- Pewnie masz rację. Może mógłbym Wam jakoś pomóc? W gotowaniu, albo może czym innym?
- No pewnie, jak najbardziej. – wyraźnie ucieszyła go moja oferta – przyjdź w następną niedzielę do Blajby. Ty chyba wiesz, gdzie to jest?
- Tak, oczywiście, że wiem. Spróbuję przyjść. – rzuciłem pustą obietnicę.

Blajba to prowadzony przez punkowców socjal, gdzie przez cały tydzień można bardzo tanio

śniadaniować, wykąpać się, wyprać rzeczy pograć w bilard, piłkarzyki itp. Podziwiałem tych ludzi za tę inicjatywę.

– No pewnie, jak najbardziej. – wyraźnie ucieszyła go moja oferta – przyjdź w następną niedzielę do Blajby. Ty chyba wiesz, gdzie to jest?

– Tak, oczywiście, że wiem. Spróbuję przyjść. – rzuciłem pustą obietnicę. Blajba to prowadzony przez punkowców socjal, gdzie przez cały tydzień można bardzo tanio śniadaniować, wykąpać się, wyprać rzeczy lub po prostu na trzeźwo posiedzieć i pograć w bilard, piłkarzyki itp. Podziwiałem tych ludzi za tę inicjatywę.

Ten podarowany obiad dał mi dużo do myślenia i na długo utkwiał w mojej pamięci. Myślę, że na pewno miał duży wpływ na moje dalsze życie. To, że podali mi rękę, mimo że byłem na dnie, że bezinteresownie mnie nakarmili było też jednym z powodów, dzięki którym sam w przyszłości zacząłem robić akcje Food Not Bombs.

Drugą ważną przyczyną, która mogła na to wpłynąć, było to, że sam często w swym życiu bywałem głodny i dokładnie wiem jak to jest. Dlatego teraz nawet sam będąc biedny, poświęcałem swój czas, cierpliwość i pieniądze. Dawanie komuś chronicznie głodnemu pożywienia daje tak duże bogactwo satysfakcji, niemalże równe szczęściu obdarowanego.

Po trzecie nie ma chyba lepszego przykładu na prawdziwszą anarchię i na dobro międzyludzkie jak dzielenie się jedzeniem z ludźmi biedniejszymi, podczas gdy samemu nie ma się zbyt wiele. To jeden z lepszych sposobów by uczyć ludzi, że można żyć inaczej, że nie trzeba żyć egoistycznie, że nie wszyscy musimy brać udział w wyścigu szczurów po pieniądze i że euro nie musi być naszym bogiem.

W dzisiejszych czasach uważam Food Not Bombs za dobry sposób, by obronić się przed morderczym i bezdusznym kapitalizmem. Nauczyć ludzi być dobrymi dla siebie, tak jak mnie niegdyś nauczono. Z tego też powodu często najbardziej angażowali się w to skłotersi i inni wcale nie za bogaci ludzie.

Bardzo istotnym powodem prowadzenia całej akcji był sprzeciw przeciwko coraz większym wydatkom na zbrojenia, w obliczu rosnącej liczby bezdomnych, głodnych i biednych. Poprzez prowadzenie tej akcji chcieliśmy pokazać i ośmieszyć rząd od tej strony, że w przeciwieństwie do nas, kilku biednych anarchoskłotersów nie potrafi (a raczej nie chce) pomagać biednym.

Myślę, że wszystkie powody, dla których prowadziłem tę akcję, całkiem nieźle opisałem w „Makulatureczce” nr 10.

Uważam także, iż warto by tu przytoczyć treść innych napisanych przeze mnie na ten temat ulotek. Nie zostały one jeszcze nigdy wcześniej na szeroką skalę opublikowane. Jedynie na początku starczyło nam czasu i energii na to by zrealizować ich odbijanie i rozdawanie. *Poniżej możecie przeczytać dwie z nich. Jako, że opisują one te same FNB jakie opisywane jest także w tym rozdziale wiele z wątków może się powtarzać.*

Food Not Bombs - Jedzenie Zamiast Bomb - ulotki napisane w latach 1999 -2001

- Wypi...ać mi powiedzieli. Odpowiedziałem im, że nie znam takich słów, bo kulturalny człowiek ich nie używa. Na to ochroniarze skopali mnie, obili mi nerki i nogę !

- Mnie też skopali - dodaje kobieta w ciąży.

- Na Śródmieściu to jeden z nich groził mi pistoletem i mówił, że to na ostre. Powiedziałem mu „To strzelaj” i strzelił mi w twarz. Widzi pan te oparzenia? - pokazuje mi skarżący się bezdomny, by uwiarygodnić swoją historię.

- Ja i tak tu urodzę. Nie mam mieszkania i to jest mój dom, ten „kawałek podłogi” - mówi kobieta w ciąży. Oto niektóre relacje bezdomnych jakie usłyszeliśmy podczas środowowego rozdawania jedzenia na Dworcu Centralnym w Warszawie. W taki właśnie sposób policjanci oraz ochroniarze z firmy „Żubrzycki” usiłują wyrzucić koczujących ludzi z Dworca Centralnego. Tego doczekaliśmy się w naszym katolickim kraju, usilnie dążącym do Europy. *(Trochę bez sensu gdyż tzw katolickie partie własnie nie chciały wstepowac do unii)* Jeżeli tak ma wyglądać życie w

„europejskiej Polsce”, to ja dziękuję.

O to niektóre relacje bezdomnych jakie usłyszeliśmy podczas środowego rozdawania jedzenia na Dworcu Centralnym. Ludzi tych policjanci oraz ochroniarze z firmy „Żubrzycki” próbują wyrzucić z Dworca Centralnego. O to czego doczekaliśmy się w naszym katolickim kraju tak bardzo dążącym do Europy. Jeżeli tak ma ona wyglądać, to ja dziękuję. Nie dosyć, że ludzie nie mają, gdzie mieszkać, to wyrzuca się ich z kolejnych miejsc, gdzie nie marzną. Nie dosyć, iż prawie cały czas chorują, a opieka zdrowotna jest dla nich coraz trudniej dostępna, to jeszcze wyrzuca się ich na mróz. Takie nieludzkie postępowanie kojarzy mi się z faszystowską eksterminacją. Sytuacja ludzi w tym kraju z dnia na dzień się pogarsza. Strajkują lekarze, górnicy, nauczyciele, pielęgniarki i wielu innych. Coraz więcej uczciwie, ciężko pracujących ludzi jest coraz bardziej niezadowolonych z życia, które staje się coraz cięższe i droższe. Sytuacja polepsza się jedynie politykom, biznesmenom, urzędnikom i tym podobnym cwaniaczkom, którzy bardziej szkodzą niż pomagają. To oni odpowiedzialni są za stale pogarszającą się sytuację. Bezdomnych, bezrobotnych i biednych jest coraz więcej. Sytuacja jest tak niepewna, że Tobie też może się powinąć noga. Czy chciałbyś by ktoś w ciężkiej sytuacji wyciągnął do Ciebie pomocną dłoń ? A czy Ty sam komuś pomagasz ? Jeśli Ty nie pomożesz dzisiaj biedniejszym , nie zrobi tego nikt inny. Jeśli ludzi pomagających będzie za mało, może okazać się, że ich także zabraknie, kiedy Ty będziesz w potrzebie.

Ludzie ! Miejcie serca ! Jeśli Wy będziecie czynili dobro ten świat stanie się lepszy i znośniejszy! Nie czekajmy ! Jeszcze tyle do zrobienia !

Na dworcu Warszawa Śródmieście bezdomni są poniżani i bici. Przeważnie przez SOKistów, którzy chcą ich stamtąd wygonić, by ci tam nie nocowali. Dzieje się to przeważnie po odjeździe ostatnich pociągów, choć czasami także na oczach oczekujących podróżnych. Nie przeczytasz tego w oficjalnej prasie, ale to prawda. Bezdomni korzystający z Food Not Bombs nie mają powodu by mnie okłamywać. Zresztą sam kilka razy byłem tego świadkiem. Jesteśmy temu przeciwni. Mam nadzieję, że złych SOKistów spotka sprawiedliwość.

Stowarzyszenie Pomocy Najbiedniejszym Food Not Bombs (tłum : Jedzenie zamiast bomb) jest anarchistyczną organizacją zajmującą się rozdawaniem wegetariańskiego jedzenia bezdomnym, najbiedniejszym oraz innymi formami pomocy tymże.

Dlaczego jedzenie, które rozdajemy jest wegetariańskie ?

Dlatego, iż jedząc mięso zabieramy pośrednio jedzenie umierającym z głodu dzieciom w Afryce i krajach trzeciego świata. Koszt wyprodukowania mięsa jest co najmniej kilkakrotnie wyższy niż wyprodukowanie tej samej ilości jedzenia wegetariańskiego, które jest poza tym zdrowsze i często pożywniejsze. Z powyższych też względów nie rozdajemy też kupowanej kawy, czy owoców tropikalnych z biednych krajów, gdzie żywność tam produkowana powinna zaspokajać głód tubylców, a nie być produktem na eksport sycącym chciwość i interesy bogatych plantatorów.

Dlaczego jesteśmy anarchistami ?

Ponieważ uważamy, że każdy rząd (cokolwiek by nie obiecywał) dąży do maksymalnego wykorzystywania i podporządkowania sobie ludzi. My uważając się za ludzi wolnych jesteśmy przeciwni wyzyskowi i służeniu.

Nie podoba nam się też to, iż rząd tak dużo pieniędzy przeznacza na zbrojenia, a tak mało na pomoc ludziom bezdomnym i głodnym. Widać tu doskonale co jest dla nich ważniejsze: zabijanie, czy ratowanie życia.

Dlatego nazywamy się Food Not Bombs - Jedzenie Zamiast Bomb. Pokazujemy, że potrafimy sobie pomagać bez i mimo rządu, który nam tylko przeszkadza. Stać nas na podzielenie się z innymi jedzeniem bez oszukańczych podatków i przymusu. Stać nas mimo, a może dlatego, że wielu z nas mieszka lub/i pracuje nielegalnie i ledwo wiąże koniec z końcem. Wiemy co to być głodnym w przeciwieństwie do innych.

Co to jest Food Not Bombs (Jedzenie Zamiast Bomb)?

Najprościej jest to rozdawanie biednym i potrzebującym wegetariańskiego jedzenia w ramach

protestu przeciw rządowi, który zbyt dużo wydaje pieniędzy na zbrojenia kupując coraz droższe i lepsze maszyny do zabijania podczas gdy coraz więcej ludzi potrzebuje czegoś innego i ważniejszego - jedzenia.

Dlaczego robimy FNB ?

Dlatego, że w przeciwieństwie do rządu nie jesteśmy obojętni na krzywdę ludzką. Podczas gdy coraz większa liczba ludzi nie ma pracy, domów coraz więcej z nich nie ma jak wyżywić swoich rodzin, a nawet siebie, jako jedno z wyjść z całej czas pogarszającej się sytuacji widzimy w pomaganiu sobie nawzajem.

„Pomagajmy Najbiedniejszym.

Przecież są naszymi Braćmi.

Pomagajmy Najbiedniejszym.

Choć nie jesteśmy bogaci.

Pomagajmy Najbiedniejszym.

Wtedy świat stanie się lepszy.

Pomagajmy Najbiedniejszym.

Może ktoś nam też pomoże.”

- Zbuntowani

Dlaczego „Zamiast Bomb” ?

Nie możemy pogodzić się z faktem, że władza wydaje miliardy na maszyny do zabijania i nauczanie ludzi z nich korzystać, podczas gdy tak wielu głoduje. Poprzez tę akcję chcemy pokazać, że my anarchiści, tak często przedstawiani mylnie jako wrogowie ludu, nie będąc bogaci jesteśmy w stanie zorganizować pomoc potrzebującym. W ten sposób także protestujemy przeciw temu, że rząd marnotrawi nasze pieniądze przeznaczając je na doskonalenie armii - maszyny do zabijania, czyli według nas czegoś bardzo złego.

Boli nas to, że 35.000 ludzi (czyli więcej niż podczas ataku na World Trade Center) umiera w męczarniach z głodu każdego dnia. Gdyby choćby 1/5 wydatków na zbrojenia przeznaczyć na dożywienie ludzi nikt z nich nie był by głodny. Za cenę wyprodukowania dwóch najnowocześniejszych samolotów można by zaszczepić wszystkie dzieci w Afryce przeciwko 5 najgroźniejszym chorobom, które powodują tam śmierć. Jednak rządy nie potrafią znaleźć tych pieniędzy.

Dlaczego rozdajemy jedzenie wegetariańskie ?

Ponieważ jest tańsze, pożywniejsze, zdrowsze i nie powoduje tak jak mięso pośredniej śmierci w III świecie oraz bezpośredniej śmierci zwierząt w rzeźniach. Na wyprodukowanie 1 kg mięsa potrzeba zużyć co najmniej 6 razy tyle soczewicy, pszenicy itp. roślin paszowych, którymi mogliby najęść się ludzie. Tak więc jedząc mięso zużywamy dużo więcej jedzenia niż średnio nam przysługuje, a jedząc wegetariańskie posiłki dużo mniej. Czyli jedząc mięso okradamy kilku głodujących w III świecie z przysługującej mu średnio porcji jedzenia, a decydując się na dietę wegetariańską ratujemy kilka istnień przy każdym posiłku. Jakże moglibyśmy rozdawać jedzenie, które pośrednio zostało zabrane głodującym w biednych krajach, a do tego zostało okupione śmiercią niewinnych zwierząt ?

Dlaczego jesteśmy anarchistami ?

(Tak na prawdę to nie wszyscy z nas to anarchiści ani też nie wszyscy, którzy chcą robić FNB muszą nimi być)

Jesteśmy anarchistami ponieważ jesteśmy przeciw władzy.

Dobrze, że i tym razem Anka, Szymon i inni z Ursynowa przybyli nam pomóc. Ostatnio u nas, skłotersów było trochę krucho z kasą. Wiadomo – deszcz, koniec miesiąca. Przerypane. Ja cokolwiek musiałem zawieźć rodzinie, Łysa była już dawno po wypłacie, a reszta i tak żyła z dnia na dzień.

Próbowaliśmy znaleźć i wykorzystać inne sposoby zdobywania warzyw i innych produktów

żywnościowych. Kupowanie ich z własnej kieszeni w naszym wypadku mogłoby kiedyś okazać się poświęceniem nie do przeskokienia. Łysa pytała się w „Eklerku”, lecz te ciule wolą wyrzucić niż komuś coś oddać. Jak zwykle dużo miłsi okazali się właściciele małych zieleniaków. Oni przynajmniej dali choć te dwa, trzy jabłka. Niestety dla tak małych ilości szkoda było zachodu. Dobrze, że pomagali nam ludzie z zewnątrz, tak jak te anarchopunki z Ursynowa. Oni byli konkretnie aktywni. Kiedyś nawet napisali i wydali sporo ulotek o Food Not Bombs. Tym razem przywieźli...

– Griks, popatrz na to. – powiedziała Anka rozwijając transparent.

– Łał!!! Wspaniały – stwierdziłem z zachwytem, a moim oczom ukazało się znane logo FNB z marchewką w zaciśniętej pięści – Kto go namalował? – zapytałem z zaciekawionym.

– Ja – odpowiedział Szymon – Ale trzeba jeszcze poprawić dobrą farbą, bo ten marker to nawet deszcz zmyje.

– Ja mam taką farbę do robienia naszywek, później to zrobimy. Teraz weźmy się za gotowanie – powiedziałem.

– Najpierw zobaczmy jakie mamy składniki i czy trzeba coś kupić. – zaproponowała Łysa.

– No właśnie. My przywieźliśmy trochę jedzenia. – poinformowała Anka pokazując zawartość plecaka.

– O kostka sojowa. Zajebicie! – ucieszył się Rolnik.

– Będzie dobra do kaszy gryczanej. Ha ha ha ha! – śmiała się Ewka.

– To może makarony zostawmy na kiedy indziej, dokupmy kaszę, warzywa i zrobmy tę kaszę gryczaną – zdecydowała Łysa.

– To kto się zrzuca? – zapytałem wyjmując piątkę z kieszeni, a kilka osób dorzuciło jakieś tam drobne.

– Uzbierało się 17,45 zł. – przeliczyła Ewka – To kto idzie na zakupy?

– Ja mogę iść. – zaoferował Kwiatek.

– To ja idę z Tobą, a co w ogóle mamy kupić? – zapytał Rolnik.

– Ze 2 kilo kaszy gryczanej, marchewkę, może być kalafior, jakieś warzywa, plantę¹... – wymieniałem chyba wszystko.

– Zapomniałeś przyprawę. – przypomniała Łysa.

– No właśnie, żebyście tylko wy o niczym nie zapomnieli.

– Ja będę pamiętał warzywa, a Ty resztę. Dobra? – wymyślił Kwiatek.

– To kasza, wegeta i... planta. Aha, jeszcze piwo. – zażartował Rolnik.

– Nie zapomnijcie o czosnku! – przypomniała Anka.

– Właśnie, a my możemy już w tym czasie zacząć gotować wodę. – zaproponowała Łysa.

– Tak, ale żeby ją gotować to najpierw trzeba by ją przynieść. – stwierdziłem.

– To ja skoczę. – zaoferował się Szymon – gdzie są baniaki?

– Jeden tu, a drugi u nas – poinformowała Ewka zlewając resztę wody do garnka, w którym by nie tracić czasu zaraz zaczęliśmy gotować. Po chwili wrócił Szymon. Dolaliśmy wodę, a gdy się zaczęła gotować chłopaki byli już z powrotem z zakupami. Wrzuciliśmy całą kaszę do gotującej się wody, dodaliśmy kostkę planty i czym prędzej zabraliśmy się za obieranie marchewek i buraków, które pociapaliśmy na bardzo drobno, by ugotowały się równo z kaszą. Potem już bardziej na spokojnie dodawaliśmy ziemniaki, kalafior, kostkę sojową, cebulę wegetę, a na końcu, gdy się ugotowało, czosnek, by bezdomni nie chorowali tak często. Przy coraz trudniej dostępnej dla nich opiece medycznej uodparnianie ich na wszelkie możliwe sposoby, stało się tak ważne jak ich dożywianie. Dlatego w jednym dużym baniu na wodę zagotowaliśmy miętę z miodem, co by od razu im się cieplej zrobiło.

Po niecałych czterech godzinach wsiadaliśmy już do tramwaju z pełnym garem „zapychacza”, baniem miętą i wszystkimi talerzami, łyżkami, widelcami oraz kubkami jakie udało nam się w tym celu zgromadzić. Jednorazówek używaliśmy tylko w ostateczności, bo nie są one ekologiczne,

¹ Planta – popularna w Polsce marka tłuszczu roślinnego.

a po drugie ja zawsze wychodziłem z założenia, że przy naszych skromnych funduszach lepiej wydać pieniądze na więcej jedzenia niż na plastik. Bo trzeba się pochwalić, że przy lepszych kasowo dla nas czasach nasze menu było bogatsze o gar sałatki i jeden, a nawet dwa gary innych potraw jak np. ryżu z owocami by choć nieco osłodzić życie bezdomnym.

Gdy jechaliśmy tramwajem ludzie często patrzyli na nas dziwniej niż zwykle. Największe zainteresowanie wzbudzał chyba nieco tajemniczy dla niektórych garnek, co od razu podchwycił Rolnik głośno się nabijając.

– Ewka, uważaj by pokrywka przylegała, bo się kompot wyleje!

– Ciiiiiiicho! Bo jeszcze moja mama się dowie. – powiedziała dwudziestoletnia Łysa, która ze względu na swój nieduży wzrost wyglądała jak czternastolatka. Kupa śmiechu było z tego lecz najwięcej, gdy niektórzy zgorszeni tym ludzie z obawą przesiadali się w inne części tramwaju.

Po kilku przystankach wysiedliśmy na Dworcu Centralnym. Czym prędzej udaliśmy się na nasze stałe miejsce rozdawania. Tam bezdomni już na nas czekali. Staraliśmy się być zawsze na 19.00 lecz z różnych przyczyn często się spóźnialiśmy. Raz nawet byliśmy po 22.00, a Ci biedacy tak w nas wierzyli, że nawet do tej pory czekali i całe jedzenie i tak się rozeszło. To chyba tylko dzięki naszemu ciągłemu powtarzaniu: „Staramy się zawsze być na 19.00, ale wiecie jak to z gotowaniem – czasami się spóźnia. Jednego jednak możecie być zawsze pewni. Jesteśmy tu w każdą środę na mur”. Oni chyba to rozumieli, bo co tam zresztą wymagać punktualności od punkowców, którzy całe życie spóźniali się do szkoły.

Rozwiesiliśmy transparent i zebraliśmy się za rozdawanie. Po kolei nakładaliśmy talerz po talerzu i podawaliśmy je w oczekujące ręce. Na początku naszej akcji często podczas rozdawania ludzie kłócili się o kolejność. Z czasem na szczęście to zanikło, a nawet gdy się zdarzało to raczej sporadycznie i zaraz sami siebie uspokajali:

– Spokojnie. Dla wszystkich wystarczy. Nie ma, co się kłócić – mówili.

Jednak niestety nie zawsze dla wszystkich wystarczało. Zdarzało się tak, że jeden z ostatnich wyskrobywał garnek, że z bólem serca musieliśmy im tłumaczyć:

– Niestety zrobiliśmy tyle na ile było nas stać.

– Przyszłście niestety nieco za późno.

– Może następnym razem.

– Normalnie staramy się być po 19.00. Jeśli od tej godziny będziecie na nas czekać na pewno się załapiecie.

Nie czuliśmy się wtedy z tym dobrze lecz cóż mogliśmy poradzić? Często było to naprawdę wszystko na co było nas stać, a czasami nawet więcej. Moja żona częstokroć robiła mi wyrzuty, że przecież my sami nie mamy domu i ledwo wiążemy koniec z końcem. Jednak ja wciąż pamiętałem mój głód i to, że mi też kiedyś pomogli. Wychodziliśmy z założenia, że przecież ktoś musi pomagać tym biedakom, a jak nie my to kto???

Najgorzej po powrocie było ze zmywaniem. Ekipa „nie skłotersów” z Dworca Centralnego rozjeżdżała się do domów, a u nas nigdy nie było chętnych do tego zajęcia. Czasem robiliśmy to wszyscy razem, czasami znalazł się jakiś ochotnik, czasem losowaliśmy go, a nieraz mimo narzekania wszystkich gary czekały brudne na następną akcję. Co prawda to ostatnie zdarzało się bardzo rzadko lecz niestety bywało i tak.

POŻAR W SPOKOCHACIE

Spaliśmy sobie spokojnie, gdy nagle obudziła mnie i innych Papryka. Zza drzwi usłyszałem jakieś hałasy. Zdało mi się, że ktoś włamał się do przedpokoju. Wskoczyłem tam z rurą w gotowości bojowej lecz gdy zobaczyłem światła latarek, czym prędzej schowałem i zamknąłem się z powrotem. W jednej chwili przypomniała mi się groza napadu na Wilanowską. Przestraszony i pewnie błdy, powiedziałem:

– To policja!

– E tam! Nic nam nie zrobią – pocieszał jak zwykle beztroski Strojka.

– Może do nich wyjść? – zaproponował Bono.

– Może rzeczywiście tak będzie lepiej – stwierdziłem i zacząłem się ubierać. Wziąłem Paprykę na ręce i przeżegnawszy się wyszedłem z pokoju. W mieszkaniu nie było nikogo, a mimo to światło latarki świeciło gdzieś w dużym pokoju. „Co jest grane?”. Pomyślałem zdziwiony i podszedłem do okna zbadać źródło. Okazało się, że to świeci strażak z podnoszonej platformy. Otworzyłem szybko okno i zapytałem:

– Co się stało?

– Na dole się pali.

Rzeczywiście leciał stamtąd całkiem niezły dym. Na dole kilka strażackich samochodów, duże poruszenie, słowem jak na filmach sensacyjnych.

– Czy jesteś sam? – krzyczał strażak.

– Nie! Czy istnieje dla nas jakieś zagrożenie?

– Tak! Ilu Was tam jest?

– Sześcioro.

– To zawołaj wszystkich i zjedziecie ze mną tą platformą.

– Ale jest jeszcze pies.

– To psa zostaw, nic mu się nie stanie.

– Ja bez psa nie pojadę.

– To zejście schodami.

– A da radę?

– Da, da.

I na tym zakończyliśmy dialog. Wszedłem z powrotem do pokoju i objaśniłem co się dzieje, na co Strojka rzekł:

– E tam, jeśli powiedział, że psu nic się nie stanie, to mi też nic się nie stanie. Idę spać. – i poszedł spać.

– Idzie ktoś ze mną na dół? – zapytałem.

– No pewnie, trzeba dowiedzieć się, co się stało. Poczekaj, muszę się ubrać.

W tym czasie obudziłem Artura i Żaka, którzy gdy dowiedzieli się, co jest grane, stwierdzili, że też zejdą. W miarę jak schodziliśmy coraz niżej dym i spaleniznę było czuć coraz bardziej. Było już chyba po akcji gaśniczej, bo czarne od sadzy schody były bardzo mokre, a na parterze była wielka kałuża. Jak się dowiedzieliśmy pożar wybuchł w piwnicy prawdopodobnie od instalacji elektrycznej. Przypomniało mi się jak z Wagą po raz kolejny podłączaliśmy odłączany przez „życzliwych” sąsiadów prąd, a z jakiegoś nie naszego kabla trzaskały iskry. Śmieliśmy się wtedy:

– Ha, ha, ktoś będzie miał problem!

– Taki łączony kabelek nie pociągnie długo. Ha, ha! Szybko się przepali.

Ale mi teraz było głupio.

Straż czekała na energetyków z elektrowni by ci odłączyli prąd. Stało się wiadome, że na jakiś czas będziemy się musieli pożegnać z prądem. Obawiałem się, że przy okazji zawałą nam kable, a jak zaczną dochodzić kto podłączał, to wyjdzie oficjalnie na jaw, że cała kamienica kradnie prąd. Wówczas w najgorszym wypadku czekały nas kolegia o wysokości kilkudziesięciu baniek. Perspektywa nie za ciekawa. Myśląc jak się przed tym uchronić wpadłem na pomysł i zagadałem do strażaka:

– Słyszałem, że czekacie na elektrownię by odłączyła prąd do kamienicy.

– Tak, to jest potrzebne by zlikwidować zwarcie powodujące pożar. – odpowiedział.

– Widzi pan, tak się składa, że akurat wiem jak ten prąd odłączyć i jestem w stanie to zrobić, jeśli dacie mi izolowane kombinerki i obcęgi.

Na to strażak zawołał swego szefa i poinformował:

– Tu jest człowiek, który wie jak idzie instalacja i wie jak ją odciąć.

– W jaki sposób, gdzie? – zapytał starszy rangą.

– Jeśli dacie mi izolowane kombinerki i obcęgi to mogę to zrobić.

– Nie możesz. My nie możemy narażać twego życia. Musisz nam wytłumaczyć.

– No dobra – odparłem i wytłumaczyłem im jak to zrobić.

Jeden ze strażaków zagłębił się w piwnicę lecz wrócił po jakimś czasie i oznajmił, że nie może tam dojść, bo jest pełno wody i śmieci. Czekali dalej na energetyków, a ja stwierdziwszy, że nasze życie nie jest zagrożone poszedłem, tak jak Agata wcześniej na górę do domu spać. Rano obudziliśmy się bez prądu.

NARODZINY SZCZENIAKÓW

Papryka sprawiała od kilku dni wrażenie jakby miała rodzić. Właśnie dlatego do Janki przyjechałem tylko na parę godzin, bo nie mogłem i nie chciałem zostawiać rodzącej suki bez jej opiekuna. Całe szczęście, że moja niunia to zrozumiała i bez problemów mnie puściła. Dla Papryki, młodej suki rodzącej po raz pierwszy obecność najbliższej osoby na pewno ją uspokajała i pomagała przetrwać te ciężkie chwile. Ktoś musiał odebrać poród i lepiej by była to osoba, której ufa, niż osoba, którą by miała pogryźć. W sumie to Wagę, Agatę i Bona zdążyła już poznać lecz nie w takim stopniu jak mnie. Obawialiśmy się trochę, że w trosce o szczeniaki, w bólu i zdenerwowaniu młodej, niedoświadczonej matki mogłaby stwarzać kłopoty. Z drugiej strony to też bardzo chciałem być przy tym wzniosłym wydarzeniu – narodzin nowego życia, a w zasadzie kilku. To wielka radość patrzeć na ten cud natury, to wielkie szczęście w nim uczestniczyć. Jakże żałowałem, że nie dane mi było uczestniczyć, być obecnym przy porodzie Ney. Kosztowało to 50 zł, a nas nie było na to stać w tej ciężkiej sytuacji. Tyle problemów wówczas miałem. Z drugiej strony to chamstwo, że za takie rzeczy trzeba płacić.

Gdy przyjechałem nalałem świeżą wodę Papryce i zaryzykowałem pójść na myjkę. Uspakajał mnie fakt, że suki zwykle rodzą wieczorem lub w nocy oraz że Papryka jeszcze nie zdradzała żadnych objawów obecnych parę minut przed porodem. Jednak, gdy wróciliśmy z myjki stwierdziłem: „to chyba już dziś”. Wkurzało mnie takie czekanie w niepewności.

– Masz rację, zachowuje się tak jak było napisane w książce – potwierdziła Agata, gdy Papryka drapała w materac, chcąc go jeszcze lepiej przygotować do przyjścia nowych domowników. Cała była spocona i denerwowała się nie mniej niż ja. W oczekiwaniu po raz kolejny czytałem w książce, co trzeba robić, aby poród udał się jak najlepiej. Jednak czytanie czegoś w kółko szybko mnie znudziło, więc zacząłem czytać ziny. Niewiele z nich rozumiałem, bo trudno mi było się skupić na tekście. Cały czas myślałem o Papryce, co chwilę przerywałem lekturę i czule ją głaskałem pocieszając przy tym:

– Nie denerwuj się Papryczka, wszystko będzie dobrze. Dzisiaj urodzisz dzieciaczki, wiesz? Takie... Wiesz ile ich będzie? Nie wiesz? Nie liczyłaś? Nie martw się wszystko będzie dobrze, musisz być dzielna – tak jej gadałem, a ona patrzyła na mnie ufnie swymi złaknionymi oczyma. Gdy Bono, Waga i Agata wyszli do Artura zapalić, (bo u nas w pokoju ze względu na ciężarną mamę panował zakaz) Papryka wyłożyła się nieco na grzbiecie i zaczęła stękać. Głaszcząc ją delikatnie uspakajałem ją i mówiłem cicho:

– Przyj Papryka, przyj.

W międzyczasie do pokoju weszła Agata, bo tylko jej pozwoliłem wejść. Nie chciałem by zbyt duża liczba „dalszych” osób denerwowała Paprykę. Agatę Papryka już polubiła. Aga opiekowała się już sunią i dalej się nią miała opiekować, podczas gdy ja jeździłem do rodziny, więc dobrze byłoby, gdyby oswoiły się ze sobą także w ciężkich chwilach. Po drugie Aga była potrzebna w razie czego jako „asystentka”. Po paru chwilach takiego parcia z Papryki wyszedł tułów pierwszego szczeniaka. Jednak główka jego się zaklinowała i malec nie mógł wyjść, co matce sprawiało ból. Mimo parcia Papryki szczeniak nie mógł wyjść. Gdy sunia już nie wytrzymała i patrzyła zboląłem, panicznym wzrokiem chwyciłem oślizgłego szczeniaka, który był jeszcze w worku i wodach płodowych i delikatnie lecz zdecydowanie wyciągnąłem go z Papryki. Zabolało ją to, aż pisnęła, jednak od razu poczuła ulgę i spojrzała na mnie z wdzięcznością. Potem zerwała z dziecka worek płodowy i jak to suka zjadła go. Następnie lizła szczeniaka by go umyć, oswoić z

otoczeniem oraz pokazać mu swoją bliskość i to, że wcale go nie opuściła. Potem przytuliwszy go do siebie odpoczywała po tym ciężkim wysiłku. Trochę to długo trwało, tak długo, że Agata pierwsza zapytała:

– Czyżby to koniec?

– Nie, to niemożliwe żeby był tylko jeden. – zapewniałem. W duchu jednak zacząłem się zastanawiać: „Papryka jest bardzo młodą mamą. Może tak na początek urodzi tylko jednego. Jak go podzielię między pięcioro chętnych? Komu dać szczeniaka skoro wszyscy są odpowiedzialni? Jak zrobić by nikt nie był poszkodowany?”. Znowu zacząłem czytać książkę o psach by dowiedzieć się, co ona twierdzi na ten temat. Wiadomość, że suka rodzi nawet kilka godzin uspokoiła mnie. Zbadałem Papryce brzuch i zdało mi się, że coś tam jeszcze jest i rzeczywiście sunia po jakimś czasie zaczęła stękać. Po chwili „wyparła” kolejnego malca. Tym razem obyło się w mniejszym bólu i bez kłopotu. Papryka jeszcze nie zjadła do końca worka płodowego, kiedy zachęcona przeze mnie urodziła trzeciego szczeniaka. Zdało nam się, że na tym poród się zakończył. Papryka zaczęła odpoczywać i nic nie wskazywałoby, by miała jeszcze rodzić. Gdy zjadła worki płodowe mogliśmy oglądać trzech nowych skłotersów. Najstarszy z nich był nieco większy od dwóch młodszych, kolor miał jasno szary. Drugi był czarny z białą łatką na piersi. Najmłodszy był tak samo szary jak pierwszy lecz od połowy grzbietu do ogona ciągnął się ciemny pasek. Stwierdziliśmy, że ma „crusta” i od razu ochrzcziliśmy go „punkowcem”. Matka wylizała ich ze śluzu, przez co ich sierść stała się bardziej puszysta, a one stały się jeszcze bardziej piękne. Ze swymi krótkimi łapkami przypominały bardziej jakieś zmutowane dzikie szczury niż psy. Te cuda natury pchane jakimś niezbadanym instynktem znalazły u matki cycki i z wielkim zaparciem zaczęły je ssać. Odtąd na jakiś czas było to ich głównym zajęciem, oprócz spania. Jak nie spały to jadły, jak nie jadły to spały. Na tym mijał im czas. Gdy minął nam pierwszy zachwyt zaczęliśmy się szykować do spania. Nawet nie zauważyliśmy, gdy Papryka urodziła czwarte dziecko. Był dużo mniejszy od starszego rodzeństwa, niewiele większy od kociego noworodka. Jednak energia z jaką dopadł do mleka rokowała nadzieje na to, że dogoni inne. Tak jak dwoje z rodzeństwa był szary. Była już późna godzina. Wszystko było w porządku, więc położyliśmy się spać. Gdy obudziliśmy się rano dostrzegliśmy, że Papryka urodziła piątego szczeniaka. Był czarny i jeszcze mniejszy i bardziej wątły niż jego poprzednik. Do tego prawie wcale nie garnał się do mlekodajnych cycków. Gdy go podkładaliśmy to owszem ssał, lecz był na tyle leniwy, że gdy skończył jeść to nie układał się spać, lecz zasypiał w tej samej pozycji. Miałem nadzieję, że jedzone mleko postawi go na nogi.

Wziąłem Paprykę na krótki spacer, bo przecież to był pierwszy raz, kiedy maluchy zostały same bez mamy, a do tego w obcym świecie. Wszystkie podniosły niesamowity, płaczliwy pisk, przez co ich rozpacz dało się słyszeć nawet na dole. Płacząc chodziły po całym kojcu w nadziei odnalezienia mamy lub też leżały w miejscu i jak najgłośniej wyrażały swój niepokój, strach i niezadowolenie. Szczeniąt nie można było jeszcze wyprowadzać, bo były ślepe i mało odporne na choroby. Taka niska temperatura na pewno by je przeziębila, co w tym wypadku groziło śmiercią. Na razie wszystkie maleństwa oddawały nieczystości w kojcu, gdzie popadnie. Może nam się wydać wstrętne, że Papryka wszystkie te gówienka od razu zjadała. Dzięki temu przynajmniej my nie musieliśmy jeszcze po nich sprzątać. Natura tym razem okazała się obrzydliwa, ale za to praktyczna.

Papryka będąc na spacerze szybko się załatwiła i z gorliwością dobrej matki, czym prędzej pospieszyła z powrotem do maleństw. Nie była ona jednak wzorową mamą. Ilekroć zmieniała pozycje lub kładła się w kojcu, nigdy nie zwracała na dzieci uwagi i deptała po nich lub kładła się przygniatając je swoim ciężarem. Wywoływało to u nas strach o małe, oburzenie i złość na Paprykę. Ochrzaniałem ją wówczas:

– Co robisz ty głupia suko! Chcesz je pozabijać!? Nie wolno tak.

Aga zaś tłumaczyła:

– Papryka, to są twoje dzieciaczki, nie możesz po nich chodzić.

Nie wiem ile z tego wszystkiego trafiało do suki. Trochę obawiałem się zostawiać Paprykę

samą z małymi lecz musiałem zarabiać by utrzymać swoją rodzinę... no i teraz Papryki rodzinę też. Na myjce poszło spoko. Gdy wróciliśmy był już późny wieczór. Od razu gdy wszedłem do pokoju poszedłem zobaczyć małe. Oglądam, liczę i... tylko 4, sprawdzam i dalej tylko 4. Brakowało najmłodszego. Znalazłem go ledwie żywego, leżącego samotnie w drugiej części kojca. Chyba nie miał nawet siły by płakać, czy piszczeć. Wkurzyłem się na Paprykę niesamowicie:

– Co zrobiłaś!!! Jak tak można?! Chcesz, aby umarł?! Nie wolno tak!!! Jeszcze raz tak zrobisz to zobaczysz!!!

I żeby dać jej do zrozumienia, iż nie żartuję, złapałem ją za kark i potrząsałem znacząco. Obawiałem się, że Papryka odrzuca małego, dlatego iż nie może go wykarmić lub dlatego, że uważa go za jednostkę zbyt słabą, by przeżyć. Pod tym względem natura potrafi być naprawdę okrutna.

Podsadziłem szczeniaczka do cycka. Trochę possał lecz szybko się zmęczył i zaniechał. Ja dalej uparcie podsadzałem go do sutka i mówiłem:

– Jedz malutki, jedz. Będziesz silniejszy. Teraz musisz dużo jeść, by dogonić swoje rodzeństwo.

Niestety malec wcale mnie nie słuchał i za każdym razem, gdy podsuwałem go do Papryki wypijał coraz mniej łyków aż w końcu zupełnie opadł z siły i zasnął.

– No dobra. Prześpij się, by nabrać siły do dalszego jedzenia – stwierdziłem i wraz z Bonem zajęliśmy się obiadokolacją.

– Ty obierz cebulę, a ja przygotuję kostkę sojową i potem to wszystko usmażę.

– Dobra – przystałem na to i wziąłem się za obieranie. Tymczasem Waga sprzątała, a Agata zmywała naczynia. Co jakiś czas sprawdzałem, czy u szceniąt wszystko w porządku. Za którymś razem zauważyłem, że maleństwo znowu leży odtrącone w kącie kojca. Znowu ochrzaniłem Paprykę i znowu przytykałem wyrzutka do cycka. Tym razem był bardziej słaby i wypił jeszcze mniej niż poprzednio. Mimo, iż matka po każdej takiej akcji dostawała jeszcze większy ochrzan, to i tak uparcie robiła to dalej. Efektem mego strofowania było jedynie to, że Papryka patrzyła na mnie coraz smutniejszym wzrokiem, który zdawał się mówić: „Griks, Ty nic nie rozumiesz! Ten szceniak jest zbyt słaby, by przeżyć. Nawet gdybym go utrzymała przy życiu, to gdy nie będzie mnie już przy nim nie da sobie rady i będzie się jeszcze bardziej męczył” albo może: „Griks, nie jestem w stanie wykarmić aż tylu szceniąt. To jest mój pierwszy poród, a ja jestem jeszcze taką młodą i niedoświadczoną matką”, lub może myślała całkiem co innego.

– Ona go odrzuca. – dokonał odkrycia Waga.

– Wiecie, moja ciotka, gdy jej suka miała szczeniaki i jednego odtrącała, to go karmiliśmy strzykawką. – rzekł Bono.

– I co? Przeżył? – zapytała Agata.

– Nie. – odpowiedź była smutna.

– W podstawówce była bajka o sarence... Jak to było...? *Rogaś z doliny Roztoki*, czy jakoś tak. Tam znaleźli małą sarenkę, bez matki i potem karmili ją strzykawką, czy butelką ze smoczkiem – opowiedziałem.

– Butelka dla szczeniaka jest nieco za duża. – stwierdził Waga.

– Więc trzeba strzykawką. – powiedziała Agata i zaraz dodała – mi się wydaje, że psom się daje mleko przegotowane rozrobione z przegotowaną wodą.

– Ciekawe tylko w jakich proporcjach? – zadałem pytanie.

– Chyba pół na pół. – powiedział niepewnie Bono.

– A Ty skąd to wiesz? – miałem wątpliwości.

– ...Tak mi się wydaje.

– No dobra, nie ważne, niech tak będzie. Proporcje go nie zabiją. Ja pójdę po mleko, a Wy przerwijcie to smażenie i przegotujcie wodę. Dobra?

– Dobra – odpowiedział Bono, a ja się ubrałem i poszedłem do sklepu. Musiałem iść trochę dalej, na Jana Pawła, bo wszystkie sklepy w pobliżu były już pozamykane. Gdy wróciłem woda

była już przegotowana, a smażenie obiadokolacji dobiegało końca. Wymieszawszy mleko z wodą w strzykawce, musiałem je jeszcze nieco przestudzić. Jak to zwykłem robić dla Ney, wstawiłem je do naczynia z zimną wodą, by szybciej przestygło. Gdy było gotowe zacząłem karmić szczeniaka. Pierwsze parę łyków wchłonął bez problemu. Potem już nie bardzo chciał. Dodatkowym problemem było to, iż ciężko było mi tak naciskać strzykawkę, by nie wylatywało zbyt dużo mleka. To i opór malca powodowało, że więcej mleka lądowało na podłodze niż w brzuchu szczeniaka. Coś tam jednak brzdąc wypijał. Opróżniwszy całą strzykawkę skończyłem.

– Na dziś Ci starczy. Będziesz żył. Możesz iść spać. – i położyłem malucha do matki. Agata, która po zmywaniu obserwowała Paprykę ze szczeniakami, poinformowała mnie:

– Griks, a zauważyłeś, że ten drugi mały, też jest jakiś niemrawy?

– Co?! Kurcze bładź! Naprawdę?

– No sam zobacz. – powiedziała Aga, więc zacząłem obserwować. Mały rzeczywiście nie ciągnął cycka z końską pasją, jak jego zdrowe rodzeństwo lecz leżał obok wyczerpany. Zacząłem wciskać go na wymiono, delikatnie je naciskając, tak by leciało mleko. W ten sposób zmuszałem malucha do jedzenia. Było to możliwe, bo szczeniak ten miał jeszcze jako taki odruch ssania, czego najmłodszy nie posiadał.

– Ten to przynajmniej ssie jak go do cycka przystawić.

Gdy sprawdziłem, czy się najadł, położyłem go tak jak najmłodszego. W tym czasie Bono, Waga i Agata zaczęli już jeść obiadokolację. Moja porcja kostki sojowej zasmażanej w cebuli także już na mnie czekała.

– Musisz sobie doprawić, bo nie chciałem przesadzać. – poinformował Bono.

Zjadłem, umyłem się i poszedłem spać. Rankiem, gdy obudziłem się okazało się, że najmłodszy znowu leży odrzucony.

– Papryka! Co zrobiłaś!?! – wydarłem się na nią. Wziąłem malca i poczułem, że jest sztywny i chłodny. Z naiwną nadzieją chuchnąłem na niego kilka razy. Potem sprawdziłem, czy bije mu serce. Nie biło. Żadnego śladu życia. Rozpaczliwie skrzyczałem znów matkę:

– I co? Zadowolona jesteś?! Pozbyłaś się kłopotu! O to Ci chodziło?

– To nie jest jej wina, że urodził się za słaby by żyć. – bronił jej przebudzony Waga.

Zapakowałem umarłego w worek foliowy i na razie położyłem go koło kosza.

– Stan tego drugiego też się pogorszył. Jest taki niemrawy jak tamten wczoraj – zauważyła obudzona moimi krzykami Aga.

Wziąłem malca do ręki i rzeczywiście nie było z nim dobrze. Bezsilna główka opadała na moje palce. Podstawiłem go tak jak wczoraj pod cycka. Nie wiem, czy zdołał złapać choć kilka łyčzków, a już się osunął.

– Idę do weterynarza. – podjąłem decyzję, a ubierając się poprosiłem jeszcze – Agato, patrz od czasu do czasu by Papryka go nie odtrącała.

– Dobrze. – przytaknęła.

Weterynarz był niedaleko skłotu na Stawki. Przede mną już ktoś był ze swoim psem. Musiałem poczekać. Gdy nadeszła moja kolej wszedłem do gabinetu. Doktorem była młoda kobieta.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

– Proszę Pani, moja suczka ma właśnie szczeniaki. Dwa z pięciu urodziły się dużo mniejsze niż rodzeństwo. Matka nie chce się nimi opiekować. Jeden z nich umarł dziś w nocy.

Próbowaliśmy go dokarmiać mlekiem w strzykawce, ale...

– Takim zwykłym mlekiem nie powinno się karmić.

– Ja je rozrabiałem, tak w proporcjach pół na pół.

– I co z tego. Przecież mleko psa trochę różni się od krowiego.

– No tak...

– Jak ten drugi się czuje?

– Jest osłabiony. Przestał już nawet ssać pierś. Na początku czuł się chyba dobrze. Nic nie zauważyliśmy oprócz tego, że był mniejszy.

– A jak matka się do nich odnosi?

– Chyba nie najlepiej. Te małe to cały czas odtrąca, a jak zmienia pozycję lub się kładzie, to depcze po wszystkich i prawie nie zwraca na żadne uwagi. Czasami nawet boimy się, że im karki połamie albo je przygniecie.

– A ile suka ma?

– Niewiele ponad rok.

– Aaha... To jest za młoda. Jest niedojrzała do macierzyństwa. Przez to te wszystkie problemy. Trzeba było pilnować.

– No tak...

– Dam panu specjalne mleko. Rozpuszcza się go w wodzie tak jak niemowlętom. Najpierw pan przegotuje wodę, potem...

– Wiem jak się to robi. Mam córkę. – przerwałem, a ona skwitowała to bez zaskoczenia.

– Aha!

– Ile to kosztuje?

– 7 zł. Tu ma pan napisane proporcje i ile razy dziennie podawać. Najlepiej to robić strzykawką, chyba, że ma pan taką małą buteleczkę ze smoczkiem.

– A gdzie taką buteleczkę kupić?

– Oj, to trudno kupić. Chyba, że może w sklepie z zabawkami, taką dla lalek pan znajdzie.

– A jak pani myśli ten szczeniak przeżyje?

– Nie wiem, nie umiem panu odpowiedzieć. Nie widziałam go, nie znam jego stanu, ale jeśli będzie dobrowolnie jadł, będzie się dało go wykarmić, to ma szansę.

– Dziękuję, do widzenia!

– Do widzenia. – i na tym zakończyłem wizytę.

Wracałem na skłot modląc się o życie tego czwartego: „Boże i tak mam ciężko w życiu, czy muszę jeszcze doświadczać śmierci. Ja tam mogę mieć przerypane, aby tylko inni nie mieli, żeby ten szczeniak przeżył.” I jak to w takich chwilach bywa, rozkleiłem się i z oczu popłynęły mi łzy. Zaraz je otarłem i w duchu zacząłem się pocieszać: „Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Ten szczeniak musi przeżyć”. Potem zacząłem myśleć na siłę o czymś innym, by zapomnieć o troskach i nie rozczulać się nad sobą. Wróciwszy na skłot, przegotowałem mleko jak trzeba. W międzyczasie jak stygło zjadłem śniadanie. Potem karmiłem malca. Tak jak z poprzednim więcej mleka się wylewało niż mały połykał, ale w końcu zjadł ile trzeba. Położyłem go głową przy piersi matki, gdzie momentalnie zasnął.

Następnie wzięliśmy sprzęt i pojechaliśmy na myjkę. Był mróz. Do wody trzeba było dolewać dykty, żeby woda na szybie nie zamarzała. W przeciwnym razie była lipa, bo zamiast ułatwić kierowcy widoczność skutecznie ją utrudnialiśmy. Takiego lodu na szybie w żaden sposób nie szło zdrapać, a jeszcze w tak krótkim czasie na światłach to już w ogóle. Zwykle to w takie mrozy zwijaliśmy manatki i nie było pracy. Jednak pewnego razu Waga wytrzasnął mądry pomysł, by do wody dodawać denaturatu, to nie będzie ona zamarzać. Od tej pory nasz problem się skończył, chociaż nie do końca. Bywały mrozy, że nawet dykta nie pomagała. Tym razem było spoko. Pomyśliśmy do wieczora i wróciliśmy na skłot.

Szczeniak znowu leżał samotnie. Odtrącony i coraz bardziej wątpy. Już nawet przestałem wydzierać się na Paprykę. Spojrzałem jedynie złym wzrokiem. Za to Agata jej nie szczędziła tym razem:

– Ty ruo! Ty matką jesteś??!! Jak ty się troszczysz o swoje dziecko??!! Odtrącasz je?? Nie wolno tak!!

Gdy tylko się rozebrałem przegotowałem szczeniakowi mleko. Jak już wystygło, zacząłem wstrzykiwać. Jadł jeszcze gorzej niż ostatnio. Musiałem mu trzymać łebek tak, by jednocześnie

otwierać pyszczek, który całą resztą sił jakie mu zostały, próbował wymigać się od jedzenia. Karmiłem go na siłę mówiąc:

– Jedz maluszk. Musisz jeść, bo jak nie będziesz jadł to umrzesz z głodu.

Nie wiem jak dużo zjadł z tego, co mu dałem. W każdym razie większość wylądowała na gazecie. Dalsze karmienie nie miało sensu. Jedzenie chyba sprawiało mu ból. Pod koniec karmienia zaczął popiskiwać, a ostatnich łyków nie chciał przyjąć w ogóle. Położyłem go spać przy Papryce i pomyślałem sobie: „Cóż mogę dla Ciebie jeszcze zrobić szczeniaczku, by Ci się polepszyło”? ...I nie znalazłem na to odpowiedzi. Mogłem się jedynie pomodlić za niego, co z resztą zrobiłem. Bono zrobił kanapki na kolację, które zjadłem ze smakiem, po czym położyłem się spać. Rano Agata obudziła mnie mówiąc:

– Griks, on chyba nie żyje.

– Co? Naprawdę???

– No zobacz. Tak wygląda.

Malec leżał odtrącony i samotny jak zwykle. Wziąłem go do rąk. Był sztywny, lecz jeszcze nie zimny. Z nadzieją naiwniaka, złapałem go za tylne łapy i zacząłem machać niczym wahadłem tak jak napisane było w książce. Co chwila przerywałem i chuchałem mu w pyszczek, by choć trochę go ogrzać. Niestety na nic się zdały moje rozpaczliwe działania. Szczeniak był martwy, a ja nie chciałem w to uwierzyć. W końcu do mnie to dotarło. Byłem ogromnie smutny. Dostałem kolejnego kopa w mój i tak trudnym życiu. I tym razem Bóg mnie nie wysłuchał. Inni by może bluzgali lecz to nie w moim stylu. W moim sercu zostało jedynie poczucie niesprawiedliwości, że nie zasłużyłem sobie na taki los. Cóż tak to jest, że Ci, co się starają być dobrzy, wychodzą zawsze najgorzej². Pieprzone życie.

Zapakowałem pieska w worek i wyrzuciłem do śmietnika. Może według Was, może według niego też, nie okazałem mu przez to szacunku. Taki już jestem. Po prostu nie uważam, by martwemu ciału należał się jakikolwiek szacunek. Trup to trup, nic więcej. Owszem ekologiczniej, a więc lepiej byłoby go zakopać lecz leżał śnieg i nie miałem czasu. Może lepiej byłoby go wyrzucić pod drzewo lecz złośliwi sąsiedzi wzięliby mnie na języki, a po co. Sam nie mam nic przeciwko temu, by ktoś me ciało wyrzucił na śmietnik – jeśli tak będzie dla niego najlepiej. Jeśli jakieś moje organy mogą uratować komuś życie, to jeszcze lepiej. Przynajmniej do czegoś się przydam. Na pewno nie chcę stwarzać kłopotu, a już na pewno nie zgodzę się na jakieś kosztowne nagrobki, opłatę za miejsce na cmentarzu, czy wydawanie kasy na stypę itp. Mojej duszy o wiele bardziej pomoże, jeśli ta kasa pójdzie na np. Food not bombs, czyli na wege jedzenie dla bezdomnych. Jak mam już być pochowany, to skromnie, w lesie, a zamiast krzyża niech zostanie posadzone drzewko, na którym będzie można powiesić krzyżyk, bo przecież jestem chrześcijaninem, no nie?

Tak to ze szczeniąt zostały tylko trzy: Moris, Matylda i Miśka. Jedne lepiej, drugie gorzej, ale wszystkie chowały się w miarę dobrze. Przez długi okres rozpieprzały i zasrywały nam całe mieszkanie. Doszło do tego, że niektórzy np. Waga zaczęli nasz skłot nazywać nie SPOKOCHATA lecz SPOKOSRAKA. By jak najszybciej pozbyć się problemu, gdy tylko było można oddałem je. Długo myślałem nad doborem właścicieli, by moje „wnuczki” miały dobrze lecz i tak wybrałem nietrafnie. Morisa dałem Izie. Jest ona dobrą kumpelką, ma dwoje dzieci, które tak jak ona i jej mąż są wegetarianami. Myślę, iż ma u nich bardzo dobrze i dbają o niego. Szkoda, że Zielonka jest kawałek od Warszawy i Moris nie może odwiedzać Papryki, mnie i swego rodzeństwa. Podobno niezły z niego urwis i zawadiaka.

Matylda to wbrew pozorom pies nie suczka. Dałem go Wadze i wówczas po mamie nazywał się jeszcze Azja. Waga jednak po pewnym czasie rozmyślił się i sprezentował psa Waldiemu i Ewelinie. Ci nazwali go Matylda. Nie miał u nich najlepiej. Często chodził głodny, nie był wyprowadzany na czas, przez co srał, gdzie popadnie, za co z kolei był zbyt surowo karany. Gdy Ewelina miała wypadek wychodząc z McDonalda (Bozia ich skarala?) Matylda został sam z

² Teraz uważam zupełnie odwrotnie, bo to już inne czasy.

Waldim. Ten zaczął pić i przeprowadził się wraz z częścią „rodziny” na Grzybowską. Potem Waldi z Matyldą pojechali do Krakowa odwiedzić Ewelinę w izbie dziecka. Tam okazało się, iż Waldi jest chory na żółtaczkę. Poszedł do szpitala, a psa zostawił pod opiekę rynkowym żulom: Mefisto i Serkowi. Według ich opowieści, dali Matyldę jakiejs gościowie z Warszawy, by się z nim przeszła na spacer, a ta zniknęła wraz z psem. Moim zdaniem przechłali psa lub zgubili po pijaku. Ciekawe co tam teraz u Matyldy? Mam nadzieję, że ma się dobrze.

Największą z nich sunię nazwaliśmy po tacie „Miśka”. Wzięła ją Agata. Początkowo chciała mi ją oddać z powrotem, bo twierdziła, że jest zbyt mało odpowiedzialna i zbyt hulawcze życie prowadzi, lecz w końcu pokochała tak szczenię, że o oddaniu nie było już mowy. I dobrze, bo przynajmniej jeden szczeniak został na skłocie, przez co ja mogłem ją często widywać, a Papryka wychowywać. Dla Agi było to też dobre, bo stała się bardziej odpowiedzialna i miała wreszcie kogo kochać i dla kogo żyć. Była bardzo dobrą opiekunką. Nawet, gdy sama nie miała co jeść, Miście nigdy nie brakowało. Z wiekiem Miśka stała się bardzo agresywna. Nie wiem po kim to odziedziczyła. Misiek przecież był taki spokojny, Papryka też raczej bez powodu się nie rzucała, a córki nie idzie odciągnąć. Może to brak dyscypliny i skutek wychowywania przez matkę tak na nią wpływa. Przecież ich ulubioną zabawą jest walka i to walka tak zaciekle, w której Miśka się tak rzuca na Paprykę z taką zajadłością, że nawet matka jest w szoku i musi ją nieźle skarcić, by przywrócić ją do porządku³. Mimo wszystko Miśka to wspinała sunia. Może to i dobrze, że Papryka uczy ją agresji. Matka wie najlepiej co jest dobre dla córki. Miśka to kochana wnusia.

STRASZNA PODRÓŻ

...Poszedłem więc tak jak wytłumaczył mi „Dziadek”. Mimo, że objaśniał mi drogę dwa razy to cały czas obawiałem się, iż mogłem ją pomylić. Tym bardziej, że była skomplikowana, a i opis nie był najdokładniejszy. Przechodząc przez wieś licząc kilka domów i dwie piaszczyste drogi minąłem kobietę z niemowlęciem w wózku. Jak to zazwyczaj bywa w tak małych miejscowościach, zmierzyła mnie spojrzeniem mogącym wyrażać tylko jedno: „Po co tu przyszedłeś? Nie jesteś tu potrzebny”. Na me uprzejme „dzień dobry” odpowiedziała chyba jedynie z poczucia dobrego wychowania. Od razu potem sobie pomyślałem: „Przecież to całkiem prawdopodobne, że pierwsze co zaraz zrobi, to zadzwoni na straż graniczną, by powiadomić, że mnie widziała. Przecież jak mieszkają tak blisko, to na pewno mają jakieś układy z tymi s...ielami. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że to żona któregoś z nich. Niemalże czułem na plecach wzrok z tych na pozór cichych, niemalże pustych domów. Szedłem prawie otwartym terenem. Przez lornetkę można by mnie zobaczyć pewnie z kilku kilometrów. Gdy tylko wyszedłem z wioski minął mnie maluch z dwoma gośćmi. „To na pewno ci, którzy wracają ze zmiany. Na pewno mnie zatrzymają”. – przemknęło mi przez głowę. Pomimo całego strachu, jaki mnie ogarnął z całych sił starałem się wyglądać naturalnie, jak bez troski turysta, który zgubił drogę. Jakbym tylko mógł już dawno bym się wycofał z tej niebezpiecznej podróży, jednak mimo wszystko musiałem iść naprzód. Gdy tylko mnie minęli odetchnąłem z ulgą. Doszedłem do końca drogi, a tu do k...y nie ma żadnej rzeki. „Coś się pokićkało staremu dziadowi” – myślę w panice. Idę jednak dalej wzdłuż krzaków by nie wzbudzać podejrzeń. „Jakich i czyich?” – zapytacie. Byłem jak zwierzyna łowna, która wszędzie czuje zagrożenie, która na plecach czuje śledzący wzrok, która z przerażeniem wysłuchuje strzału, którego obawia się w każdej chwili.

„Zaraz, zaraz” – spostrzegam, że krzaki ciągną się wzdłuż jednej linii. „To musi być rzeka” – myślę z nadzieją delikatnie przedzierając się przez zarośla. Brzeg był tak urwisty i zarośnięty, że mało, co nie wpadłem do wody. „Oj, oj, tędy nie zejdę. Narobiłbym takiego plusku, że zestrzeliliby mnie jak kaczkę... no, może tylko złapali”.

Szybko jak tylko mogłem przebrnąłem przez nie więcej niż na 10 metrów szeroką i głęboką do pasa Nysę Łużycką. Brzeg po drugiej stronie był także urwisty. Użyłem wszystkich sił, by na

³ Gdy Miśka wydorosłała, stała się dużo bardziej spokojna, choć tak jak jej matka, gdy trzeba potrafi być nadal groźna.

niego wskoczyć, bo w takich chwilach nie ma czasu na powtarzanie. Wszystko starałem się robić na 100%, albo nawet więcej. Myśli o zmęczeniu wtedy się już nie liczyły. „No to już jestem w Niemczech” – pomyślałem będąc na drugim brzegu. Przed oczami ukazało mi się pole ziemniaków, a za nim las. Pomknąłem przez nie najszybciej jak tylko mogłem. „Kur...”, jeśli dziadek kitował zestrzelał mnie jak kaczkę” – myślałem biegnąc. Niemalże czułem na sobie wzrok snajpera, który we mnie mierzy. Niemalże już słyszałem jak krzyczy:

– Stój, bo strzelam!!!

Co wtedy bym zrobił??? Ani wówczas, ani teraz nie potrafię sobie odpowiedzieć na to pytanie. Tyle się znamy ile przeżyliśmy. Udało mi się wbiec do lasu. Przebiegłem kawałek niczym Indianin schylony i uważający na patyki, by ich trzask nie zwrócił niczyjej uwagi. Jednocześnie poruszałem się szybko jak strzała. Gdy przebiegłem tyle by, choć trochę być pewny, że nikt mnie nie goni, schowałem się w krzakach i szybko ubrałem się, by mniej rzucać się w oczy. Biegnąc i tak zwracałem na siebie zbyt dużo uwagi. Jednak im szybciej i dalej oddaliłem się od granicy, tym bezpieczniej się czułem. Wraz z Polską oddalałem od siebie podejrzenia o „przestępstwo”, które popełniłem. Przebiegłem przez las i mym oczom ukazała się autostrada ogrodzona metalową siatką. Nigdzie nie widziałem żadnego przejścia. „Kur...! Dziadek nic mi o tym nie mówił. A jeśli ta siatka to granica i tak naprawdę jestem jeszcze w Polsce??” – pomyślałem panicznie, nie widząc nigdzie przejścia. „Może będzie gdzieś pod tym wiaduktem” – pomyślałem z nadzieją i udałem się tam, już nie biegiem lecz szedłem spokojnym nie za szybkim krokiem. Byłem już tak daleko od rzeki, że tym bardziej, jeśli nie miała się okazać granicą, mogłem już uchodzić za spacerowicza. Jeśli jednak, o zgrozo, ta siatka okaże się granicą...

...wołałem nawet o tym nie myśleć. Podchodzę z nadzieją do pierwszej furtki, z obawą, że mnie prąd pokopie, albo włączy się jakiś alarm, łapie za klamkę i...

„Kur...! Zamknięte, ale... zaraz, zaraz ta siatka wcale mi nie wygląda na graniczną” – dostrzegłem po raz kolejny światełko w tunelu. Żadnych oznaczeń, nie pod prądem, bez drutu kolczastego, a do tego jakaś cienka. Podeszedłem do drugiego przejścia...

...Kamień spadł mi z serca otwierając furtkę. Wszedłem po schodkach na autostradę. Z jednej strony zobaczyłem sznur samochodów czekających na odprawę graniczną do Polski, zaś z drugiej strony nie zobaczyłem żadnego miasta Forst o którym mówił Dziadek. Jedynie parę domków gdzieś tam za autostradą. Zszedłem z wiaduktu i udałem się w ich kierunku. Łapanie stopa w tym miejscu byłoby zbyt ryzykowne. Szedłem więc po czyichś nieogrodzonych sadach, nieopodal domostw. Pod jedną gruszą znalazłem parę owoców, które mimo ciepkości choć trochę napełniły mój żołądek. Wątpię, czy ktokolwiek chciałby ich użyć chociażby do kompotu. Jednak dla mnie były wówczas miłym znaleziskiem. Po jakiś dziesięciu minutach spaceru pojedyncze domy zaczęły się zagęszczać i pojawiła się szosa. Znaczący się, dotarłem do wioski. Nie czułem się tu pewnie. Gdy zobaczyłem pierwszego człowieka w pierwszej chwili wpadło mi do głowy by się ukryć, gdzieś uciekać i nie dać się zobaczyć. Opanowałem się jednak i z największym spokojem i luzactwem, na jaki było mnie stać minąłem go w odległości dziesięciu metrów. Modliłem się w duchu, by się przypadkiem nie odezwał jak to ludzie na wsiach mają w zwyczaju. Mój akcent pewnie mógł zdradzić skąd pochodzę nawet przy zwykłym „Guten Tag”(tłum.dzień dobry). Na szczęście był tak zajęty swoim samochodem, że nawet może mnie nie zauważył. Gdy tylko zobaczyłem drogę do lasu skręciłem w nią. Drzewa w lesie były jakby sadzone od linijki. Wszystkie w takiej samej odległości od siebie. Niemiecka dokładność dała o sobie znać.

Miałem nadzieję, że moja orientacja mnie nie zawiedzie. Udałem się w kierunku przeciwnym niż granica, by zbliżyć się do autostrady. Tak przynajmniej mi się wydawało. Na początku unikałem dróg, a nawet ścieżek lecz gdy zorientowałem się, iż w lesie nie widać ani żywej duszy, zacząłem iść leśnymi drogami, co było ulgą dla mych zboliałych nóg. Co prawda gdzieś tam były one zbyt piaszczyste i ciężkie do przebycia, ale musiałem iść naprzód. W pewnym momencie usłyszałem z dala szum, który mógł pochodzić tylko od samochodów na autostradzie. Zacząłem podążać za tym dźwiękiem i wkrótce szum przerodził się w hałas pojedynczych aut, a moje domysły zamieniły się

w rzeczywistą autostradę przed moimi oczyma. Nadal dzieliła mnie od niej siatka lecz już wiedziałem, że nie ma nic wspólnego z granicą i jak będę musiał to ją też pokonam. Okazało się jednak, że co jakąś odległość jest w niej furka, która spełnia rolę wyjścia ewakuacyjnego. Gdy w końcu dotarłem na autostradę od razu zacząłem zatrzymywać samochody. Autostrada od horyzontu do horyzontu była prosta jak od linijki. Żadnego, nawet najmniejszego zakrętu. Szedłem poboczem i machałem do przejeżdżających z zawrotną prędkością samochodów. Mijały mnie co chwila lecz żaden z kierowców nawet nie zwolnił na mój widok. Może ich najnowsze samochody były zbyt szybkie, by zauważać z nich ludzi. „Sku...yny” – myślałem. Wkurzenie moje jeszcze zwiększał fakt, że nie czułem się tu bezpiecznie. Z daleka obserwowałem każde auto z obawą, że będzie z policji granicznej. Prawdopodobieństwo, że w którymś samochodzie może siedzieć jakiś faszystowski kapuś wcale nie dodawało mi odwagi. Ten stres i bezskuteczność mojego łapania złożyły się na to, że zszedłem z autostrady z postanowieniem, że dojdę może chociaż do pierwszego zakrętu (może gdzieś tam za horyzontem) lub do tego miasta – Forst, które miało być tak blisko, a nie mogłem tam trafić. Wyczerpany z sił szedłem przez las rozmyślając: „Nie spałem już prawie dwie doby, jestem głodny, zmęczony. Jeśli po takim wysiłku by mnie złapali, chyba by mnie rozwalili psychicznie. Boże. Proszę nie dopuść do tego, bo i tak już bardzo się wycierpieliśmy”. – modliłem się w duchu. Zaczęło się już nieźle ściemniać, a zakrętu wciąż nie było widać. „Przeszedłem już wystarczająco daleko” – pomyślałem. „Muszę zaryzykować, bo nie wiadomo ile jeszcze mogę tak iść” – postanowiłem wchodząc z powrotem na asfalt. Znowu machałem bez żadnego skutku. Czasami robiłem to ze łzami w oczach, bo wyczerpanie psychiczne i fizyczne powoli zaczęło mnie przerastać. Najchętniej położyłbym się spać gdzieś w lesie lecz wiedziałem, że nie mogę. Moje dziecko było w obcym kraju, bez rodziców i bez domu. Jak najszybciej musiałem do niego dotrzeć, by mu pomóc. Na upragniony odpoczynek nie mogłem sobie jeszcze pozwolić.

Doznając obojętności tych wszystkich kierowców, którzy mnie mijali, zacząłem ich prawie nienawidzić. „Co za egoistyczni s...iele. Założę się, że gdybym pokazywał im „f...k you”, to szybciej by się zatrzymali. W dzisiejszych czasach ludzie może bardziej wolą komuś wpięprzyć niż zrobić komuś przysługę taką jak podwiezienie.

Po paru godzinach cieszył mnie jedynie fakt, że nie zatrzymała mnie policja. W końcu, spośród niezliczonej liczby aut, które bezduszenie mnie minęły, trafił się ten wybawiciel, który pierwszy się zatrzymał. Pobiegłem do niego najszybciej jak tylko mogłem z obawą, by się nie zdążył rozmyślić. Otworzyłem drzwi i zapytałem po niemiecku:

- Dzień dobry. Czy jedzie pan może w kierunku Berlina?
- Nie, ale jadę do Cottbus?
- Ale chyba będę mógł złapać stamtąd jakiś pociąg do Berlina?
- O tej porze to nie wiem, czy na pewno, ale za dnia to jeżdżą prawie co godzinę.
- O tej porze to i żaden z samochodów się nie chce zatrzymać. Szczególnie na tej trasie.

Może zbyt szybko jadą, by mnie zauważyć.

- Na autostradzie w ogóle nie można się zatrzymywać. Jedynie, gdy się samochód zepsuje.
- Tak lecz kto ma się zatrzymać, to i tak się zatrzyma.
- Też prawda – potwierdził Niemiec. Rozmawialiśmy tak przez chwilę jak to zwykle na

stopa, by podtrzymywać rozmowę, po czym kierowca włączył radio i przestał do mnie mówić, być może zauważył, że byłem zbyt zmęczony, by dalej gadać. Z uprzejmości próbowałem nie zasnąć lecz po prawie 40 godzinach bez snu nie było to łatwe. Powtarzający się obraz mijanych samochodów, lamp i innych obiektów, działał na mnie bardzo usypiająco. W pewnym momencie wszystko zaczęło się rozmywać i zlewać ze sobą. Ta faza zmęczeniowa nawet mi się podobała. Jedynie co, to powieki stawały się coraz cięższe i coraz trudniej mi było je otwierać, aż w końcu...

- Chcesz wysiąść koło stacji? – obudziło mnie głośne pytanie.
- Że co? – odpowiedziałem półprzytomny po polsku.
- Jak chcesz iść na pociąg to tam na wprost masz peron.
- OK. Wielkie dzięki. Mam nadzieję, że następnym razem będę mógł się jakoś odwdziaczyć –

powiedziałem mój stały tekst wychodząc z samochodu.

- Ha ha! Do widzenia!

- Do widzenia – pożegnałem się z moim wybawcą i ruszyłem w dalszą drogę.

W Cottbus zdążyłem jeszcze na pociąg do Berlina. Miałem szczęście, bo czekając i pałętając się na stacji mogłbym ściągnąć na siebie pytanie zadane przez jakiegoś z policjantów : „Czy mogę zobaczyć pański paszport ?”. Szczególnie przy polskiej granicy często kontrolują ludzi by wyłapać nielegalnych.

Najtrudniejsze było już za mną lecz zagrożenie było wciąż bliskie. Nie chciałem by po tylu trudach, cierpieniach i nerwach to wszystko okazało się daremne. Wciąż musiałem być bardzo ostrożny.

W pociągu konduktorka sprzedawała mi „likendowy” bilet. Zapewniała mnie, że będę mógł przejechać na nim całe Niemcy. Jednak jadąc z Magdeburga inna kanarka oznajmiła mi, że bilet jest już nie ważny.

- Jak to nie ważny ? - zapytałem się nie mile zaskoczony.

- Bilet „likendowy” jest ważny tego samego dnia co został kupiony plus trzy godziny dnia następnego, które już minęły.

- Jak to? Przecież ta konduktorka, która mi go sprzedała zapewniła mnie, że mogę przejechać na nim całe Niemcy.

- Jeśli kupiłbyś wcześniej bilet, to praktycznie jest to możliwe, ale teraz bilet jest już nie ważny i musisz kupić następny.

- Co ? Nie będę kupował żadnego następnego biletu. Tamta konduktorka powiedziała, że na tym bilecie mogę jechać przez całe Niemcy więc chyba mam do tego prawo. Czyż nie ?

- Nie wiem co tamta konduktorka powiedziała, ale ja widzę, że ten bilet jest już nie ważny i możesz kupić nowy albo wezwę policję.

„Tego mi jeszcze brakuje.” pomyślałem, a powiedziałem głośno.

- Dobrze. Ja kupię ten bilet, ale uważam, że to wszystko to oszustwo i złodziejstwo i wszystkim będę o tym opowiadał, a do tego dam znać mojemu koledze by napisał o tym w prasie. Te słowa ją trochę zszokowały jednak dalej czyniła swoją powinność.

- Ja myślałem, że Niemcy nie kradną. Ty mnie straszysz policją, a to właśnie takimi oszustami jak ty powinni się zająć.

-Ja tylko wykonuję swoją pracę. To nie moja wina, że tamta konduktorka sprzedała Ci bilet za 15 dwunasta - zaczęła się tłumaczyć.

- Ale to Ty bierzesz pieniądze za te oszustwo, a do tego straszysz mnie policją. - Na te słowa już nic nie powiedziała tylko w milczeniu kontynuowała wypisywanie. Gdy miałem już kolejny „likendowy” pomyślałem sobie : „O nie, myślicie, że sobie na mnie zarobicie ? Nie tym razem.” Z tą myślą ruszyłem krok w krok za konduktorką śledząc uważnie jej poczynania. W końcu gdy znalazła kolejne ofiary (dwóch młodych punków z psami), podszedłem do niej i ze zwycięskim uśmiechem oznajmiłem:

- Ja mam dla was bilet likendowy, który jest ważny na 5 osób czyli na Was też.

- Dzięki Ci człowieku - usłyszałem od punków, a służbistka sprawdziła bilet, który sama przed chwilą wydrukowała. „Ordnung must zijn” (porządek musi być) - ma się rozumieć.

W końcu dojechałem do tego wymarzonego miasta Amsterdam. Niestety nie byłem w stanie podziwiać go i cieszyć się jego urokiem. Moje myśli skupione były nad znalezieniem mojej rodziny. Nie wyszedłem nawet ze stacji , a już miałem nową kartę telefoniczną w automacie by zadzwonić się do rodziców. Najpierw zdałem im „raport” o tym, że w końcu dojechałem. Tata ucieszył się , że mi się udało. Powiedział, iż Janka także jest już w Amsterdamie i że teraz poszli szukać jakiegoś hotelu oraz, że chcą się ze mną spotkać o 20.00 przed głównym wejściem dworca centralnego. Miałem jeszcze godzinę. Choć byłem bardzo zmęczony to z ciekawości oraz z wielkiej potrzeby znalezienia dla nas jakiegoś miejsca do spania, ruszyłem zobaczyć to interesujące miasto.

W rozwiązaniu z hotelami zupełnie nie wierzyłem, bo w ten sposób stracilibyśmy cały nasz zapas pieniędzy szybciej niż byśmy to mogli zauważyć. Teraz mogłem się postukać w głowę, iż nie zdobyłem wcześniej ani żadnych adresów, ani telefonów, ani nic co mogło by nam pomóc znaleźć jakąkolwiek życzliwą duszę. Po tym jak oszustwo wyszło na jaw byliśmy zdani tylko na siebie. Sami w obcym mieście, bez znajomości NIKOGO, nie znając nawet języka (angielski Janki był na poziomie nie mówienia w nim powodowanym wstydem, zaś mój niemiecki, choć wystarczająco dobry raczej zatrząskiwał niż otwierał drzwi Holendrów, którzy jeszcze pamiętają niemiecką okupację).

Nieopodal Dworca Centralnego zauważyłem paru alternatywnie wyglądających gości, którzy robili „fajer szoł” bez ognia, ale za to z muzyką. Bez ognia tzn. gościu miał przy łańcuchach dołączone wstążki, które dawały bardzo fajny efekt. Inny do tego grał na bębnie i całość wychodziła im całkiem nieźle. W rozmowie dowiedziałem się, że otwarty ogień i prawdziwy fajerszoł jest tutaj zakazany. Dlatego te wstążki. Trochę im się zżaliłem ze swego losu po czym dotarłem do sedna i zapytałem:

- A czy Wy znacie jakieś skłoty, gdzie moglibyśmy się przespać?

- My to sami jesteśmy gośćmi. Teraz, w wakacje wszędzie mają gości. Tak o, jak się nie zna nikogo to ciężko, ale z dzieckiem to może się ktoś nad Wami zlituje.

- Tu nie daleko jest czeski skłot. Tam możecie zapytać. Po czym wytłumaczył mi, gdzie on jest. Pogadaliśmy sobie trochę po czym wróciłem pod dworzec główny na umówione spotkanie. By skrócić choć trochę czas wyczekiwania i zmniejszyć moją niecierpliwość, zacząłem pisać rozdział, który właśnie czytasz. Co raz zerkałem wokoło, by sprawdzić, czy gdzieś nie idą ku mnie moje ukochane. W pewnym momencie zobaczyłem biegnącą do mnie Jankę. Wpadliśmy w swe objęcia i oboje rozplakaliśmy się ze szczęścia.

- Na reszcie się spotkaliśmy.

- Tak bardzo się martwiłam.

- Najważniejsze, że się udało.

- A gdzie Nea, Jacek i Wanda ?

- No właśnie. Może Ty mi powiesz ?

- Jak to? To jeszcze się z nimi nie widziałeś?

- Nie.

- Przecież oni tu siedzą za rogiem.

- Jak to? To ja tu siedzę obok nich i nawet o tym nie wiem?

- No, oni tu są za rogiem.

- To chodźmy do nich prędko.

Okazało się, że chodząc po dworcu, szukając ich wcześniej , przechodziłem koło nich dwa razy lecz przypadek zadecydował, iż się nie zobaczyliśmy.

Nasza radość, że w końcu jesteśmy razem była przeogromna. Nea ścisnęła mnie tak mocno jak chyba nigdy przedtem.

- Nigdy Was już nie opuszczę. Wszystko będzie dobrze.- obiecałem ściskając się z moją rodziną. Gdy w trójkę już wystarczająco się naprzytulaliśmy, bardzo serdecznie przywitałem się z Wandą i Jackiem.

- Dziękuję Wam bardzo za opiekę nad Neą.- dodałem z całego serca. Potem opowiadaliśmy sobie po krótce, co wszyscy przeżyliśmy. Dowiedziałem się z tego, że szczególnie Wanda, Jacek i Nea mieli także ciekawe przygody. Może kiedyś , gdy opowiedzą mi je ze szczegółami będę mógł je dodać do tej historii.

PIERWSZE SKŁOTOWANIE W AMSTERDAMIE

Mimo wszystko nie chcieliśmy nic odkładać na później i niczym niezrażeni przystąpiliśmy do dzieła.

- Nie po to przynieśliśmy tę drabinę, żeby teraz to odwlekać.– stwierdził rzeczowo Jacek.

– My chcielibyśmy to już dzisiaj zrobić.– stwierdziłem zdecydowany, a Janka dodała:

– Ci z Herengrachtu cały czas nam przypominają byśmy coś zaskłotowali.

– No to zróbmy to. – stwierdziła Dorota i przystąpiliśmy do dzieła. Wynieśliśmy drabinę, przystawiliśmy ją pod balkony i niestety okazało się, że...

– Za krótka. – stwierdził Jacek.

– Brakuje jakieś 2 metry. – wymierzyłem na oko.

– Trzeba coś pod to podstawić.

– Może lodówkę? – wymyśliła Dorota.

– No to wstawiamy. – powiedział Lucek i wraz z nim, Szurtem oraz Jackiem podnieśliśmy lodówkę i ku mojemu zaskoczeniu wszyscy zaczęli ją przechylać.

– Poczekajcie przez to, że ją przechylimy zepsuje się. Lodówek nie można kłaść poziomo.

– zauważyłem szybko, zanim jeszcze jej do końca nie przechylili.

– Nie zepsuje się, bo już jest zepsuta – poinformował mnie Lucek, więc przenieśliśmy lodówkę i położyliśmy ją poziomo. Postawiliśmy drabinę i...

– Za krótka. – stwierdził Jacek.

– No, jeszcze jakieś pół metra – wymierzyłem na oko.

– Trzeba pod lodówkę podstawić palety – wymyśliła Dorota, po czym zaczęliśmy znosić i podkładać wszystkie palety. Gdy popodkładaliśmy wszystkie, znów postawiliśmy drabinę.

– Teraz może starczy – stwierdził Jacek.

– To kto wchodzi, by otworzyć drzwi pozostałym? – zapytałem z obawą, by nie wypadło na mnie i z nadzieją, że ktoś zgłosi się na ochotnika. Wszyscy spojrzeliśmy na drabinę, oceniliśmy sytuację, popatrzyliśmy po sobie aż w końcu...

– Ja wejdę – zdecydował się Jacek, a ja odetchnąłem z ulgą, bo sam bałem się trochę wejść na tę drabinę, a co dopiero na wysokości 3 piętra wdrapać się z niej na nieznany i przez to niepewny balkon. Szwagier zaczął wchodzić.

– Tylko mocno trzymajcie drabinę.

Jacka uwaga była zbyt mocna, bo już trzymaliśmy ją naprawdę mocno. Szwagier powoli, stopień za stopniem pisał się do góry. Gdy wszedł, sięgnął do góry ręką... ale zabrakowało mu nieco mniej niż pół metra.

– W razie, czego, to mnie łapcie – zażartował i wszedł stopień wyżej.

– Jejku! Jacek uważaj! - zaniepokoiła się Wanda.

– O Boże! A jak spadnie? – zaczęła się denerwować Janka.

– Wasze panikowanie w niczym mu nie pomoże – starałem się uciszyć dziewczyny.

– Ja to nie mogę się na to patrzeć – stwierdziła Janka i weszła do domu. Wszyscy się trochę denerwowaliśmy. Jedno małe zachwianie równowagi Jacka i gościa spada. Nie miałby się nawet, czego chwycić, bo jego tułów znajdował się powyżej drabiny. W duchu modliłem się: „Boże, proszę Cię niech tylko nie spadnie, bo wtedy to będzie tragedia”. Wołałem nawet o tym nie myśleć. Jacek tymczasem z największą ostrożnością, wyciągał się najwyżej jak tylko mógł. Niebezpiecznie stawał na palcach i raz za razem wyciągał rękę.

– Nie dam rady – w końcu zrezygnował i zszedł z powrotem na dół – brakowało mi dosłownie 2 cm, dosłownie tygi, tygi.

– Trzeba coś wymyślić.

– Ćśśśśiii, starajcie się nie mówić po polsku, a jak już musicie to dużo ciszej. – słusznie przypomniał Lucek, bo przez natłok wydarzeń wszyscy już o tym zapomnieliśmy.

– Trzeba coś wymyślić. – powtórzyłem niemal szeptem.

– Ja spróbuję, może mi się uda. – zaoferował się Lucek.

– No, ty jesteś trochę więcej niż 2 cm wyższy od Jacka. – zauważyła Dorota.

– Tylko uważaj na siebie. – dodałem w trosce.

– To trzymajcie mocno, żebym nie spadł.– powiedział Lucek i zaczął wchodzić. Powoli wszedł tam, gdzie Jacek, wyciągnął się, stanął na palcach i jakoś udało mu się dosięgnąć

balkonowych barierek, których od razu się też złapał. Jednocześnie podciągnął się na nich i wybił się nogami z drabiny. Nagle usłyszeliśmy trzask łamanej deski, a Lucek, będący już prawie całym tułowiem na balkonie, bardzo niebezpiecznie się zachwiał i usłyszeliśmy tylko krótkie:

– Kur...!

Wtedy chyba wszystkim na dole zapało dech w piersiach. W momencie, gdy pękła poręcz, byliśmy pewni, iż Lucek spadnie. Uratował go jego spryt. Gdyby podciągając się, nie wybił się nogami niechybnie by spadł. Siła wyskoku spowodowała, że poleciał do góry, mimo, że deska, której zaufał nie wytrzymała i pękła. Sekundę leżał tak na balkonie tylko górną połową ciała podczas gdy dolna mu wciąż zwisała. Potem podciągnął najpierw jedną nogę, podparł się rękoma po czym wskoczył całym ciałem. Był już na balkonie. Dzięki Bogu udało mu się, bo było już naprawdę groźnie. Kopniakiem próbował otworzyć drzwi balkonowe, przy czym wybił szybę, przez którą potem wsadził rękę i otworzył je od środka. Gdy już wszedł do wewnątrz, wszyscy wzięliśmy rzeczy prawnie potrzebne do skłotowania po czym szybko i sprawnie zaczęliśmy je wnosić na górę. Były to materac, krzesła oraz stół. Bez tych rzeczy gliniarze teoretycznie mogliby się przyczepić o to, że chcieliśmy się włamać, a nie mieszkać. Według holenderskiego prawa, które zezwala na skłoting ten zestaw podstawowych mebli jest dowodem na to, że naszym zamiarem jest zająć miejsce, a nie je okraść. Co prawda i tak w pewnym sensie zaskłotowaliśmy te mieszkanie „nielegalnie”. Cała kamienica i tak była już do wyburzenia, a wysiedleni mieszkańcy opóścili ją nie dłużej niż miesiąc temu. Holenderskie prawo wymaga, aby skłotowany lokal był pusty i nieużywany conajmniej rok. Nasze nowe mieszkanie nie spełniało tego warunku. W związku z tym nie mieliśmy też tak zwanego kadastra, dokumentu poświadczającego jak długo mieszkanie stoi puste. Z tych powodów nie zaprosiliśmy też policji, by sprawdziła i spisała protokół o tym, że wszystko zrobiliśmy poprawnie. Kierowaliśmy się zasadą: „Jeśli niemożliwe jest byś zrobił coś dokładnie tak jak trzeba, zrób to, chociaż najlepiej jak tylko potrafisz”. Im mniej rzeczy do których bastardy mogą się przyczepić tym lepiej.

– No to macie fajne mieszkanko na miesiąc, może dwa. – powiedział Lucek, otwierając nam drzwi.

– Oby dłużej. – dodałem.

– Kto wie? Może na dłużej. – powiedziała z nadzieją Dorota. Gdy weszliśmy do mieszkania naszym oczom ukazał się piękny widok. Na podłodze wykładziny, łazienka z prysznicem w białych eleganckich kafelkach, kuchnia ze zlewem, niczego sobie, dwa pokoje, jeden duży z oknami na ulicę, drugi, mały z widokiem na podwórko Agaty i sąsiadujące kamienice. Jednym słowem – REWELACJA. Spełniło się w końcu nasze marzenie. Mieliśmy swój mały skłot. Nasze szczęście nie miało granic.

– Wielkie dzięki Lucek i Wy wszyscy. Bardzo nam pomogliście.

– Jak my się Wam teraz odwdzięczymy? – dziękowaliśmy jeden przez drugą.

– To jeszcze nie koniec. Trzeba teraz wstawić zamek i wszystko sprawdzić – stwierdził Lucek i wziął się za montowanie zamka, który nam wcześniej sprzedał na krechę po koleżeńskim cenie 12 guli. Gdy my zachwycaliśmy się mieszkaniem Gdy, Szurt fachowo sprawdzał po kolei wszystkie wygody i co chwilę nas informował o nowych odkryciach:

– Woda jest, terma⁴ też i jak z gazem wszystko w porządku to będziecie mieli też ciepłą wodę.

Co prawda niewiele wówczas rozumiałem angielski, lecz na szczęście wiedziałem o co Szurtowi chodzi i jakoś się dogadywaliśmy. By był prąd wystarczyło wkręcić tylko korki. Z tego wszystkiego zapomnieliśmy przynieść jakiekolwiek urządzenie, by sprawdzić elektryczność. Na szczęście poprzedni właściciele zostawili nam żarówki. Wkrótce Szurt podłączył nam gaz do termy, wytłumaczył mi jak ona działa oraz pokazał, gdzie podłączyć kuchenkę jak już ją zdobędziemy.

– Taką małą kuchenkę bez piekarnika mogę Wam pożyczyć – zaofiarowała się od razu

⁴ Bardzo często stosowane w Amsterdamie urządzenie, które palącym się gazem ogrzewa wodę w rurach.

Dorota.

- Dzięki. W końcu będziemy mogli sobie jakoś normalnie gotować – podziękowała Janka.
- Tylko tam jeden palnik nie działa.
- Nic nie szkodzi. Trzy nam wystarczą.
- No to skoro już zrobiliśmy najważniejsze, to może by choć trochę się Wam odwdziaczyć zrobmy małą parapetówkę. Co Wy na to? – zaproponowałem.
- Ja to muszę za dwie godziny spadać, ale piwka to się z chęcią napiję – powiedział Lucek.
- No i zapalimy nieco.
- Pewnie trzeba opalić nową chałupę – podchwycił me słowa Jackowski.
- Szurt, pijesz piwo?
- Tak, oczywiście.
- A palisz marihuanę?
- No pewnie!
- OK moment – nawet zbytnie pytałem – to co Jacek, Ty polecisz po materiał, a ja skoczę po piwo?
- Dobra.
- Griks, wiesz, że nie mamy pieniędzy – cicho zwróciła uwagę Janka.
- Jańciu, ale mamy w końcu mieszkanie. Przecież to dzięki pomocy tych ludzi. Jakże moglibyśmy się im nie odwdziaczyć?

– Masz rację – przytaknęła mi i już głośno powiedziała – to leć po to piwo.

Impreza była raczej symboliczna. Każdy miał jeszcze jakieś plany na dzisiaj. Ja też chciałem w tym dniu pod wieczór wyjść i pozarabiać trochę graniem. Mimo wszystko było miło i sympatycznie. Lucek pożyczył nam magnetofon do momentu jak nie znajdziemy sobie własnego. Włączyliśmy muzyczkę, piliśmy piwo, Lucek skręcił džointa, gadaliśmy o tym i o owym. Dorota barwnie i zajmująco jak to tylko ona potrafi opowiadała nam o innych skłotowaniach. My zaś raz po raz przeżywaliśmy jak to się urządzimy na nowych włościach, co musimy jeszcze zrobić, co skołować i jak to wspaniale, że w końcu mamy własny dom. Ze względu na Szurta część rozmowy prowadzona była oczywiście po angielsku, więc za dużo nie rozumiałem, a Jacek z Wandą tym bardziej. Posiedzieliśmy tak ze 2-3 godziny i część z nas rozeszła się do własnych spraw. Ja poszedłem grać na gitarze. Imprezka była co prawda krótka, ale za to przyjemna.

OBRONA SKŁOTU KALENDERPANDEN

Tak se gadaliśmy, aż w pewnym momencie dało się słyszeć głos płynący z głośników.

– Właśnie podsluchaliśmy przez radio, że bastardy z ME zaczęli mobilizację. Od teraz mamy jakieś 2-3 godziny na przygotowanie obrony. Wszyscy Ci, którzy muszą wrócić do swych domów niech zrobią to teraz, zaś wszystkim, którzy mogą zostać by bronić tego miejsca z góry dziękujemy. Zaczniemy budować barykady!!! – zakończył okrzykiem.

- Ho! Ho! A jednak coś będzie się działo – powiedział Miner zacierając ręce.
- A my, niewierne Tomaszę wąpiliśmy – zaśmiałem się.
- Teraz już rozumiem po co ten film – by zagrzewał do walki.
- A party i koncert, by przyciągnąć ludzi.
- I wszystko utrzymane w najskrytszej tajemnicy, by bastardy się nie dowiedziały.
- To jest organizacja, no nie?
- No, no, no...

Wszyscy zaczęli wychodzić ze skłotu. Jedni po to by zacząć budować barykady, drudzy by powrócić do swoich domów. Tych ostatnich jednak było zdecydowanie mniej. W wirze pracy szybko trafiła mi się robota. Zacząłem wynosić specjalnie wcześniej ze sobą zespawane stemple – metalowe rury, które zespawane ze sobą, tworzyły coś na kształt gwiazdy. Z takich konstrukcji szybko powstała barykada, którą było trudno przejść, przesunąć, przeforsować, czy zniszczyć. Gdy z kimś wynosiłem taką metalową konstrukcję, zobaczyłem jak jeden z nas siedzi w małej koparce.

Z dziką radością w oczach rozwałił nią płytki chodnikowe oraz kostkę brukową. Potem budowano z nich barykady lub rozbijano na mniejsze kawałki, by te czekały na kupkach jako przyszła amunicja. Zastanawiało mnie skąd oni wytrzasnęli taką koparkę.

To co ujrzałem było zadziwiająco nieprawdopodobne, a jednak piękne i (bo) rzeczywiste. Ci leniwi punkowcy, których znałem z ciągłego przesiadywania w barze i nieustannego przechylania piwa, tym razem pracowali z tak niespodziewanym u nich zapalem. Kobiety z poświęceniem nosiły ciężkie płyty chodnikowe. Każdy pracował. Tym razem nie było takich, którym się nie chciało. Każdy dokładnie wiedział, po co tutaj został. Barykady były budowane ze wszystkiego, co było pod ręką. Najczęściej były to płytki chodnikowe niszczonej ulicy, która zresztą przez rozkopanie też stała się przeszkodą. Mimo że raczej nikt tego nie koordynował, robota szła całkiem sprawnie. Wiadomo było co robić. Każdy pomysł, każda uwaga rozpatrywana była szybko przez ogół. W ten sposób płyty były podawane „murarskim sznureczkiem”. Jedni je demontowali z chodnika, drudzy podawali je sobie z rąk do rąk, a inni układali z nich coraz większe mury barykad. Robota wrzała jak w ulu. Nigdy w swoim życiu nie widziałem tak sprawnie, tak dobrze, z tak wielką energią i ochotą pracujących ludzi, a co dopiero punków. Ci ludzie są zdolni do wielu rzeczy – zależnie od sytuacji. Wszyscy czuliśmy wielką potrzebę przeciwstawienia się złu i bronięcia tak ważnego miejsca dla nas. Czuło się też ducha historii. Może trochę przesadzam lecz takie porównania podsunęły mi rozgrywające się przed oczami zdarzenie. To było prawie jak powstanie warszawskie. Budując z zapalem kolejne barykady czułem się niczym mały Gavroche. To uczucie jedności, które wszyscy czuliśmy, było dla nas bardzo ważne. Było nas tak wielu, kocioł narodowości i języków, niby tyle różnic, a właśnie wtedy czuliśmy tak bardzo tę więź, która nas łączy niczym rodzinę. To uczucie jedności wywierało wrażenie nie tylko na mnie. Wszyscy byliśmy jak bracia. Gdy jeden niósł coś ciężkiego, zaraz ktoś inny nie pytając mu pomagał. Gdy ktoś zmęczył się kopaniem, szybko zastępował go następny. Nie wyobrażam sobie by jakikolwiek system pracy mógłby być lepszy.

Oczywiście jak zwykle zdarzały się również wyjątki jak np. ten, który właśnie opiszę:

Obok jednej z barykad zobaczyłem skrzynkę elektryczną. Od razu w mej głowie zaświtał całkiem niezły pomysł. Parę kabli rzuconych luzem na tę barykadę, do tego ze dwie tabliczki ostrzegające: „Uwaga prąd” i myślę, że to wszystko zatrzymałyby gliniarzy na dłuższy czas, nawet, jeśli w przewodach nie byłoby prądu. Zanim by to sprawdzili minęłoby sporo czasu. Zresztą nie wiadomo, czy w ogóle by im się to udało, jeśli my byśmy dobrze bronili barykady. Chciałbym to zobaczyć jak policyjni specjaliści od elektryki sprawdzają kable pod gradem kamieni (ha! hhhhhha!).

Z tym oto pomysłem udałem się do Wojtka, Polaka, który znał wszystkich z Kalenderpanden i który mógł szybko zdobyć potrzebne rzeczy, bo wiedział co, gdzie jest i z kim gadać w razie czego. Przedstawiłem mu pomysł, wysłuchał i rzekł po angielsku:

– To dobry pomysł, godny zrealizowania, ale ja nie mogę Ci pomóc, bo ty nie mówisz dobrze po angielsku. Znajdź grupę, która Ci w tym pomoże i zróbcie to.

Gdy to usłyszałem szlag mnie trafił. Ja rozumiem, że ktoś może bać się używać polskiego w takich miejscach, ale będąc ze mną sam na sam i w tym przypadku to już lekka paranoja. Wkurzyło mnie to niezmiernie. Jeszcze w takiej sytuacji. Rozumiem jeśli chodziło o jakieś tam duperele, a nie o wspólną obronę. Tym bardziej, że sam potwierdził, iż idea jest dobra i warta zrealizowania. Nigdy potem już nie odezwałem się do tego bufona.

Koniec końców pomysł postanowiliśmy zrealizować sami z Minerem. Rzuciliśmy na barykadę parę kabli, które udało nam się zdobyć. Potem wsadziliśmy końce do skrzynki elektrycznej tak, że w sumie to rzeczywiście wyglądały na podłączone do prądu.

Potem wzięliśmy się za ulepszanie głównej barykady, od ulicy, od której najbardziej prawdopodobne było, że stamtąd uderzą bastardy. Powstały tam takie konstrukcje, iż razem stwierdziliśmy, że gliniarze musieliby być głupi, by właśnie je chcieć sforsować. Oprócz najeżonych zespawanych ze sobą stempli, które nosiłem wcześniej, było tam też kilka, których

podstawą były mury zrobione z płytek chodnikowych. Były też takie ze śmietników, śmieci i gratów. Jedna przy samym skłocie zrobiona była z zespawanych łańcuchami beczek. Od jednej strony w ogóle nie barykowaliśmy. Most zwodzony podniesiony przez nas do góry jakimś mechanicznym trikiem był już wystarczającą przeszkodą.

Wydarzenia biegły tak szybko jak szybko powstawały barykady.

W pewnym momencie zobaczyłem jak ludzie plądrują barakowóz należący do firmy, która miała przejąć remont Kalenderpanden. Znalezione tam całą dokumentację, która natychmiast została zniszczona.

Jon, ten łysy wypierdolił szybę w stojącym obok biurowcu i już z kimś wszedł do środka, jednak zaraz ktoś ich opierdolił:

– Co Wy robicie?! Jeśli gliniarze kogoś zaaresztują, to mogą ich również oskarżyć o kradzież rzeczy z sąsiednich budynków. A to robi duuuuży problem. Tych biurowców nie możemy plądrować.

Kilka osób poparło jego słowa, więc Jon przestał się zniszczenie. Pewnie słusznie, bo wtedy naprawdę mogliby nas wziąć i przedstawić jako bandytów, a nie skłotersów. To zaś wcale nie byłoby dobre.

Cały czas na zewnątrz było słychać nadawane na żywo właśnie z Entrepodok radio PATAPOE. Jakiś didżej puszczał jakieś pokręcone techno, przy czym dawał też komentarze po holendersku.

– Mogliby chociaż teraz puścić jakiegoś punka albo inną zagrzewającą muzykę – stwierdził Miner i tu miał rację.

W pewnym momencie muzyka całkiem ucichła i przez głośniki dało się słyszeć głos mówiący najpierw po holendersku, potem po angielsku:

– Właśnie jak się dowiedzieliśmy policja M1 zmobilizowała swoje siły i za jakąś dłuższą chwilę zaatakują od strony wschodniej. Jesteśmy przygotowani, niech tylko podskoczą!!! – wykrzyczał, po czym znów poleciała pokręcona muzyka a la PATAPOE.

– Zachodniacy! Nawet teraz nie puszczą człowiekowi nic zagrzewającego do walki – stwierdził Miner i tu też miał rację.

– Jakiś „neroniasty” artysta wykorzystuje zdarzenie i myśli, że ma swoje 5 minut – dodałem.

– Bo pewnie ma.

– No tak, tylko czemu kosztem naszych uszu. Ha! Ha! – tak podśmiewaliśmy się też trochę dla dodania sobie otuchy i by rozłuznić napięcie i atmosferę oczekiwania. Walka miała się zacząć niebawem.

„Jak będzie przebiegała? Czy uda nam się wygrać? Czy nie ryzykuję za bardzo? Przecież mogą mnie zaaresztować i deportować. Może dowiedzą się o moim zakazie w Niemczech?”. Przeżegnawszy się myślałem dalej: „Wszystko będzie dobrze, jest nas siła. Mam nadzieję, że tym razem policja będzie musiała odejść z kwitkiem. Tyle tak mocnych barykad postawionych, tylu ludzi do obrony zjednoczonych. Musimy ich w końcu przegonić! Ktoś musi stawiać opór złu. Kto jak nie my i kto jak nie Ty?!!!”. Myślę, iż każdy sobie myślał na swój sposób podobnie. Każdy miał nadzieję na nasz sukces. Jakby nie to, nie byłoby tu nas wszystkich, nie byłoby już od kilku miesięcy prowadzonej kampanii obronnej (masa plakatów, ulotek informacji, demonstracje, dużo pozytywnych artykułów w prasie, dużo pozytywnych wypowiedzi w radio i telewizji). Zresztą samo istnienie i działalność Kalenderpanden było jedną z dobrych wizytówek skłotingu w tym mieście. Był dostrzegany i doceniany przez ludzi również z zewnątrz, „spoza naszego środowiska”, jako interesujące miejsce kulturalne z różnorodną, ciekawą ofertą.

Wielu ludzi, którzy poznali to miejsce, od razu stawali się jego przyjaciółmi, co tłumaczy tak wielu zaangażowanych w jego obronę. Gdyby nie nasza nadzieja, nie byłoby też tego zapалу, tych barykad i tylu walczących i ryzykujących coś na swój sposób (a może i sytuację) ludzi.

Skłotów, praw do wszystkiego, co Ci się należy, społecznej sprawiedliwości, wolności itd. nikt Ci nie da za darmo. Nie zrobią tego ani politycy, ani policja, ani kolejne wybory. To wszystko

musimy wywalczyć sobie sami. Jeśli Ty, ja nie będziemy walczyć o to razem, jeśli sobie tych rzeczy nie wywalczymy, nigdy nie będziemy ich mieli. I nie jest najważniejsze, czy zwyciężymy. Najważniejsze to się nie poddawać w walce o lepszy świat, może wtedy nie będzie on coraz gorszy. Naszym zwycięstwem zawsze będzie to, że mówimy stanowcze NIE w obliczu draństwa (istota ruchu punk?).

Z różnymi emocjami wyczekiwania, wypatrując z dali bastardów pakowaliśmy przed walką do kieszeni ostatnią prowizoryczną amunicję. Najlepsze były śruby: ciężkie, małe i mocne. W większości pochodziły ze splądrowanego barakowozu, gdzie była ich masa. Cały czas płyty chodnikowe były rozbijane specjalnym młotem na mniejsze kawałki, gotowe do rzucania.

Bastardów wypatrywaliśmy od strony budowy, bo stamtąd wydawała nam się najlogiczniejsza droga by ominąć chociaż część barykad. W pewnym momencie lotem błyskawicy po ludziach rozeszła się wieść, iż gliniarze zamierzają już za chwilę nadjechać i uderzyć prosto od strony największych barykad.

– Skąd mamy aż tak dokładne informacje? – zapytał zaciekawiony Minera, gdy biegiem przemieszczaliśmy się na początkowe barykady.

– Widziałeś tego gościa z „zachodniej elity”, który stał przy wejściu z krótkofalówką?

– No, widziałem.

– Mają oni ustawione CB radio na kanale policyjnym i podsłuchują rozkazy i wszystko o czym gadają bastardy.

– Sprytne.

– Na dodatek rozszyfrowują też i tłumaczą specjalne kody, których używa policja i myśli, że nikt ich nie zna.

– To się nazywa organizacja! Myślisz, że przepowiednia się sprawdzi?

– Policja nie wie, iż ich podsłuchujemy, więc myślę, że się sprawdzi.

– Ja uważam, że to głupie ze strony bękartów, że atakują z tej strony. Myślę, że to może być jakiś podstęp. Pewnie tak naprawdę zaatakują od innej strony, a po tej stronie może tylko odwracają uwagę. – wytłumaczyłem sobie to w ten sposób.

Jednak przepowiednie spełniły się szybko. Bastardy nadjechały w sile kilkunastu opancerzonych suk wypełnionych świniami oraz jednej armatki wodnej. My, przygotowani na ich atak, staliśmy z kamieniami tuż za drugą z barykad, które były murami zbudowanymi z płyt chodnikowych. Na samym początku dało się słyszeć głos głównego bastarda:

– Macie ostatnią szansę na opuszczenie tego terenu. Jeśli nie zrobicie tego, będziemy zmuszeni użyć wobec was siły. Jeśli się rozejdziecie, nikt nie zostanie aresztowany.

– Nigdy nie ufaj policji!!! – zaraz ktoś krzyknął w odpowiedzi.

Tymczasem ja z Minerem przeprowadziliśmy szybką rozmowę. On zaczął :

– Ty, czemu my stoimy dopiero za drugą barykadą?

– No właśnie chyba nie po to budowaliśmy tą pierwszą, by teraz tak ją oddać!

– Co to to nie! – rzekł z przekonaniem Miner i naszą reakcją na policyjne kłamstwa było przeskoczenie przed drugi z murów, w obronie pierwszego, od razu rzucając w stronę wysypujących się z suk gliniarzy. Zaraz za nami przeskoczyli też inni, także rzucając w stronę najeźdźców i wspólnie krzycząc ile sił w gardłach: „NO JUSTICE NO PEACE JUST FUCK THE POLICE” (bez sprawiedliwości nie będzie pokoju, pierdolić policję – popularne hasło na wielu demonstracjach). Przez moment wraz z Minerem mogliśmy się poczuć jako bohaterowie tej chwili, bo to dzięki nam pierwsza barykada nie została łatwo zdobyta i długo potem jej broniliśmy.

Holenderscy gliniarze jak zwykle zachowywali się dziwnie. Stanęli kordonem 15-20 metrów przed barykadą i robiąc uniki przed kamieniami niczym automaty czekali na rozkaz. Tak bez żadnej reakcji dawali się obrzucać jakieś 10-15 minut. Pewnie dowódca kazał im podnieść statystyki wśród rannych, a ci debile posłuchali. „Rozkaz to rozkaz” przecież.

Po tym czasie do akcji wkroczyła armatka wodna. Mimo początkowego popłochu szybko wzbudziła w nas również złość i wolę walki. Schowany za barykadą, tak jak inni rzucałem w nią i

bastardów kamieniami. Szybko się zorientowaliśmy (może co bardziej doświadczeni już to wiedzieli), że oprócz zmoczenia i ewentualnie przewrócenia, to ta armatka nie jest w stanie nam nic zrobić. Niestety była tak opancerzona, że mimo naszych celnych rzutów, my także nie czyniliśmy jej żadnej szkody. Taki nieszkodzący nikomu pojedynek trwał zacięcie przez jakiś czas. Być może bastardy chciały nas w ten sposób przestraszyć, a może zmęczyć. Na szczęście jednak chyba bardziej nas rozśmieszyli oraz dodali nam wiary w siebie i w ich debilizm.

Ci chyba w końcu skapowali się, że wystawiają się tylko na pośmiewisko, bo po jakiejś godzinie takiej walki, nagle zaczęli do nas strzelać gazem. To było straszne. W jednym momencie wszyscy zaczęli uciekać. Ja też. Gdy biegłem w kierunku Kalenderpanden uciekając przed chmurą gazu ulatniającą się z kanistra na przedzie barykad, nagle musiałem się przedrzeć przez chmurę wydostającą się z pocisków rzuconych na tyły barykad. Tym razem nie obyło się bez łez i kaszlu. „Wszędzie gaz, cały teren w gazie. Przecież te ch...e nas poduszają!” – myślałem uciekając jak najszybciej w kierunku skłotu. Na szczęście powietrze za główną barykadą było już czyste, a gdzieś tam stały miski z wodą, gdzie można było się wypłukać z gazu. Zostały one wcześniej przygotowane na taką ewentualność.

Byłem pewien, że po tym ataku bastardy podejść przynajmniej pod główną barykadę i zagazowując nas sukcesywnie szybko osiągną zwycięstwo. „To już koniec!” – myślałem w...ony wypłakując oczy. Gdy jednak przejrzałem na nie zobaczyłem, że walka wciąż trwa. I to wcale nie na tyłach barykad, ale także w środku. Nasz opór uratowali Ci rozsądni i przezorni, którzy mieli ze sobą maski przeciwgazowe lub choćby pozaciągane na twarze bandany nawilżone białym octem winnym, które to również neutralizowały gaz. Oni to, uodpornieni wciąż walczyli, dzięki czemu tylko dwie pierwsze, te najmniejsze barykady zostały zdobyte. Jednak i oni mieli prawo się zmęczyć, więc było jasne, że sami mają niewielkie szanse na to, by bronić pozostałych barykad przez dłuższy czas. Na szczęście ktoś wpadł na pomysł, by podpalić główną największą barykadę, po to, by dym neutralizował działanie gazu. Pogoda nam sprzyjała. Jakby na zamówienie wiatr zwiewał cały dym prosto na gliniarzy. Wszyscy Ci, którzy przed momentem uciekali z płaczem, teraz z większym zapałem znosili i podrzucali wszystko co nadawało się do spalania. Płonąca barykada, walka, opór i ta jedność, która panowała między nami – nigdy nie zapomnę tych chwil.

Na początku trochę wątpiłem, że tym wielkim ogniskiem zlikwidujemy skutek gazu, ale rzeczywiście na nasze szczęście tak się stało. Dzięki temu bez płaczu mogliśmy wrócić na pole walki. Ze zwiększoną energią rzucaliśmy w gliniarzy dalej czym popadnie. Oni zaś nadal strzelali do nas gazem. Gdy udało im się trafić w pobliże walczących, szybko odrzucaliśmy kanistry z gazem z powrotem w bastardów. Trzeba było taki pocisk szybko złapać, bo po chwili zaczynał się kręcić i wypuszczać gaz. Wtedy było już za późno i wówczas lepiej gdy nie stałeś zbyt blisko. Ciągłe lecący dym pomagał, ale jednak nie w takich wypadkach. Jeszcze nie raz się krztusiliśmy, jeszcze nie raz zakręciła się łaza w oku sztucznie wywołana. Dzięki ciągle podsycanemu ogniovi nie było to już aż tak bardzo dokuczliwe jak na początku. Również nasze organizmy uodporniły się bardziej na tę truciznę.

Walczyliśmy już z nimi długi czas. W trakcie na skłocie mieliśmy możliwość napicia się kawy lub herbaty, odpoczęcia przez chwilkę oraz nabrania sił i energii do dalszej walki.

Gdy zaczęło świtać, gliniarze przestali nas gazować. Choć było to mało realne wszyscy chyba mieliśmy cichą nadzieję, że sobie odpuszczają, że to już koniec, że WYGRALIŚMY. Tak bardzo chcieliśmy, by było to prawdą, że nawet zaczęliśmy w to wierzyć.

– To tryumf anarchii nad tyranią! – cieszył się Miner.

– Tak bym chciał by było to prawdą – odpowiedziałem z nadzieją w głosie lecz nagle ktoś zaczął krzyczeć:

– Przegrupowują się na tę stronę!

– Tam ich widać – wołał jakiś Hiszpan pokazując palcem na teren między budynkami, za budową.

– Chyba któryś z nich w końcu zaczął myśleć strategicznie – zaśmiał się Inżynier.

- Myślisz, że będą rozpieprzać ten płot oraz ten cały plac budowy? – zapytałem.
- A co im tam.
- Pewnie zobaczyli, że nie ma tu barykad, więc im łatwiej pójdzie.
- Oni nie muszą się liczyć z tą budową.
- Nie muszą się liczyć z niczym.
- Tu to długo się nie obronimy. Rozwałą płot i już nas mają – mówił z obawą Harnaś.

Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, iż jeśli zaatakują od tej strony to nie mamy szans. Widmo przegranej patrzyło nam w oczy, daleko, po drugiej stronie budowy.

Nagle gościu, który podsłuchiwał komunikaty podał przez wszędzie słyszane radio:

– To podstęp! Właśnie chcą wjechać wielkim spychaczem od strony głównej. Tamci „emejowcy” po drugiej stronie budowy stoją tylko po to by odwrócić naszą uwagę od punktu ataku!

Po tym obwieszczeniu prawie wszyscy ruszyli czym prędzej z powrotem bronić barykad na głównej ulicy.

Prawie wszyscy, bo kilka osób zostało, by w razie czego widzieć, czy gliniarze, nie zdecydują się jednak zaatakować od strony budowy.

Spychacz był bardzo ogromny, solidny i pewnie przystosowany do tego typu akcji. Obrzucanie go nie czyniło mu żadnej szkody. W pierwsze barykady, które były zbudowane z płyt wjechał rozwalając je na boki. Smutny był to widok, tym bardziej, iż dużo energii włożyliśmy w budowę tych często podwójnych, wysokich murów. Pocieszające jedynie było to, że jedynie po wezwaniu na pomoc i wynajęciu tego potwora, psom udało się zdobyć te barykady.

Mimo jednak całego swego impetu, siły, mocy i odporności, gdy spychacz próbował przeforsować płonącą jeszcze, największą z barykad, nie szło mu już tak gładko. Chociaż napierał całą swoją mocą, chociaż coraz cofał się by wziąć „rozbieg” i raz za razem powtarzał najazd, płonąca barykada nieugięcie broniła wjazdu na Kalenderpanden. Podbudowani tym, że nie idzie im tak łatwo ze zdwojoną siłą i energią rzucaliśmy w tego „potwora”. Mieliśmy wciąż nadzieję, że w końcu uda nam się w jakiś sposób uszkodzić lub może złamać upór psychiczny tego, który kierował spychaczem.

Muszę powiedzieć, iż od tego ciągłego rzucania całkiem nieźle wyrobiła nam się celność. Coraz mniej było chybionych i słabych rzutów.

Nie wiem jak bezpieczne jest siedzenie w takim spychaczu, jednak bycie w miejscu, które jest obrzucane z taką energią przez ludzi, którzy bronią swego mieszkania i miejsca do robienia rzeczy dobrych na pewno nie należało do przyjemności. Zawsze mnie zastanawiało jak bezdusznym chamem trzeba być by pracować w takiej policji. Po jakimś czasie spychacz się wycofał.

- Hura !

- Wspaniale !

- Znowu ich pokonaliśmy. - wszędzie wznosiły się okrzyki radości.

Wtedy nie ważne było, czy spowodowało to załamanie psychiczne gościa w spychaczu, czy też nieskuteczność jego ataków, czy grad kamieni, który spadł na napastnika, czy może wszystko naraz. Najważniejsze było to, że znowu im się nie udało. By sobie to zrekompensować bastardy zaatakowały nas tą śmieszną armatką wodną z filmującą nas kamerą, która nie była już aż tak zabawna. To było zagranie poniżej pasa. Mając nasze twarze mogli kogokolwiek z nas aresztować potem na ulicy. Mogli każdego zaaresztowanego za błahostkę albo za nic potem sprawdzać, czy nie był zbyt aktywny podczas obrony skłotu.

Wku...ło nas to niezmiernie, lecz co poradzisz ? Ci co mieli cokolwiek, zakryli swe twarze. Jako, że ja nic nie miałem zdjąłem tylko swoje okulary i założyłem kaptur. To wszystko co mogłem zmienić by uczynić się mniej rozpoznawalnym.

Nie dziwne, iż po takim zagraniu, kamera ta stała się głównym celem. Ktoś przyniósł całe pudełko śrubek ze splądrowanego baraku. Dzięki ciągłej praktyce i ich stałemu ciężarowi już prawie za każdym razem udawało nam się trafić w tę kulę szpiegułę. Przerywałem jedynie wówczas gdy musiałem odskoczyć przed tym prysznicem. W sumie to i tak byłem już nieźle mokry. Woda

oprócz tego, że strzelała do nas, zgasiła także naszą płonąca barykadę. Po jakimś czasie i armatka wymiękła przy naszym oporze.

Chyba mieli już nas naprawdę dosyć. Wszyscy mieliśmy cichą nadzieję, że w końcu dadzą sobie spokój z tym ich oblężeniem. Byliśmy już nieźle zmęczeni. Oni na pewno też. Myślałem, iż fajnie by było by chociaż zrobili sobie przerwę, by człowiek mógł się trochę przespać. Oczywiście były to tylko moje głupie myśli, bo jakiegokolwiek dogadywanie się, zaufanie itp. nie wchodziło w grę. Przecież na pewno tylko marzą by nas przekręcić. To, że takie myśli zawitały w mej głowie dobrze świadczyło o moim zmęczeniu.

Było już całkowicie jasno. Tym razem bastardy zaatakowały prawie całymi swoimi siłami. Na przedzie z impetem jechał spychacz. Tym razem uderzył w barykadę z taką prędkością i siłą, iż coś w niej ruszyło, coś w niej pękło

Widząc to ze zdwojoną siłą go atakowaliśmy. „Potwór” machając swoją wielką łychę sukcesywnie rozwalal to co zbudowaliśmy. Za nim stanęła armatka i z nią też toczyliśmy walkę. Jakby tego było mało, zaczęli także strzelać do nas gazem. Ja, będąc wraz z innymi z boku barykady, na terenie budowy, za płotem, tym razem na szczęście nie obrywałem. Widząc co się dzieje, rzucaliśmy jeszcze częściej i mocniej. We wściekłości na strzelającą wodę przestaliśmy w ogóle zwracać uwagę. Widziałem gościa, który został przewrócony przez wodę. Wstając odrzucił im brukowca w rewanżu i pokazując środkowy palec nawet nie zamierzał się odsunąć przed następnym strumieniem.

Niestety. Mimo całego naszego bohaterstwa, spychacz coraz bardziej rozwalal naszą barykadę. Stało się prawie jasne, że już nie za długo będziemy się w stanie bronić. Wówczas podbiegł do mnie Arek, który walczył od frontowej strony barykady.

- Griks! Nam już w radiu podziękowali. Spadamy. Wszyscy już poszli. Zostali już tylko ci, którzy mogą być zaaresztowani. Wszyscy ci, którzy mogą mieć kłopoty odeszli już grupą.

- Dobra. To może ich dogonimy ?

- Daj spokój. Będzie tylko wyglądało, że uciekamy.

- Patrz. Dużo osób wraca jak my pojedynczo. Myślę, że bezpieczniej byłoby utworzyć grupę.

- To choć dołączymy do tamtych. - co zrobiliśmy przyspieszając kroku. Całe szczęście. Nagle jeszcze przed chwilą idący za nami Hiszpan krzyknął do nas:

- Uciekajcie ! Tajniacy ! Uciekajcie ! - przy czym sam gonił ile sił. Już go prawie mieli gdy wskoczył do kanału widocznie w tym widząc ratunek.

Nie wiem jak to się skończyło, bo sam mało nóg nie zgubiłem. Wraz z Profesorem pobiegliśmy w kierunku bloku. Modliłem się by nie było domofonu. Był...

...ale na szczęście drzwi były otwarte. Czyli jeszcze lepiej. Zamknęliśmy się na klatce i postanowiliśmy przeczekać złe chwile.

- Co za ciulowa akcja.- stwierdziłem.

- Wiesz, że koło nich przechodziliśmy ?

- No. Ciekawe co z tamtym.

- Hiszpanowi granicy nie zamkną. Nam by mogli.

- Drugi raz przez zieloną. Tylko nie to. - Uświadomiłem sobie tę nie ciekawą ewentualność. Po jakimś czasie opóściliśmy klatkę i ostrożnie, bezpiecznie, bocznymi uliczkami udaliśmy się do domów, by po odpoczynku śledzić i oprotestować kolejne eksmisje, które miały nastąpić podczas tej fali.

Jedno w tej całej obronie było zadziwiające. Tak jak całe miasto nawet i eksmisje były „pokojoye”. Gdy byłem w mieście X parę lat temu na demonstracji przeciwko ewikcjom wagenburgów na własne oczy widziałem jak koktajle mołotowa całymi kratami pakowane były na busa. Wśród aktywistów były popularne także proce. Tak na wszelki wypadek, by w razie ataków policji nie czuć się bezbronnie.

Tu, w Amsterdamie mimo płonących barykad i kilku godzinnego oporu, nikt nie myślał o tak niebezpiecznej broni. Amsterdam niczym usposobienie Holendrów był spokojnym miastem.

Szybko się nauczyłem, że ktokolwiek agresywny, używający przemocy widziany był przez większość jako idiota, a nie bohater.

Dlatego nawet strategia obronna skłotersów była dużo bardziej pokojowa niż w mieście X. Może to dzięki temu ruch skłoterski utrzymuje się tu mocno od dziesięcioleci podczas gdy w mieście X już prawie go nie ma. Co prawda policja w mieście X też jest bardziej agresywna co samo przez się nakręca spiralę przemocy.

Na zakończenie zagadka: miasto X to ???

Gwoli ścisłości uważam, że wszystko powinno mieć jakiś balans i element radykalny jest także bardzo potrzebny w jakimkolwiek ruchu społecznym. Organizacje walczące o prawa zwierząt nie byłyby aż tak silne bez Animal Liberation Front. Ruch alterglobalistyczny, antykapitalistyczny, ekologiczny, czy anarchistyczny nie miałby takiej siły bez czarnego bloku, Earth Liberation Front, Earth First i innych radykałów opierających swe działania na akcji bezpośredniej. Antifa zaś dba na ulicach o bezpieczeństwo nie tylko inaczej działających antyrasistów ale także inaczej wyglądających czy urodzonych w innym kraju. Nawet słynący z metod Non Violent Mahatma Ghandi nie odrzucał popierających go bardziej radykalnych Hindusów. Także Martin Luter King współpracował z Czarnymi Panterami, bo zdawał sobie sprawę, że inaczej marsz na Waszyngton nie był by możliwy. Silni będziemy jedynie wtedy gdy bez względu na strategię będziemy wzajemnie się wspierać i uzupełniać we wspólnej walce.

HOLENDERSKI PAŃSTWOWY RASIZM

Rano obudził nas jakiś hałas na ulicy. Zaspani z Janką wyjrzelśmy przez okno. Na ulicy stał biały bus z włączonym pomarańczowym kogutem. Myśląc, że to jacyś robotnicy zignorowaliśmy to i dalej poszliśmy spać. Po jakimś czasie znów obudziły nas hałasy. Wyjrzałem przez okno i ujrzałem z dwóch stron zaskłotowanej Tolstraat nadjeżdżające suki gliniarzy. Wówczas dopiero skojarzyłem biały samochód z wozem (nie)sprawiedliwości. Janka z rozpaczą i strachem zaczęła panikować – Griks! Ewikcja! Co teraz będzie?! Ja zaś wystawiłem głowę przez okno i najgłośniej jak tylko potrafiłem zacząłem gwizdać na palcu, by ostrzec i obudzić innych. Potem szybko znalazłem kartkę od Mause i napisałem numer telefonu do adwokata na ręce Jance, a potem ona na mojej.

– Boże co my teraz zrobimy? – moja żona panikowała dalej, aż w końcu się na nią wydarłem.

– Janka uspokój się!!! Nie panikuj, jeśli będziesz panikować ja też zacznę się denerwować, a potem Nea może zacząć płakać, a jeszcze tylko tego nam brakowało. Spokojnie, nerwy nam nic nie dadzą, a tylko zaszkodzą – tłumaczyłem już spokojniej, bo było mi głupio, że sam dałem się ponieść emocjom i krzyknąłem na moją ukochaną.

– To co my mamy robić? – zapytała.

– Pakuj wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy, a ja zaraz przyjdę. Zamaskowałem szalikiem twarz i wyjrzałem przez okno na klatce. Pierwsi „skłotersi” oczywiście technowcy, grzecznie i bez oporu opuścili swe domy. Dla nich wakacje się już skończyły. Teraz pewnie wrócą do swoich krajów. Splunąłem z pogardą na jednego z nich lecz chyba tego nie zauważył. Poszedłem szybko do Mocja. On też niedawno wstał i też już się chyba pakował.

– Trzeba sprawdzić, czy drzwi są zabarykadowane.

– Powinny być – stwierdziłem, ale na wszelki wypadek zszedliśmy na dół i sprawdziliśmy, że były zastawione. Po drodze zapukaliśmy do Walca, by go ostrzec. Otworzył nam zaspany i w samych majtkach.

– Mamy eksmisję.

– No zdążyłem zauważyć – powiedział zmartwiony.

Wróciłem by pomagać Jance się pakować. Nea już obudzona na samym początku patrzyła zdziwiona nie rozumiejąc co się dzieje. To dobrze, pewnie gdyby wiedziała o wszystkim na pewno by płakała, a tak przynajmniej z tym mieliśmy spokój. Zadzwoiłem do Zdenka i powiedziałem mu o nieszczęściu. Poprosiłem go, by jeśli może niech skołuje od swojego szefa samochód, a jak nie to

niech zadzwoni do Rene i poprosi jego. Jakby już coś wiedział miał oddzwonić, dlatego schowałem komórkę do bluzy z kapturem. Potem zacząłem zrywać zdjęcia ze ściany, myśląc: „Kurczę, takie miejsce; tak bardzo chciałem i wierzyłem w to, że zostanie. Tak wielką miałem nadzieję. Tylu przyjaciół, tylu znajomych, tyle działań, takie plany. Wszystko tu szło w dobrym kierunku, rozwijało się, a teraz ? Wszystko stracone. Przez pieprzonych bastardów i pieprzony rząd. Nienawidzę tego, co robią”.

- A co z łóżeczkiem? – zapytała Janka.
- Zaraz je wypie...ę przez okno.
- Nie rób tego, zaaresztują Cię.
- Niech wszyscy się dowiedzą, że wyrzucają rodziny z dziećmi.
- To łóżeczko było Zdenka.
- Co poradzisz. Nie damy rady wziąć wszystkiego. Zdenek to zrozumie.

Tyle rzeczy musieliśmy zostawić. Tyle kwiatów, które tak ładnie rosły, tyle rzeczy, które nazbieraliśmy, wieżę z kolumnami, która tak dobrze grała, jedzenie, meble i mieszkanie, które tak dobrze nam służyło, z którego byliśmy dumni i do którego już zdążyliśmy się przywiązać. Usłyszeliśmy jak ktoś kopie w drzwi na klatce. Wyjrzałem przez okno. Gliniarza już nie było. Kontener, który od razu przyjechał z bastardami, wznosił ekipę kilku z nich na dach. Pobiegłem na dół by sprawdzić, czy gliniarzowi przypadkiem się nie udało wdrzeć i co zobaczyłem: odbarykadowane drzwi. Tylko fart i wytrzymałość zamka ratowała nas przed tym, że nie mieliśmy go w środku. Kurde błądź! Zrobiliśmy tę barykadę z Kaskiem specjalnie w ten sposób, by można ją zamknąć wychodząc na zewnątrz. Umawialiśmy się ze wszystkimi, że razem opuścimy budynek i zostawimy go zabarykadowanym. Któryś z tych frajerów, Walec lub Mojec, wiedząc, że jeszcze jesteśmy w środku, zostawił prawie otwarte drzwi, ułatwiając tym wejście gliniarzom i zaskoczenie nas. Polecałem sprawdzić, czy może, któryś z nich został lecz już ich nie było. Zostaliśmy sami. Janka zapytała:

- Gdzie jeszcze lecis? Nie zostawiaj mnie samej.
- Skarbie muszę wzmocnić z Mojcem barykadę na górze. Wtedy zyskamy na czasie.

Okłamałem ją trochę by się nie martwiła. Pobiegłem na górę i z trudem zastawiłem pralką cienko zabite drzwi. Dla wzmocnienia ledwo co udało mi się tam postawić kolejne dwoje drzwi. Przeszkadzały mi w tym zahaczające się sznury na bieliznę. Trochę się pomęczyłem, namordowałem i ostro powkurzałem i w końcu się udało. Barykada była w miarę zrobiona. Zszedłem na dół do Janki i dalej się pakowaliśmy. Gdy stwierdziłem, że zabawek niestety nie możemy zabrać, zaniósłem całe pudło do okna. Janka próbowała mnie powstrzymywać

- Nie rób tego, oni Cię zaaresztują!!!
- Świat musi się dowiedzieć, że wyrzucają matki z dziećmi – po czym rozsypałem na ulicy całe pudło zabawek, strasząc tym nieco bastardów. Przy tym zapytałem krzycząc po angielsku:
 - Gdzie teraz będą mieszkały nasze dzieci?!!

Zaraz potem wyrzuciłem pluszowego słonia, którego wcześniej miałem zamiar powiesić przed oknem. Gliniarze zareagowali na to ironicznym aplauzem i ch... im w dupę. Pewnie niektórzy też mają dzieci. Ciekawe, czy w jakiś sposób ich gryzie sumienie. Pewnie nie, bo jakie sumienie może mieć automat. Chyba, że do wykonywania przepisów. Potem dalej kontynuowaliśmy pakowanie. Robiliśmy to szybko i w miarę sprawnie. Po jakimś czasie usłyszeliśmy od góry jakiś hałas.

- O Boże, co to?! – zapytała z przerażeniem Janka.
- Chyba się wdarli.
- No co Ty?! Może to Mojec?
- Nie sądzę. Bądź spokojna. Wyjdę do nich naprzeciw.
- Nie zostawiaj nas.
- Skarbeczku! Zaraz wrócę – i wyszedłem szybko kierując się na górę. Z góry naprzeciw mnie zobaczyłem schodzącego gliniarza M-1, a za nim następnego. Kaski na głowach, opancerzone

granatowe kombinezony, długie pały i dwie okrągłe tarcze. Pierwszy z nich niósł pilę elektryczną, co wyjaśniało ich wdarcie się na klatkę. Z tą maszyną moja barykada była tylko kwestią czasu. Jednak właśnie na czasie mi wówczas zależało. Gdy tylko ich zobaczyłem wykrzyknąłem:

– Tylko bez gazu tu jest dziecko!

– Dobrze. Jeśli nie będziecie stawiać oporu wszystko będzie spokojnie – jakiegokolwiek opieranie się nie miało sensu.

– Czy tylko Wy tu jesteście?

– Tak, nie zdążyliśmy się spakować.

– Musimy sprawdzić wasze mieszkanie – po czym wyszedł. Od wejścia rzuciła się na niego Papryka.

– Weź tego psa, bo go zastrzelę – sku... zaczął krzyczeć. Uspokoilem Paprykę i na wszelki wypadek założyłem jej kaganiec.

– Czy możemy się spakować?

– Dobrze, ale szybko – i zaczęliśmy kończyć pakowanie. Wrzucaliśmy co popadnie omijając te rzeczy, które nie są nam potrzebne lub te, których nie mogliśmy wziąć. Musieliśmy zostawić trzy maszyny do pisania, naszą wieżę stereo z 4 kolumnami oraz kupę gratów, ubrań i innych rzeczy, które chciałem komuś oddać, sprzedać lub się zamienić. Miałem to wynieść do darmowego second handu zrobionego na Overtoomie. Niestety nie zdążyłem się pozbyć tych moich wystawkowych zbiorów. W międzyczasie migowo zawołałem Jankę do łazienki i cicho jej powiedziałem:

– Najlepiej nic przy nich nie mów. Jeśli coś będziesz chciała powiedzieć to po angielsku, a najlepiej przyjdź tutaj.

– Dobrze. Przecież nic nie mówię – po czym wyszliśmy z łazienki. Papryka dalej mimo kagańca szczekała na bastardów. Trochę ją uspokoilem. W miarę szybko uwinęliśmy się z robotą. Na początku znieśliśmy Neę, wózek i najważniejsze rzeczy, potem wróciłem. Rozejrzałem się ostatni raz po mieszkaniu, sprawdzając, czy niczego ważnego nie zapomnieliśmy i poganiany przez gliniarza zszedłem na dół znosząc ostatnie torby. Gdy byłem na dole i zobaczyłem tę masę toreb i plecaków zacząłem się zastanawiać jak my się zabierzemy z tym wszystkim. Zacząłem wszystko ładować na wózek. Wysypały mi się przy tym szablony. Zacząłem je pospiesznie zbierać, by nie zobaczyli ich gliniarze. Chcieliśmy jak najszybciej opuścić to miejsce. Ze zdenerwowania zapomniałem się i zacząłem Janci mówić po polsku, co gdzie załadować. Jak teraz o tym myślę to przeklinam się: „Jak można było być tak głupim?”. Lecz wtedy byłem tak zdenerwowany, tak zrozpaczony, że zapomniałem się i swoją mową zdradziłem się, że nie jestem Holendrem. Swoją błędność zrozumiałem dopiero wówczas, gdy jeden z tajniaków podszedł do mnie i powiedział po holendersku

– Pan zdejmie ten plecak i pojedzie z nami.

Odpowiedziałem mu po angielsku:

– My już sobie idziemy, wszyscy razem. Nie zostawię swojej córki.

Widząc, że się opieram podszedli i okrzykli nas pozostali tajniacy. Widząc co się święci w geście rozpaczony wziąłem Neę na ręce i przytuliłem mocno Jankę. Nie miałem zamiaru ich opuszczać. Żadne ludzkie prawo nie może być ważniejsze od prawa boskiego, prawa córki do ojca, żony do męża, mojego prawa do bycia z rodziną. Widząc nasz opór tajni, bastardi (bo ci z ME w ogóle się tym nie zajmują) rzucili się na nas i zaczęli nas rozdzielać. Najpierw odepchnęli Jankę, a potem zaczęli mi wrywać Neę. Tak bardzo nie chciałem ich opuścić. Miałem nadzieję, że w końcu dadzą spokój szarpaninom, że jak będę trzymał Neę, to się opamiętają i nie będą pokazywać swej brutalności. Jednak oni jak automaty bezdusznie wykonywali swoje zadanie. Wrywali mi ją na oczach wszystkich, dziennikarzy i fotoreporterów, którzy jak sępy spragnieni sensacji pstrykali nam zdjęcie za zdjęciem. W sumie to dobrze niech ludzie dowiedzą się prawdy jak brutalna i nieludzka jest holenderska policja. Gdy wrywanie stało się mocniejsze Janka krzyknęła do mnie:

– Marek puść już ją – co zrobiłem z obawy, by jej nie połamali. Zaraz Janka odebrała dziecko gliniarzowi. Nea przez cały czas eksmisji była bardziej zdziwiona niż przestraszona. Grzecznie bez

plakania, będąc w szoku obserwowała rozgrywające się zdarzenia. Z jednej strony to dobrze, bo nie mieliśmy z nią tak wielkiego problemu jakby płakała. Z drugiej strony, to teraz sobie myślę, że może jakby zaczęła beczeć, to wywołałaby może litość gliniarzy. Choć raczej wątpię, bo przecież te bezduszne automaty mają kamienie, a nie serca. Na pewno pokazałoby to bardziej brutalność policji i tragedię sytuacji. W sumie mogłem wywołać jej płacz wzorem pań za komuny, które wykorzystując płaczące dziecko, często pożyczone od sąsiadki sprytnie omijały ówczesne bardzo długie kolejki. By uzyskać ten efekt szczypały trzymanego na rękach malucha, by ten zaczął wyć, przez co denerwował i wywoływał współczucie u stojących w kolejce, którzy chcąc ulżyć swoim uszom lub dziecku przepuszczali „mamę” na początek „ogonka”. Nie byłem jednak na tyle chamski, by krzywdzić Neę dla jakichkolwiek celów.

Gdy stałem już sam tajniacy pytali się mnie po holendersku i po angielsku:

– Skąd pochodzisz, z jakiego kraju?

Lecz ja po tym jak zrozumiałem swój błąd, twardo milczałem i nie odzywałem się w żadnym języku. Jeden z nich zdenerwowany moją postawą krzyknął mi w twarz.

– Wrócisz do swojego kraju!

W kilku próbowali mnie popchać w kierunku „suki”, która miała mnie przewieźć na komisariat lecz stawiałem opór. Próbowali pochwycić i wykręcić mi ręce lecz umiejętnie unikałem i wrywałem im je. Gdy udało im się przepchnąć mnie o parę kroków metodą „Non violent”, (bo każda inna była bez sensu) położyłem się i zacząłem stawiać bierny opór. Wychodziło mi to na tyle skutecznie, że z trudem udało im się mnie unieść i kilka razy o mało co nie zostałem upuszczony, co wtedy w ogóle mnie nie przerażało, choć mogłem sobie coś zrobić. W czasie tej szamotaniny usłyszałem zrozpaczony krzyk Janki:

– Zostawcie go! To jest mój mąż! Kto teraz zapewni nam byt? Nie wystarczy wam, że odebraliście nam mieszkanie?!!

Gdy usłyszałem to z mojego gardła wydobył się długi i głośny krzyk rozpacz, a moja szamotanina wzmogła się do tego stopnia, że kolejni tajniacy zaczęli mnie nieść, a przy okazji tak mnie powykręcali, że przy dalszym wierzganiu mogli mi połamać rękę. Nie szamotałem się już, ale wciąż wrzeszczałem:

– Aaaaaa... – kątem oka dostrzegłem wystraszoną Paprykę. Prawdopodobnie dostała od któregoś z bastardów, który wykorzystał to, że była w kagańcu. Dostrzegłem też wystający z przedniej kieszeni bluzy mój gaz, który znalazłem na wystawce. Jako, że broń ta jest zakazana w Holandii nie wykręconą ręką udało mi się wykonać ruch, który pozwolił gazowi wypaść z kieszeni. Byłem pewien, że gliniarze to zauważyli, ale na szczęście nie. Podczas szamotaniny wypadło mi też coś, co w odgłosie przypominało długopis lub coś plastikowego. Niestety nie udało mi się odwrócić głowy by zobaczyć co to. Przed zakratowanym busem (nie)sprawiedliwości przystosowanym do przewozu więźniów przestałem się wydzierać. Postawili mnie na nogi i spięli z tyłu ręce kajdankami i zamknęli w jednej z cel w tym samochodzie. Zza szyby zobaczyłem, że rozmawiają o czymś z Janką i coś spisują. Miałem nadzieję, że nie byli na tyle bezczelni by ją z dzieckiem też zaaresztować. Myślałem też, że moja żona nie jest na tyle głupia, by dać im swoje dane, czy powiedzieć skąd pochodzi. Próbowiałem walić głową w szybę by Jancia spojrzała na mnie, bym mógł pokazać jej swój uśmiech lecz niestety nie usłyszała.

Samochód ze mną w środku postął jakieś pięć minut, po czym wsiadło do niego dwóch gliniarzy i zawieźli mnie gdzieś na posterunek obok jakichś biurowców. Wieźli mnie kawałek przez Amsterdam. Przypomniła mi się podróż przez Berlin w podobnych warunkach. Próbowiałem zlokalizować, gdzie jestem, ale nie udało mi się. Nie napotkałem żadnych znajomych mi obiektów. Pewnie jechałem gdzieś na peryferiach, bo Amsterdam tutaj wcale nie przypominał tego znanego mi miasta. Wszędzie biurowce i jakieś budowy, a kanałów i pięknych kamieniczek wcale. Wyglądając przez okno i słuchając leżącego przez głośnik w suficie radia, powoli się odstresowywałem. Pocieszałem się myślami: „Abym tylko nic nie pisał, to pewnie jutro mnie wypuszczą. Może jeszcze dzisiaj. Najdłużej mogą mnie trzymać trzy dni, ale tyle to mnie trzymać

nie będą. Pewnie mnie wypuszczą od razu jak skłotersi pod głównym komisariatem, na Marnixstraat zrobią demonstrację hałasu w obronie aresztowanych. Czyli dzisiaj będę już wolny.” Tak pozytywnie nastawiony zostałem zawieszony do celu. Był to komisariat, który był położony na przeciwko biurowca, który chyba nazywał się „Golden Land”, czy jakoś tak. Zaprowadzili mnie do pomieszczenia, gdzie policyjne urzędasy robiły coś tam w papierach i w komputerach. Jednemu z nich, który podszedł do nas gliniarz wyjaśnił:

- To zatrzymany na eksmisji Tolstraat. Nie chce nic mówić.

- Trzeba go przeszukać. - zdecydował urzędas i zawołał innego bastarda. Ten kazał mi wyjąć wszystko z kieszeni. Gdy to zrobiłem, kazał mi się odwrócić twarzą do ściany i z opartymi w górze rękoma. Wtedy obszukał mnie. Debil na szczęście nie domyślił się o przedniej kieszeni w bluzie, w której zataiłem Janki telefon komórkowy. Skonfiskował mi nawet obrączkę oraz naszyjnik w kształcie serca. Wszystkie zabrane mi rzeczy spakowali do foliowego worka, gdzie ku mojemu zdziwieniu znajdował się też Janki aparat fotograficzny. Widząc moje zaskoczenie gliniarz, który mnie przewoził, poinformował mnie:

- Ten aparat wypadł Ci gdy Cię nieśli. - „cholera.”- przypomniałem sobie : „Miałem pstrykać nim zdjęcia z eksmisji. Dlatego wsadziłem go do którejś z kieszeni.” Dopiero wtedy skojarzyłem sobie, że wypadającą rzeczą jak mi się wydawało po odgłosie upadku, nie był długopis ale aparat. „Ku...a. Mogłem go spakować z innymi rzeczami. I tak w nawale wydarzeń całkowicie zapomniałem o zdjęciach. Teraz, znając policję film, na którym było wypstrykanych ponad 30 ciekawych i wspominkowych zdjęć, będzie na pewno przez nich prześwietlony. Cholera. To już drugi stracony film.” Miałem jednak cichutką nadzieję: „W sumie każdy gliniarz jak dorwie aparat to naświetla kliszę. Jednak Holandia to czasami dziwny kraj. Może okażą się w tym wypadku w porządku i tego nie robią.” Policzyli moje pieniądze oraz wsypali je do oddzielnej torby i tak jak inne zabrane rzeczy kazali mi je pokwitować na zamkniętych workach. Pieniędzy było jakby mniej o 10 guldenów, bo tylko 55. Nie chciałem jednak się kłócić, bo nie byłem pewien, iż je miałem i nie były one aż tak ważne w tym momencie. W ostatniej chwili podpisując, złapałem się za język (a raczej za długopis) i napisałem tylko inicjały, a nie całe nazwisko. Zdradziłoby mnie to całkowicie. Potem polaroidem pstryknęli mi zdjęcia. Specjalnie zrobiłem taką minę, by być jaknajmniej podobny do siebie. Jedną z fotek przyklepili do worka z rzeczami, a drugą zatrzymali sobie. Kilka razy pytali się o moje dane, narodowość lecz ku ich poddenerwowaniu milczałem twardo. Grozili czymś ale nic nie rozumiałem i nie odnieśli rządanego skutku. Gdy wszystko już załatwili, wyprowadzili mnie. Wychodząc zobaczyłem Portugalczyka Gonzalesa.

-Hi. - pozdrowił mnie od razu, na co odkiwnąłem mu nieznaczająco, tak by bastardy nie poznali, że się znamy. Mam nadzieję, że zrozumiał moje intencje. Młody Gonzales. Pewnie znowu się nie pi...ł. Na Reinwaldstraat jako jeden z niewielu zabarykadował się i przez ponad pół godziny gdy policja forsowała wejście, przez okno na full puszczał portugalskiego punka. Teraz też pewnie się jakoś stawiał. Jeśli nie stoczy się w narkotyki wyrośnie z niego nie zły aktywista. Na szczęście chyba ma do tego zdrowe podejście, bo jak widziałem na koncercie, jego kapela jest przeciwko narkotykom.

Gliniarze wprowadzili mnie do celi. Rozejrzałem się, czy nie ma kamer i położywszy się plecami do klapy zacząłem dzwonić. Najpierw próbowałem do adwokata lecz nikt nie odbierał. Potem zadzwoniłem do Zdenka. Odebrała Petra. Na wszelki wypadek mówiłem po angielsku.

- Cześć Petra tu Marek. Zaaresztowali mnie.

- Wiem Janka z Neą już są w drodze do nas.

- Powiedz im, że wszystko jest już w porządku i pewnie już nie długo mnie wypuszczą. Może nawet dziś.

- Dobra. Powiem.

- Muszę kończyć. Cześć !

Następny telefon wykonałem do Doroty.

- Cześć Dorota. Dzwonię z aresztu i mogę mówić tylko po angielsku. - przez słuchawkę słyszałem jej zaskoczenie i przestawienie się na angielski. - Mieliśmy rano eksmisję na Tolstraat.

- Tak ? I co ? Wszystkich wyrzucili ?
- Chyba tak. Jeśli możesz to pociesz Jankę. Powiedz jej, że wszystko jest w porządku.
- Dobra.
- To cześć. Muszę kończyć.
- Cześć.

Potem bezskutecznie próbowałem zadzwonić do adwokata. Następnie by czas mi szybciej zleciał, próbowałem zasnąć. Nie udało mi się to. Po jakimś czasie przyszedł do mnie policjant i zaprowadził mnie do samochodu. Znowu jechałem wśród wielkich ekskluzywnych biurowców. Zawieźli mnie na drugi komisariat. Wsadzili mnie do celi wraz z Murzynem, Arabem i Chorwatem. Z jednej strony pomieszczenie było oszklone, a raczej opleksowane, przez co w biurze, za korytarzem, było widać co się u nas dzieje. My zaś mogliśmy patrzeć co się dzieje u nich. Na stałe siedziały tam dwie policjantki. Pisały coś tam jak im kazano i po wcześniejszym zobaczeniu kto wchodzi, domofonem wpuszczały na posterunek. Po za tym miały też oko na nas. Często ktoś do nich przychodził i zlecał im jakąś pracę lub brał od nich jakieś papiery.

Gdy tylko wszedłem do celi, pozostali chcieli się ze mną zapoznać ale szybko zauważyli, iż nie mówię. Toczyli więc rozmowy między sobą: Za co siedzą, dlaczego, jak długo itp. Czasami gdy się coś działo po drugiej stronie, śmialiśmy się z tego teatru. Chorwat dla zgrywu podrywał bastardkę, a ta chyba myślała, że to na serio, bo chodziła rozpromieniona i zadowolona.

Próbowałem dzwonić komórką do adwokata, Zdenka i Doroty. Pierwszego dalej nie było, zaś przy pozostałych połączeniach telefon w dziwny sposób się wyłączał. Współwięźniowie byli nieźle zdziwieni gdy zacząłem gadać do telefonu. Wydawało mi się, że może antena ma za słaby zasięg jednak wciąż próbowałem z nadzieją, że przynajmniej oni mnie słyszą. Wykorzystałem wyjście do klatki na powietrzu, by zapalić, a także by dalej próbować się dodzwonić. Szlugami częstowała gliniarka. Wziąłem dwa. Mimo prób ustawiania telefonu tak, by antena była dobrze nie udało mi się z nikim połączyć. Za to ku...om udało się wypatrzyć moje manewry i informując, że telefonu w areszcie mieć nie wolno, kazały mi go oddać, co zrobiłem najpierw szybko go wyłączając. Zaraz potem przyszedł do mnie klawisz i po raz kolejny mnie przeszukał. Tym razem znalazł znaczek gościa strzelającego z procy. Przy okazji zrobili mi następne zdjęcie. Potem gdy zaprowadzili mnie z powrotem do celi, położyłem się na twardej ławce i próbowałem zasnąć. Oczywiście tylko próbowałem. Współwięźniowie dziwili się i pytali czemu nie chcę rozmawiać i powiedzieć skąd jestem. Po jakimś czasie przyszedł do mnie policjant co mnie obszukiwał i zapytał się mnie:

- Przydzielono Ci adwokata. Czy będziesz z nim rozmawiał ? - kiwnąłem znacząco głową - Ha ! A więc umiesz mówić. - powiedział z tryumfem wychodząc. Za jakiś czas zawołał mnie do innego pomieszczenia. Czekala tam na mnie adwokatka. Podała mi rękę i przedstawiła się:

- Thea de Boer - jednak ja oczywiście pozostałem milczący. Widząc to zaprowadziła mnie do osobnego pomieszczenia i zaczęliśmy rozmawiać.

- Na początek zapytam się Ciebie w jakim języku wolisz rozmawiać: po holendersku, czy po angielsku ?

- Po angielsku – odpowiedziałem.

- Taki jak już słyszałeś nazywam się Thea de Boer. - była to kobieta powyżej trzydziestki o twarzy pokrytej przewlekłym trądzikiem, krótkich blond włosach i drobnej posturze. - Tu jest numer telefonu do mojego biura. Możesz dzwonić kiedy chcesz by ze mną rozmawiać, a gdy mnie nie ma możesz zostawić mi wiadomość. - poinformowała mnie wręczając wizytówkę. - Rozumiem, że chcesz ukryć swoje dane. Nie musisz mi ich mówić jeśli nie chcesz. Musisz wiedzieć, że wszystko co mi powiesz zachowam w głębokiej tajemnicy. Jestem tu, by jakoś Ci pomóc. Na początek muszę Ci zadać parę pytań . Zgadzasz się ?

Co prawda po tym, jak zawiodłem się na adwokacie z urzędu w Berlinie, nie miałem do nich zaufania. Jednak jak na razie nie mogłem w żaden sposób dodzwonić się do adwokata polecanego przez skłotersów, więc nic innego mi nie pozostało jak skorzystać z jej pomocy.

- Zgadzam się.

- Zostałeś zaaresztowany podczas eksmisji na Tolstraat dzisiaj rano ?
- Tak.
- Czy twoje zachowanie było przyczyną zaaresztowania ?
- Myślę, że zaaresztowano mnie, ponieważ odezwałem się w swoim języku.
- I tylko to ?
- Może jeszcze przez to, że wyrzuciłem przez okno zabawki mojej córki.
- Myślę, że to raczej nie to. Nie chce Pan ujawniać swoich danych ?
- Nie.
- Określili pana jako NNB2. Dwie pierwsze litery oznaczają „No Name” (Bez imienia), B2 oznacza, że jesteś drugim dzisiaj ukrywającym swe dane. Prawdopodobnie pierwszym może być jakiś twój kolega skłoters. Dlaczego jeśli możesz mi powiedzieć ukrywasz swoją tożsamość ?
- W ulotce „Arrestand Support Group” (grupa wsparcia dla aresztowanych) jest napisane, że jeśli nie będę się odzywał, to po trzech dniach i tak muszą mnie wypuścić z aresztu.
- Jeśli chodzi o przestępstwa kryminalne, to w zasadzie tak. Muszą Cię albo wypuścić albo przedstawić zarzut. Na razie jesteś oskarżony o przestępstwo kryminalne. Jednak to, że się nie odzywasz może nasunąć policji podejrzenie, że jesteś w Holandii nielegalnie, a wtedy mogą Cię trzymać miesiącami, po to by ustalić twoje dane.
- Jak to ?? To podejrzani o przestępstwo siedzą krócej niż podejrzani o nielegalność ?
- Tak jest.
- Z tego wynika, że nielegalność jest czymś gorszym niż przestępstwa ?
- Takie jest tutaj prawo.
- Przecież to rasizm taki sam jaki stosował Hitler w pierwszej fazie rodzącego się faszyzmu.
- Niestety tak już jest.
- To źle. Myślałem, że Holandia to taki tolerancyjny kraj.
- To wszystko są wymogi Unii Europejskiej.
- Ta cała unia tworzy moim zdaniem więcej złego niż dobrego.
- No niestety. Na razie z tego co się dowiedziałam, to chcą Cię przewieźć do aresztu i tam mogą Cię trzymać dziesięć dni. Potem muszą Cię przewieźć do więzienia. Być może to kłamstwo. Policjanci często trzymają swe zamiary w tajemnicy. Być może wypuszczą Cię nawet dziś ale na to są małe szanse. Czy masz tutaj paszport ?
- Przy sobie nie. Ma go moja żona.
- Czy masz jakieś problemy w swoim kraju ?
- Tak. - skłamałem, bo nie chciało mi się wszystkiego tłumaczyć.
- Jeśli uważasz, że lepiej dla Ciebie jest nie wracać do swojego państwa, to nie podawaj swoich danych. Wówczas policja może Cię trzymać nawet pół roku by ustalić twoje dane.
- Ile ???!
- Nawet pół roku.
- Ja nie mogę tyle siedzieć. Ja mam żonę i dziecko. Oni mnie potrzebują. Ja już teraz się martwię, czy dadzą sobie radę bez mnie. Czy znajdą mieszkanie i czy będą miały co jeść.
- Twoja sytuacja jest trudna. Sam musisz zdecydować, czy dalej ukrywasz swoje dane i siedzisz nie wiadomo ile, czy mówisz swej żonie, by dała mi swój paszport.
- Jak dam paszport , to będę deportowany.
- Jeśli jesteś tu nielegalnie, to tak.
- To co pani zdaniem byłoby najlepiej zrobić ?
- Jeśli masz duży problem w swoim kraju, to dalej ukrywaj swoją tożsamość. Być może wypuszczą Cię szybko. Jednak jeśli będą Cię trzymać długo, to jest to źle dla twojej rodziny. Jeśli chcesz to mogę komuś przekazać od Ciebie informacje.
- Chcę. Przede wszystkim żonie.
- Masz do niej numer telefonu ?
- Nie. Ale mam do naszego przyjaciela.

- Możesz mi go podać ?

- Problem w tym, że zabrali mi telefon, gdzie jest on zapisany.

- To ja poproszę policjantów. Może dadzą mi go na chwilę. - po czym wyszła by za chwilę wrócić z komórką. Znalazłem numer do Zdenka i podałem jej mówiąc:

- Pani im przekaże, że wszystko jest w porządku i niedługo mnie wypuszczą i by nie martwili się o mnie.

- Dobrze. Czy poinformować o twojej sytuacji Arrestande Support Group ?

- Jak najbardziej.

- Jeśli cokolwiek będę wiedziała o twojej sytuacji, to przyjdę do Ciebie. Jeśli cokolwiek zdecydujesz lub zechcesz się mnie o coś zapytać to dzwoń. Na razie musimy już kończyć, chyba, że masz coś jeszcze ważnego do dodania ?

- Nie. Raczej nie.

- Jak coś to dzwoń. Teraz oddam policjantom telefon i powiem, że skończyliśmy.

- Dobrze. - po czym wyszła na chwilę i wróciła z bastardestem. Pożegnałem się kiwnięciem głowy, po czym odprowadzono mnie z powrotem do celi. Położyłem się z powrotem na pryczy i próbowałem zasnąć. Oczywiście tylko próbowałem. Gdzieś godzinę po rozmowie z adwokatką gliniarz, który mnie przeszukiwał, przyniósł mi dwa świstki papieru.

- Tu masz napisane po holendersku, że przeniesiemy Cię do aresztu oraz tego uzasadnienie. Tutaj zaś jest to samo ale w innych językach. - po czym wyszedł. Przez otwierającą się klapę zdążyłem usłyszeć stwierdzenie jednej z bastardek.

- Czyta po holendersku. - a ja rzeczywiście czytałem, choć nic nie rozumiałem. Logicznym by się wydawało, bym czytał po angielsku, jednak nie chciałem im dać znać, iż nie jestem Holendrem. Wiedząc, że mnie obserwują na tłumaczenia zaledwie spojrzałem. Były po angielsku, niemiecku, francusku, włosku, hiszpańsku, chińsku, turecku i arabsku. Ani jednego słowiańskiego języka, z czego wynikało, iż raczej nawet nie podejrzewają jakiej jestem narodowości. Z przeczytanego tekstu zrozumiałem, że był podpisany przez „Hulp officer van justitie”, z tego co pamiętam gościa opisanego w ulotce Arrestande Support Group jako bastarda, który będzie wciskał kity i robił różne sztuczki, by dowiedzieć się ode mnie prawdy. Dzięki temu, że to pojąłem nie zależało mi na rozumieniu reszty. Znow bezskutecznie próbowałem zasnąć.

Po jakimś czasie przynieśli dla każdego kanapki z serem. Ja odmówiłem. Postanowiłem robić głódówkę. „Nie będą mieli ze mną tak łatwo. Będę im stwarzał problemy jak tylko będę potrafił. Jak będzie trzeba to tak jak kiedyś się potnę. Po drugie było już długo po południu, a oni dawali nam dopiero pierwszą, marną kanapkę. P...ę ich takie traktowanie.” Poszedłem dalej „spać”.

Po pewnym czasie Chorwata i chodzącego jak na spidzie Araba, powieźli gdzieś kłatkobusem. Zostałem sam z Murzynem. Co jakiś czas prosił on bastardów, czy może zadzwonić do swojego adwokata. Ci cały czas mu coś tam ściemnieli. W końcu Czarny się zdenerwował i zaczął im wrzucać.

- To wy jesteście większym problemem, a nie przestępcy. Cała ta wasza Unia Europejska to zło. Wy jesteście nielegalni, a nie ja! To wy łamiecie prawo, bo nie dajecie mi zadzwonić. Przestępcy !!! Rasiści !!! - chyba niektórym zrobiło się głupio. Jako wyraz poparcia pokazałem mu znak „OK”. Szkoda, iż nie mogłem z nim pogadać. Po jakimś czasie, wieczorem zawieźli nas celobusem znow nie wiadomo gdzie. Jechaliśmy już przez bardziej mi znajome okolice. Próbowałem rozpoznać, gdzie jestem. Nagle poznałem, że jedziemy na komisariat na Marnixstraat. Z utęsknieniem wyglądałem demonstracji hałasu o nasze uwolnienie. Niestety nie dopatrzyłem się, choć jak się później dowiedziałem, odbyła się. Prawdopodobnie miała miejsce o innej porze. Zaprowadzili nas do celi, z której raczej na pewno nie można było usłyszeć nic co się działo na zewnątrz. Ani w środku, ani w pobliżu nie było widać żadnych okien. W celi był ten sam Arab, którego spotkałem na poprzednim komisariacie. Tym razem nie chodził w kółko, lecz drwił i naśmiewał się z innego Araba w celi na przeciwko. Tamten był w jakimś mundurze, co pewnie było przyczyną kpin. Był zmieszany. Próbował się odgrażać lecz bezskutecznie. Murzyn i Arab dalej z niego drwili. Ja zaś

dalej usiłowałem zasnąć. Cały czas myślałem, że niebawem już mnie wypuszczą. Wszystkie fakty tłumaczyłem sobie jako zbliżające do wolności. To, że trafiłem na Marnixstraat też. Stąd chyba wszystkich wypuszczali.

Nie minęła godzina jak najpierw wzięli Araba, a po jakimś czasie mnie również. Gdy byłem prowadzony, przy wyjściu zobaczyłem moją adwokatkę coś załatwiającą. Mogłem do niej krzyknąć ale nie chciałem się zdradzać. Po drugie nawet nie miałem o co się jej zapytać. Wpakowali mnie do klatkowitzu i znowu nas gdzieś wieźli. Jechałem przez Amsterdam i zastanawiałem się: „Gdzie tym razem i kiedy mnie wypuszczą ?” Coś ta zbyt długa droga wydała mi się podejrzana. „Czyżby mnie wywozili z Amsterdamu ? Po co ? Żeby jutro mnie przywieźć z powrotem ? Pewnie chcą mnie zastraszyć i zdezorientować.” - myślałem sobie. Podjechali do budynku w środku dużego osiedla. Pomyślałem sobie, że może nadarzy się szansa ucieczki i zacząłem analizować, czy warto podjąć ryzyko. Nie znałem terenu w przeciwieństwie do tych, którzy będą mnie ścigać. Po drugie chyba muszą mnie niedługo wypuścić, więc nie ma co. Z resztą okazja się nie nadarzyła, bo do klatkowitzu wprowadzili jakiegoś młodego Murzyna i pojechaliśmy dalej, a ja cały czas siedziałem w swojej celi. Zajechaliśmy na inny posterunek i tam wsiadło dwóch Arabów. Potem jechaliśmy dość spory kawałek. Zza okna obserwowałem dziwne morze świateł i zastanawiałem się do czego one są. Wjechaliśmy do jakiegoś miasta, gdzie nie było tak dużo kanałów jak w Amsterdamie. Zawieźli nas do budynku, który przypominał mi więzienie, a jak się później dowiedziałem był aresztem. Wsadzili mnie do celi z Arabem. Od razu się mnie zapytał:

- Czy masz może papierosy ? - odkiwnąłem przecząco. O to samo zapytał się klawisz.

- Tu nie można palić. - odpowiedział mu jeden z nich.

- Ale ja jestem zdenerwowany. Muszę się uspokoić. - nalegał.

- Może jutro rano.

- Ale ja nie paliłem już od dwóch dni i teraz bardzo chciałbym zapalić. - gościu prawie płakał, a klawisz z faszystowskim uśmiechem zamknął mu celę ignorując go.

„No to teraz nieźle trafiłem. Ci klawisze to naziole. Ciekawe, czy będą mnie gnębić ?” pomyślałem i aby wyrazić mój stosunek do nich, pogroziłem im pięścią. Mój tymczasowy współwięzień był całkowicie rozwalony psychicznie. Skrył twarz w rękach i być może płakał. To ku...stwo doprowadzać dorosłego faceta do takiego stanu. Po jakimś czasie zaczął się tłumaczyć i żalić:

- Przez ostatni tydzień miałem Ramadan (muzułmański post). Nie piłem, nie jadłem i nie paliłem. Ja lubię jeść i pić, a oni nam nie dają. Teraz, po zmroku już mogę jeść, a oni nam nie dają. To by mnie trochę uspokoiło.

Chciałem go jakoś pocieszyć, poużalać się na bastardów razem z nim ale mogłem mu jedynie potakiwać głową z obawy na ukryte kamery albo gdzieś zamontowany sekretnie podsłuch. Lepiej być ostrożnym. Po jakimś czasie wywołali mnie do pomieszczenia, gdzie stał stolik, dwa krzesła, a pod ścianą ponumerowane szafki. Kazali mi usiąść. Wyjęli worek z moimi rzeczami oraz pieniędzmi i kazali znów pokwitować na folii, że wszystko jest na miejscu. Po raz kolejny mnie przeszukali. Tym razem bardzo dokładnie. Sprawdzali nawet skarpety. Znaleźli ostatni ukryty badzik i zabrali mi nawet sznurek z kaptura. „Że też tacy leszcze każą mi co mam zrobić. Normalnie pewnie bym ich załatwił dwóch na raz, a tu czują się mocni. Pewnie specjalnie wybrali tę pracę, bo czuli się zakompleksieni i chcieli się dowartościować. Jeden był mniejszy i młodszy ode mnie. U drugiego, po lalusiowatej twarzy było widać, iż to jednostrzałowiec. Na mądrych też mi raczej nie wyglądali. Być może się myliłem, ale moim zdaniem żaden porządny człowiek nie poszedł by do takiej pracy, bo nie potrzebna mu jest władza nad innymi by się lepiej poczuć.

Po tych formalnościach zaprowadzili mnie do pomieszczenia z pościelą. Kazali wziąć koc i prześcieradła, po czym wprowadzili mnie do mojej nowej celi. Numer 21 - „ciekawe, czy będzie szczęśliwy ?” - pomyślałem. Miała około 2,5 na 3,5 metra i ze 3 metry wysokości. Na ścianie na przeciw kłapy z kwadratowych kafelków okno o wysokości łokcia i szerokości ściany nad łóżkiem. Na betonowej koi „plastikowy”, twardy tak samo jak poduszka materac. Pośrodku na metalowych

murach dwie betonowe płyty wmurowane w ścianę. Jedna niższa to krzesło, a druga, wyższa to stół. W rogu, obok drzwi, po lewej stronie, na górze świetlówka, za pleksą. Niżej małe okienko na podawanie jedzenia. W rogu, po prawej metalowa umywalka i kibel. Ściany pomalowane na kremowy kolor. W kłapie judasz w odwrotną stronę by klawisze mogli bez przeszkód mnie podglądać i kontrolować. Zaraz splunąłem na niego gęstą śliną, która powinna zakłócić im widoczność. Pościeliłem kojo. Pomodliłem się do Boga i poprosiłem go o to bym nazajutrz był już wolny. Z taką nadzieją też zasnąłem.

Wczesnym rankiem, nawet zbyt wczesnym obudzili mnie i dali mi przez okienko dwie bułki z żółtym serem. Wyrzuciłem im je z powrotem niemalże prosto w twarz. „W końcu sobie o mnie przypomnieli. Drugi, mały posiłek w ciągu tak długiego czasu. Dosłownie jak w obozie koncentracyjnym. Niech się wypchają. Nie potrzebuje ich zasranej łaski.” - dalej trwałem w głodówce i w swym postanowieniu, iż zacznę jeść dopiero na wolności. Położyłem się by dalej spać. Obudził mnie brodaty, starszy klawisz z zapytaniem:

- Czy chcesz iść na świeże powietrze ? - kiwnąłem potakująco.

- To ubieraj się. - „W końcu może jakiś kawałek wolności.” - pomyślałem sobie. Przypomniało mi się jak Kojotowi w Berlinie udało się przeskoczyć mur z takiego deptaka, szybko wsiąść do tramwaju i w ten sposób uciec z więzienia deportacyjnego. Znowu w moim umyśle zapaliła się iskierka nadziei. Znowu począłem snuć rozważania, czy rzeczywiście opłaca się ryzykować. Czy warto wszystkie rzeczy zostawiać dla tych paru dni, a może nawet już godzin. Czy gra jest warta świeczki. Zobaczymy. W sumie to wolność jest bezcenna.

Klawisz zaprowadził mnie do szafek, gdzie oddano mi moją kurtkę na czas spaceru. Zapytałem się jego na migi, pokazując mu nr. na wizytówce, czy mogę zadzwonić do mej adwokatki. Ciekawy byłem sytuacji i chciałem ją znać przed być może przyszłą możliwą decyzją ucieczki.

- Po spacerze. - odpowiedział mi, po czym zeszliśmy piętro niżej, gdzie zaprowadził mnie na deptak. Było to pomieszczenie około 20 na 7 metrów. Jedna połowa miała sufit, a druga była jakby studnią o wysokości 4 - 5 metrów. Taka wysokość wykluczała możliwość przeskoczenia, a gładkość ściany przekreślała sposobność by się na nią wspiąć. Na dodatek chyba żeby nas jeszcze dobić psychicznie u jej wylotu były położone kraty. Nawet nieba nie mogliśmy sobie pooglądać normalnie. Wszędzie tylko kraty i kraty. To chyba po to by wykończyć naszą psychikę. Żeby tego było mało w dwóch połowach zamieszczone były kamery. Faszyści. Na ucieczkę nie było żadnych szans.

Oprócz mnie na spacerniaku było jeszcze czterech innych więźniów, w tym Arab, którego poznałem na poprzednim komisariacie, jakiś Holender, który poczęstował mnie szlugiem, Bułgar i dwóch Murzynów...

Po wypaleniu papierosa zakotłowało mi się w bani. Nic dziwnego skoro tyle już nie paliłem, a do tego nic nie jadłem. Te kręcenie się w głowie przypominało trochę działanie LSD i było dla mnie pewnego rodzaju relaksem i przynajmniej częściowym oderwaniem się od rzeczywistości.

Dziękowałem Bogu za tę chwilę. Właśnie gdy działanie szybko uleciało przypominałem sobie, że dziś jeszcze się nie modliłem i nie zważając na nic uklękłem na środku, utkwilem oczy w niebo, przeżegnałem się i zacząłem się modlić myślami : „Boże. Moja rodzina została sama. Proszę Cię w jej imieniu : Spraw bym wyszedł stąd jak najszybciej. Niech przestaną już cierpieć rozłąkę. Przecież Nea nie jest niczemu winna (z resztą my też). Proszę Cię za to wszystko co dobrego zrobiłem, Nie pozwól by moja córka i żona cierpiały. Zrób to dla nich, nie dla mnie. Ja rozumiem, że są ludzie, którzy mają gorzej niż my np. dzieci, które rodzą się głodne, żyją głodne i umierają z głodu, podczas gdy ich Matki nic nie mogą na to poradzić. Boże, wiesz, że zawsze starałem się pomagać najbiedniejszym. Proszę, nie pozwól, by trzymano mnie teraz tu, bym tracił czas, w którym mogę czynić dobro. Jeśli mnie wypuścisz, obiecuję Ci, że zacznę pomagać głodującym w trzecim świecie. Modlę się też o zdrowie mojego Taty. To dobry człowiek. Już i tak wiele się wycierpiał. Proszę Cię, Boże spraw by wyzdrowiał. Boże. Proszę Cię nie dla siebie lecz swojej rodziny. Wysłuchaj mych prośb ! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.” Współwięźniowie, bez względu na to jaka

była lub nie była ich religia, zatolerowali moją. Wszyscy rozmawiali między sobą, bo spaceriak był jedynym miejscem tutaj, gdzie można było spotkać normalnych ludzi. Opowiadali sobie kto skąd jest, za co siedzi, jakie są perspektywy ich wyjścia na wolność itp. Często pocieszali się wzajemnie. Ogólnie klimat był miły i przyjazny. Nie było żadnej fali, czy grypsy. Złych przestępców bardziej przypominali mi klawisze i bastardy. Tak na prawdę to pewnie nimi byli. Kilka razy współwięźniowie próbowali ze mną zagadać. Zdziwieni byli, że nie mówię i niektórzy pewnie myśleli, iż jestem niemową. By się nie nudzić tak bardzo zacząłem trenować. Na początku same ciosy: prosty, hak i sierpowy. W różnych kolejnościach. Dotąd aż się zmęczyłem. Odpocząłem trochę chodząc i znowu trening. Potem odpoczynek i tak w kółko. Współwięźniowie patrzyli na mnie z szacunkiem, choć trochę też jak na pojeba. Po pół godziny, czy może nawet godzinie weszli klawisze i zaczęli z powrotem wprowadzać nas do celi. W końcu przyszła moja kolej. Zawsze kombinowałem by być ostatni, bo jak by nie było jest to jakieś urozmaicenie od siedzenia w celi. Oddając kurtkę do szafki przypominałem gestami Brodatemu, że chcę zadzwonić. Zapytał się mnie:

- A z adwokatem to umiesz rozmawiać ? - na co odkiwnąłem mu potakująco.

- To daj mi tę wizytówkę. - po czym kazał mi czekać przy okienku, a sam wszedł do ich biura.

Wykręcił mi numer i wywołał moją adwokatkę.

- Czy jest Thea De Bur ?

-Tak.

- Czy mogę ją prosić ?

- Już podaję.

- Czy to Thea de Bur ?

-Tak.

- Dzwonię z kompleksu cel w Harlemie. Pani klient chciałby z panią rozmawiać. Czy może teraz ?

- Oczywiście.

-To już go podaję - po czym otrzymałem słuchawkę.

- Tu Thea de Bur.

- To ja NNB2.

- Skontaktowałam się z twoją dziewczyną.

- Żoną.

- Przepraszam. Żoną. Kazała mi przekazać, że Cię kocha, tęskni i że czeka na twoje uwolnienie.

Masz pozdrowienia od waszych przyjaciół. Arrestande Support Group jest już poinformowane i zobowiązało się jakoś pomóc.

- Czy jest już wiadomo coś o mojej sytuacji ?

- Jesteś podejrzany o nielegalne przebywanie w Holandii, więc niestety prawdopodobnie możesz być przetrzymywany dłużej niż trzy dni.

- Ku...a.

- Jutro przyjadę do Ciebie z wizytą i omówimy szerzej twoją sytuację i co najlepiej w takim wypadku zrobić.

- W takim razie do jutra.

- Do jutra. - i na tym skończyła się nasza rozmowa. W ten sposób zakończyłem dzwonienie telefonem i pukaniem w szybkę dałem o tym znać Brodatemu, który zaprowadził mnie z powrotem do celi. Po momencie jakaś klawiszka zapytała mnie przez okienko:

- Kawę czy herbatę ? Podszedłem i palcem wskazałem na kawę. Postanowiłem, że pić na razie będę. Kawa sprawi, iż nie będę taki senny. Jednak gdy zajdzie taka potrzeba, gdy mnie wkurzą lub będą trzymać za długo, zaostrzę swoją głódówkę o nie przyjmowanie także płynów. Wypiłem kawę i tak jak zamierzałem dalej kontynuowałem mój trening. Z braku miejsca i przez przygnębiającą atmosferę, tu w celi tylko się rozciągałem. Najpierw wszystkie cztery dźwignie Aikido, a potem ostro, po krótkiej rozgrzewce rozciąganie do szpagatu. Siadłem w najszerszym jak tylko mogłem rozkroku i zacząłem się wychylać co raz bardziej do przodu. Po każdych stu skłonach odpoczynek,

a potem znowu. Po pięciu takich seriach dałem spokój by od początku nie nadwyręzać stawów. Powoli muszą przywykać do wysiłku. Po takim treningu zawsze łatwiej było mi zasnąć. Rano zapytaniem obudziła mnie klawiszka:

- Czy chcesz do łazienki ? - kiwnąłem potakująco. Dała mi sprzęt do mycia i zaprowadziła do pomieszczenia, gdzie były łazienki i prysznice, po czym zamknęła mnie w jednej z umywalek. Po rozpakowaniu szczoteczki, zauważyłem, że jest ona chińska, a więc prawdopodobnie wyprodukowana w obozie pracy „Lao Gai”. Niestety widać to było dopiero po otwarciu opakowania, a gdy ono było już otworzone, to czy ją będę używał, czy też nie i tak ją wyrzucą. Z czystym więc sumieniem umyłem nią zęby. W trakcie mycia usłyszałem dialog pomiędzy więźniem a klawiszką.

- Ja chcę już do łazienki.

- Do łazienki pójdziesz jutro. Dzisiaj miałeś prysznic.

- Jak to nie mogę dziś skorzystać z umywalki i umyć zębów ?!

- Nie. Będziesz mógł to zrobić jutro.

- I kto tu łamie prawo to ja nie wiem.

- Takie jest prawo. - skwitowała bezdusznie klawiszka.

„Co za nie ludzkie i chamskie traktowanie.” - pomyślałem. Człowiek nawet się umyć nie może.

Jedynie co dwa dni. Co prawda umywalkę w celi miał każdy ale mydło i szczoteczkę jak się później przekonałem, zabierali nam przed wejściem do niej. Nawet w faszystowskich Niemczech mogłem iść pod prysznic nawet kilka razy dziennie, co z resztą z nudów czasami robiłem. Tu w „tolerancyjnej” Holandii traktowano nas jak brudasów.

Po umyciu się poszedłem dalej spać. Obudzili mnie na spacer. Na deptaku znowu się pomodliłem, zapaliłem i znowu zacząłem ćwiczyć. Tym razem oprócz ciosów zacząłem też kopnięcia. Z czasem zacząłem każde z nich liczyć i po 50-ciu robiłem chodzący odpoczynek, a potem następną serię. Zrobiłem ich około ośmiu.

Wracając z deptaka na migi z trudem wytłumaczyłem Brodatemu, że chcę zadzwonić do drugiego adwokata. Klawisz dziwił się, iż mam ich dwóch skoro można mieć tylko jednego. W końcu jednak ustąpił i wykręcił drugi numer. Znowu zaanonsował, że chcę zadzwonić po czym podał mi słuchawkę.

- Tu Jan Maier.

-Tu NNB2. Jestem zaaresztowanym podczas eksmisji na Tolstraat. Otrzymałem adwokata z urzędu, Theę de Bur, bo do Pana nie mogłem się dodzwonić. Czy mógłby się Pan jakoś z nią skontaktować i nam pomóc ?

- Nie wiem. Akurat znam trochę twoją sytuację i wiem, że obecnie jesteś podejrzany o nielegalność, więc nie za bardzo mogę Ci pomóc.

- Może Pan jednak do niej zadzwonić , by zobaczyć co się da zrobić ?

- Dobrze. Podasz mi jej numer ?

- 612.....

- Zaraz do niej przedzwonię.

- Dziękuję. Do widzenia.

- Cześć. Trzymaj się. - w ten sposób zakończyliśmy naszą rozmowę i odprowadzono mnie do celi, gdzie czekała już na mnie herbata. Wypiłem ją i znów zacząłem się rozciągać. Tym razem zrobiłem już 1000 skłonów. Nogi bolały ale był to znak, iż się rozciągam. Cały czas z niecierpliwością oczekiwałem wizyty mej adwokatki, They. Ciągłe mówiłem sobie w myślach, że zaraz wejdzie lecz ona cały czas nie przychodziła. Klawisze mieli jakiś sygnał wywoławczy podobny do mojego „imienia” NNB2 i zawsze jak go słyszałem „naginałem” go do potrzeb moich myśli. Tym razem tłumaczyłem sobie: „Ktoś przyszedł na wizytę do NNB2”. Oczekiwanie wkurzało mnie do tego stopnia, że cały czas by o tym nie myśleć, próbowałem się czymkolwiek zająć. Gdy już nie miałem czym poszedłem wku...ny i zawiedziony spać.

Obudziła mnie para klawiszy, wchodzących do mojej celi i wręczających mi komórkę informując,

że to dzwoni prawniczka. Gdy dali mi telefon, stanęli pod celą i chyba dowcipkowali sobie o mnie, iż tak to nie umiem gadać ale jak adwokatka dzwoni to mi się język rozwiązuje. Ja w tym czasie próbowałem z całych sił wyrwać się ze snu, skupić, zrozumieć jak najwięcej i mówić z sensem.

- Halo. Tu Thea de Bur.

- Tu NNB2.

- Przepraszam Cię, że nie mogłam dzisiaj przyjechać, bo miałam dużo pracy. Jutro na pewno do Ciebie przyjadę.

- Rozumiem.

- Jak się dowiedziałam jesteś oskarżony o nielegalność tak więc wcale nie muszą Cię wypuszczać po trzech dniach lecz mogą Cię trzymać dłużej - ta informacja niemalże zwała mnie z nóg.

- I co teraz - wyjąkałem zrozpaczony.

- Nie wiem. To zależy od Ciebie. - przez moment nie słuchałem co Ona do mnie mówi. Moje myśli latały jak szalone wokół decyzji, którą właśnie podjąłem i którą jej wyjawilem:

- Ja już teraz przez moją głodówkę stanowią dla nich duży problem. Jeśli mnie nie wypuszczą, zrobię im dużo większy problem.

- Na razie nic nie rób. Poczekaj do jutra, na moja wizytę. Wspólnie zastanowimy się co najlepiej zrobić. Dobrze ?

- Dobrze.

- Skontaktował się już ze mną Zdenek. Mówi, że ma już twój paszport i jeśli tylko będziesz chciał to mi da, bym przekazała go policji.

- Nie chcę.

- Także wszyscy przyjaciele pozdrawiają Cię i tęsknią za Tobą.

- Domyślam się.

- To do zobaczenia jutro.

- Do zobaczenia. - i na tym zakończyliśmy rozmowę.

Naszły mnie czarne myśli: „Nie mogła przyjść. Akurat. Pewnie jej się nie chciało. Zapewne tak jak wszyscy urzędowi adwokaci mnie olewa. Takie życie. Mówią, iż nie wypuszczą. Mam nadzieję, że kłamią. Pewnie chcą mnie złamać.” Byłem zrozpaczony. Mimo tego, że adwokatka twierdziła inaczej, to cały czas nie dopuszczałem do siebie myśli, iż mogę tu siedzieć dłużej niż trzy dni.

Zdążyłem jej już trochę zaufać i nie myślałem, że mnie oszukuje. Jednak wciąż sądziłem, a przynajmniej chciałem by tak było, że jest ona wprowadzona w błąd. Z resztą jutro o 9 rano wszystko się rozstrzygnie. Miną wówczas trzy doby od mojego zatrzymania. Próbowałem pójść dalej spać by za dużo o tym nie myśleć. Nie udało mi się zasnąć, bo przynieśli mi kawę z jedzeniem. Gdy po raz kolejny odmówiłem żarcia, klawiszka próbowała mnie nakłonić bym jadł.

Wydawała się wkurzona i smutna z tego powodu. Pewnie było to tylko moje złudzenie, bo jak automat może coś czuć. „Ha!” - pomyślałem: „Zależy Wam bym się nie wykończył ? Lepiej mnie wypuście, bo będę stwarzał problemy.” Jeśli mnie nie wypuszczą, zasymuluję im samobójstwo.

Oczywiście nawet mi przez głowę nie przeszło, by zrobić to na prawdę. Przecież miałem rodzinę, a moją sytuację nawet w najgorszym przypadku (a więc jeśli mnie deportują) uważałem za przejściową i z czasem do naprawienia. Raz, gdy siedziałem w podobnej sytuacji w Berlinie, moje zabijanie na niby fartem wyciągnęło mnie z więzienia. Innym razem dużo namieszało i niestety pogorszyło sytuację. Jakby nie było, warto by spróbować. „Trzeba się stąd jakoś wydostać” - pomyślałem rezolutnie.

Po jakiejś pół godzinie zaprowadzono mnie na deptak. Tam, chyba Anglik, który zawsze częstował mnie papierosem, tym razem gdy gestami go poprosiłem, odmówił mi pokazując, że ma ostatniego. Pokazałem mu by dał mi „pojary”. Najchętniej to bym wypalił dwa na raz, a tu tylko pojara. Byłem smutny i gościu chyba to zauważył bo w końcu dał mi tego ostatniego. Wypaliłem. Znowu się zakotłowało. Lubię to uczucie. Przynajmniej w małym stopniu odrywało od rzeczywistości. Potem pomodliłem się a następnie zacząłem ćwiczyć. Tym razem nie zważając na zimne, betonowe podłoże, zdjąłem buty i machałem też nogami. Nie interesowało mnie to co myślą o mnie inni.

Jeden Rosjanin trochę podchwycił, bo sam zaczął robić jakieś przysiady i skłony. No i fajnie. Gdy oddawałem kurtkę po spacerze w szafce zauważyłem sok i jakieś owoce. Pewnie będą mi tu odkładać to co nie zjadłem, żebym widział co tracę i może się złamał. Gdy zaprowadzili mnie do celi, znowu zacząłem się rozciągać. Tym razem zrobiłem 1000 skłonów, czyli dwa razy więcej niż ostatnio. Oczywiście uważałem przy tym by nie przedobrzyć. Po treningu wypilem kawę, którą przynieśli mi w jego trakcie. Następnie po raz kolejny zalepiłem, na charchę, kawałkiem kubka judasza, którego znowu ktoś wyczyścił. Później pomodliłem się i położyłem się spać. Przez chwilę przeszkodziła mi w tym klawiszka, która roznosząc kanapki znowu próbowała mnie namówić bym jadł. Ciężko znieść takie namowy. Byłem już cholernie głodny i każde przynoszenie mi jedzenia było dla mnie ogromną pokusą by się złamać. Dlatego gdy mnie pytano czy jem, starałem się ich jak najszybciej spławić. Starałem się jak najmniej myśleć o jedzeniu. Jak mi się to udawało, zapominałem też o głodzie. Tej samej taktyki używałem przy tłumieniu tęsknoty za wolnością. By o niej zapomnieć starałem się jak najbardziej wypełnić swój czas. Ciągle starałem się coś robić, a gdy nic nie robiłem, starałem się zasnąć. W snach czułem się najlepiej. Można było oderwać się od rzeczywistości, zapomnieć o wszystkim i tam po drugiej stronie żyć szczęśliwym i dobrze się bawić. Zawsze gdy się budziłem, nawet po złym śnie, szkoda mi go było. Rzeczywistość zawsze była gorsza. Smutna, a do tego prawdziwa. Najgorzej było jak nie mogłem zasnąć. Tak jak teraz. Myśli kołatały mi się po głowie. Zastanawianie się nad tym „co będzie ? Jak moja rodzina sobie daje radę bez mnie? Janka pewnie płacze codziennie. Co będzie gdy nie wypuszczą mnie na gwiazdkę ?” i tak bez końca. Same negatywy. Czasami potrafiłem się nawet popłakać. W pewnym stopniu pomagało to rozładować napięcie i dać upust swoim nerwom. W końcu zasnąłem.

Rano obudził mnie klawisz z zapytaniem:

- Idziesz pod prysznic ? - przytaknąłem mu kiwnięciem.

Prysznic był sto razy lepszy niż łazienka. Przy dużym ciśnieniu spadających kroplach można było się rozluźnić. Gdy dobrze się ustawiałem strumienie wody działały niczym masaż. Cieszyłem się i jak tylko mogłem najlepiej wykorzystywałem ten krótki czas. Zdążyłem cały się wykapać, umyć zęby, a nogi nawet aż trzy razy. Odkąd trafiłem w te miejsce zaczęły mnie swędzieć nogi. Nie był to na pewno świerzbi ani też efekt brudu, czy potu. Podejrzywałem uczulenie na więzienie.

Wracając do celi udało mi się przykisić grzebień. Nie po to, bym się mógł czesać, bo robię to raczej rzadko lecz po to by go użyć jako nóż do pozornego chlastania mych żył. W tym celu musiałbym go naostrzyć w betonowych spojeniach szklanych płyt w oknie. Spróbowałem jak idzie i szło bardzo kiepsko. Niemalże gładki beton bardzo powoli ostrzył przyszły plastikowy nóż. Zrobić sobie tym krzywdę i to nawet pozorowaną będzie wymagało wielkiego zacięcia i silnej woli. Nie będzie lekko, ale cóż... Już kiedyś to przechodziłem i dałem sobie radę. Z ostrzeniem na razie dałem sobie spokój. Mam na to jeszcze czas. Dużo czasu. Tak jak na wszystko w tym miejscu. Z resztą, ciągle miałem nadzieję, iż lada moment wypuszczą mnie przed tą dziewiątą. Z tą myślą położyłem się spać. Obudzili mnie na spacer. Było już sporo po 9-tej. Minęły już 3 doby od mojego zatrzymania. Wciąż mnie nie wypuścili. Moje nadzieje okazały się złudne. Adwokatka mówiła prawdę. „Mogę tu siedzieć dużo dłużej jeśli nie zdecyduję się dać paszportu. Przerzypało. Co będzie jak mnie nie wypuszczą na gwiazdkę ? Był piątek 22 grudnia. Święta Bożego Narodzenia miały się rozpocząć w niedzielę. Co jeśli mnie na nie nie wypuszczą ? Przecież Janka specjalnie zrezygnowała ze spędzenia świąt z rodziną, by obchodzić je ze mną, bym nie musiał być sam z Neą i Papryką. Teraz miałoby się okazać, że i tak spędzimy je samotnie ?” Szlag mnie trafiał gdy o tym myślałem, a gdy byłem sam, często nawet płakałem z tego powodu. Na deptaku do słów poprzedniej modlitwy dodałem: „Boże. Przecież wiesz, że zawsze starałem się czynić dobro. Jeśli zbłądziłem, to proszę wskazać mi to. Proszę nie dla siebie lecz dla mojej rodziny, dla Janki, która specjalnie przyjechała na święta, dla mej córki, która przecież nie jest niczemu winna, spraw by te święta mogły spędzić razem ze mną...” Po spacerze i treningu z powrotem położyłem się spać. Miałem nadzieję, iż wizyta adwokatki przyniesie mi jakieś radosne wieści. Po jakimś czasie obudzili mnie na kawę. Wypilem i zacząłem dalej się rozciągać. Po ćwiczeniach położyłem się znowu spać.

W końcu długo po trzeciej, gdy już myślałem, że znowu mnie oleje, przyjechała adwokatka.

- Dzień dobry. - pozdrowiła mnie na co jej odkiwnąłem.

Klawisz zaprowadził nas do pomieszczenia na końcu korytarza, gdzie stało biurko i trzy krzesła.

Poinformował Theę, że jak coś, to niech dzwoni dzwonkiem, po czym nas zamknął.

- Zwykle któryś ze strażników musi być obecny przy wizycie ale w tej sytuacji, gdy ukrywasz swoją tożsamość poprosiłam ich by nas opóścili. Z kimś innym nie dali by Ci tak rozmawiać, jednak z adwokatką muszą.

- To dobrze.

- Chcesz zapalić ?

- Pewnie.

- Papierosy kładę na stole. Kiedy tylko chcesz to się częstuj.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Zacznę od poinformowania Cię o wszystkim, a potem wspólnie zastanowimy się co będzie dla Ciebie najlepsze. Dobrze ?

- Dobrze.

- Więc jak już pewnie zdążyłeś zauważyć, trzymają Cię już dłużej niż trzy dni.

- No niestety.

- Znaczy to, że na pewno, nie jesteś tu trzymany za przestępstwo kryminalne lecz podejrzewają Cię o nielegalny pobyt w Holandii. W tym wypadku mogą Cię trzymać miesiąc, pół roku, a nawet rok. Przez ten czas będą starali się ustalić twą tożsamość. Do dziesięciu dni mogą Cię trzymać tu, w areszcie. Potem przeniosą Cię do więzienia dla obcokrajowców. Większość uważa, że tam jest lepiej.

- Ale ja nie chcę i nie mam zamiaru siedzieć tu długo.

- Rozumiem Cię całkowicie. Zaraz się zastanowimy co robić. Najpierw poinformuję Cię o wszystkim.

- Yhmy.

- Skontaktowałam się z twoimi przyjaciółmi i rodziną. Zdenek ma już twój paszport i w każdej chwili gdy tylko wyrazisz zgodę da mi go, a ja przekażę go policji i wówczas najbliższym samolotem wrócisz do swego kraju.

- Yhmy.

- Twoja żona kazała Ci przekazać, że Cię kocha i że wszystko już u niej w porządku. Kazała też Ci przekazać wiadomość.- mówiąc to podała mi żółtą karteczkę z notesu, na której napisane było: „I love You. Janka and Nea.” Gdy to przeczytałem, mimo wstydu łzy same zaczęły cisnąć się do oczu. Wzruszyłem się bardzo. „Cholera. Ja też Was kocham, a przez tych sk...li nie możemy być razem i nie wiadomo kiedy mnie wypuszczą.” - pomyślałem po czym dla uspokojenia się odpaliłem następnego papierosa.

- Napisała tylko tyle, bo mi nic nie można przekazywać od innych osób.

- Jak one muszą cierpieć.

- Trochę na pewno, ale dają sobie radę. Nie jest to kara na długi okres i nie na zawsze. Możecie być pewni, że będzie lepiej. To tylko kwestia czasu.

- No tak.

- Z tego co wiem Grupa Wsparcia dla Aresztowanych prześle Ci, albo już to zrobiła jakąś paczkę. Nic nie dostałeś ?

- Nie wiem. Coś zauważyłem w mojej szafce. Jakieś owoce i sok. Myślałem, że są to rzeczy, które odmówiłem jeść.

- Mi się wydaje, że to ta paczka. Pewnie też dostałeś jakieś świeże ubrania itp. Po naszej rozmowie poproszę strażników byś mógł to wziąć.

- Albo zobaczyć.

- No tak. Teraz zastanówmy się co najlepiej zrobić w twojej sytuacji.

- Dobrze.

- Im więcej informacji mi podasz tym bardziej będę mogła Ci pomóc. Jednak jeśli czegoś nie chcesz mi mówić to nie musisz.

- Dobrze.

- Strażnicy cały czas pytają się mnie w jakim języku mówisz i skąd jesteś, lecz ja im twardo odpowiadam, że nic nie wiem.

- To dobrze.

- Jak chcesz możesz mi ufać. Nic im nie powiem.

- Yhmy.

- Twoja żona powiedziała, że nie masz żadnego problemu w swoim kraju i że ona uważa, iż najlepiej jakbyś już teraz dał paszport.

- A jakie są szanse, że mnie wypuszczą ?

- Teraz po tym jak zaczęli Cię podejrzewać o nielegalność raczej małe ale są.

- A czy może Pani powiedzieć, czy istnieje szansa, że wypuszczą mnie przed niedzielą ?

- Bardzo małe.

- To święta bożego narodzenia. Dla nas najważniejsze dni w roku. Janka specjalnie przyjechała tu, by spędzić te święta razem ze mną. - gdy to mówiłem, łzy same cisnęły się mi do oczu. Sięgnąłem po kolejnego szluga. Trzeciego lub nawet czwartego. Praktycznie paliłem jednego za drugim. Nerwy. Thea tłumaczyła dalej:

- Tutaj będą Cię trzymać najdłużej dziesięć dni. Później muszą Cię przewieźć do więzienia dla obcokrajowców. W tym okresie istnieje mała szansa, że w celach zabraknie miejsca i będą musieli Cię wypuścić. Teraz, w czasie przerwy świątecznej jest większa przestępczość i zdarza się, że więzienia są zapelnione. Ty nie jesteś przestępcą, więc Ciebie wypuszczą prędzej niż kryminalnych.

- A jaka jest szansa, że nie będzie miejsca w więzieniach ?

- Mała. Może dziesięć procent. W ogóle to nie rozumiem, że nie chcesz wracać do kraju skoro nie masz tam dużego problemu.

- Mam zakaz wstępu do Niemiec i jak mnie deportują to będę miał znowu problem by tu przyjechać.

- Aha. To musisz zdecydować, czy chcesz ryzykować siedzenie jeszcze tych paru dni.

- A jak Pani by zrobiła na moim miejscu?

- Jakby mi zależało na pozostaniu w Holandii, zaryzykowałabym.

- Tyle przesiedziałem to i jeszcze przesiedzę.

- Jak Cię wypuszczą to dostaniesz tak zwane „żółte papiery”. Nakazywały będą one byś po upływie dwóch dni opuścił kraj. Potem będziesz tu nielegalny ale przynajmniej będziesz wolny. Twoja sytuacja nie będzie dobra, bo będziesz musiał cały czas uważać by Cię nie zamkneli. Przy każdej najmniejszej kontroli na ulicy możesz z powrotem znaleźć się w tej samej sytuacji.

- Następnym razem będę bardziej uważał.

- To co decydujesz się, że będziesz ryzykował ?

- Tak. A jak mnie przeniosą do więzienia?

- To lepiej byś od razu do mnie zadzwonił. Miesiąc, pół roku, rok to za długo byś przeżywał rozłąkę z rodziną.

- A jeśli oddam już swój paszport to istnieje szansa, że przed sylwestrem będę już deportowany ?

- Tego nie wiem.

- Drugiego stycznia Zdenek ma urodziny, piątego moja córka i żona, natomiast ósmego ja z Janką obchodzimy naszą pierwszą rocznicę ślubu. Bardzo mi zależy, by chociaż te święta spędzić razem.

- To zależy od tego, jak często są loty do twojego kraju. Jeśli pierwszy lot będzie szybko, to już nim będziesz deportowany.

- Autobusy są często to samoloty pewnie też.

- Musisz też wziąć pod uwagę to, że w sobotę 30 grudnia do drugiego stycznia nic nie załatwisz, bo w te dni nikt nie pracuje. Po dostarczeniu paszportu muszą jeszcze sprawdzić, czy Ty to

rzeczywiście Ty i czy nie masz na terenie Holandii jakichś przewinień, czy nie jesteś poszukiwany i dopiero potem mogą Cię deportować. Na Zdenka urodziny możesz nie zdążyć ale na piątego myślę, że będziesz już wolny.

- Żeby tylko jeszcze zdążył wrócić.

- Życzę Ci żebyś był wypuszczony wcześniej tutaj w Holandii.

- Czy chciałbyś jeszcze coś wiedzieć ?

- Tak. - odrzekłem odpalając kolejnego papierosa. - Odkąd mnie tu zamknęli prowadzę głodówkę. Powiedziałem sobie, że jeśli nie wypuszczą mnie po trzech dniach zacznę im stwarzać jeszcze większe problemy. Wcześniej jednak chciałbym skonsultować to z Panią. Czy jeśli będę dla nich problemem, to czy wypuszczą mnie szybciej ?

- Nie. Wsadzą Cię do szpitala więziennego, a jak tam nie będzie miejsc to będziesz leżał pod eskortą w szpitalu miejskim. W obu przypadkach nie wypuszczą Cię stamtąd z żółtymi papierami. Jeśli będziesz robił głodówkę, problemem dla nich zaczniesz być dopiero po trzydziestu, czterdziestu dniach.

- Mogę przestać pić.

- Człowiek bez wody długo nie wytrzyma. Być może po trzech czterech dniach musieliby Cię przenieść do szpitala, a stamtąd nie dostałbyś żółtych papierów.

- Czyli jakiegokolwiek pozorowane próby samobójstwa tylko by pogorszyły sytuację ?

- Tak. Na pewno.

- I moja głodówka też nie jest bardzo potrzebna ?

- W rzeczy samej.

- To może ich Pani poprosić o wegetariańskie porcje dla mnie ?

- Jajka i nabiał jesz ?

- Tak.

- Masz prawo dostawać rodzaj jedzenia taki jaki jesz na wolności. To wszystko ?

- Teraz już tak.

- Chcesz jeszcze papierosa ?

- Dziękuję. Schowam go na potem.

- To ja już dzwonię po strażnika.

- Dobrze. Do widzenia. - powiedziałem jej teraz, bo potem bym nie mógł.

- Dowidzenia. - odpowiedziała. Po czym wyszła gdy strażnik otworzył drzwi. Ja jeszcze musiałem przez jakiś czas zostać w tej celi i poczekać dotąd aż odprawili adwokatkę. Potem przyszli po mnie i odprowadzili mnie z powrotem do mojej celi. Położyłem się i rozmyślałem o całej tej rozmowie. Pozorować samobójstwo nie było sensu. Muszę wytrzymać jeszcze w więzieniu ponad tydzień. Przerypane. Możliwe, że będę musiał tu spędzić święta Bożego Narodzenia. Co za chamstwo. Wszystko układało się najgorzej jak tylko mogło. Co za pech. „Boże jeśli możesz, proszę spraw by wypuścili mnie przed świętami. Dla mojej córki. Przecież ona nie jest niczemu winna. Dla mojej żony. Specjalnie tu przyjechała. Wszyscy nie jesteśmy niczemu winni. Rasistowskie prawo. Ja rozumiem, że niektórzy mają gorzej niż ja ale przecież wiesz, że zawsze staram się pomagać innym. Dzieci umierające z głodu w Afryce mają dużo gorzej. Też nie są winne swego cierpienia. Boże obiecuję Ci, że jak wyjdę będę starał się im pomóc. Dlatego proszę Cię bym nie tracił już tu czasu i mógł zacząć już działać.” - tak modliłem się i rozmyślałem gdy klawisz zajrzał do okienka i zapytał:

- Jesteś wegetarianinem ? - kiwnąłem potakująco.

- A będziesz jadł ? - znów kiwnąłem po czym podał mi na plastikowej tacce, zapakowane w folię, gorące jedzenie. Powoli, niemalże z namaszczeniem zabrałem się do pierwszego od paru dni posiłku. Nie wiem, czy sprawił to głód ale dawno nic nie smakowało mi aż tak bardzo. Było rewelacyjne. Ryż długi w sosie pomidorowym, a do tego mieszanka warzywna z orzechami oraz proteiną sojową, którą z pewnością uznałbym za mięso, gdyby nie naklejka ze składem przyklepiona na folii. Wszystko powoli przeżuwałem delektując się smakiem i chwilą. Przynajmniej przy

jedzeniu mogłem się zrelaksować i zapomnieć o mej nie miłej sytuacji. Zjadłem wszystko co do ostatniego ziarenka. Posiedziałem trochę, a potem poszedłem na spacer. Wieczorem gdy na kolację rozdawali bułki gestami tłumaczyłem, że chcę cztery, a nie tylko dwie. Jedząc te bułki z serem i masłem postanowiłem sobie, że za każdym razem gdy będą rozdawać kanapki, będę ich prosił o podwójną ilość. Trzeba było jakoś nadrobić te kilogramy, które straciłem podczas głodówki. Apetyt miałem spory. Nawet te bułki przeżuwałem powoli, delektując się każdym kęsem. Jedzenie było jedną z niewielu przyjemności będących w tym piekle. Pomyślałem sobie, że jeśli chodzi o pożywienie, to teraz będę robił wszystko by jak najdrożej kosztować holenderski rząd. Niech nie myślą, że na mnie oszczędzą jeśli będą mnie tu trzymać. Z tą myślą położyłem się spać po mej pierwszej od paru dni skonsumowanej kolacji.

Nazajutrz gdy się obudziłem z nudów zacząłem mazać po ścianach metalowym guzikiem od spodni. Po raz kolejny zakleiliśmy judasza i zabrałem się do dzieła. Najpierw przekreśliłem narysowaną na celofonie swastykę. Obrysowałem ją w zakaz, a pod spodem po holendersku napisałem : „Žaden człowiek nie jest nielegalny.” Potem nad moim łóżkiem wyrysowałem wielki krzyż. Tego już na pewno nie mogliby nie zauważyć, więc naprzeciw drzwi jeszcze równie wielkimi literami napisałem „Žadnych wyburzeń”, a pod spodem dodałem duży znak skłotingu. Potem na sąsiedniej ścianie „Kraken gaat door” (skłoting będzie kontynuowany) i koło klapy już mniejszymi literami by nie rzucać się w oczy z angielszczyzną: „Food not bombs. Homes not jails” (Jedzenie zamiast bomb. Domy zamiast więzień). Gdy skończyłem moje dzieło, od razu poczułem się lepiej. Moja cela od razu stała się bardziej przytulna, miłsza i zdawałoby się nawet, że bardziej punkowa. Zaraz potem położyłem się spać, by beszczelnie udawać niewiniątka. Nie zdążyłem zasnąć gdy usłyszałem, że ktoś otwiera okienko. Po chwili do celi wpada baba i z hukami na mnie krzyczy. Każe mi to wszystko ścierać, bo jak nie to coś tam. Popatrzyłem na nią, wysłuchałem, a jak wyszła olałem i położyłem się z powrotem spać. „Ciekawe co miała oznaczać ta groźba, te „coś tam”, którego nie rozumiałem ?” - zastanawiałem się. Nawet jak bym chciał, a wogóle o tym nie myślałem, to i tak nie byłbym w stanie wyczyścić moich graffiti. Przed malowaniem dokładnie sprawdziłem jak i czym malować najlepiej. Metalowy guzik nadawał się do tego najbardziej. Nie starałbym się aż tak bardzo, a może nawet w ogóle bym nie malował gdybym wiedział, że można to zmyć bez problemu. Teraz to jedynie mogli to zamalować. Nie wiem też, czy byliby w stanie zmusić mnie do tego bym zmazał krzyż. Może męczennikiem bym zrobić się nie dał ale krzyża też bym nie zmazał. Tak rozmyślałem gdy po pięciu minutach klawiszka otworzyła okienko by mnie skontrolować i rozczarować się tym, iż nic nie robię. Tym razem nic nie powiedziała. Miałem nadzieję, że dali sobie spokój. Coś tam przebąkiwali gdy podawali mi jedzenie ale już nie unosili się i nie krzyczeli. Dali mi nawet wyjść na spacer. Tam gdy ćwiczyłem, jeden Arab, ten wysoki powalczył ze mną na niby. Raz nawet niechcący mnie kopnął. Bardziej się tym przejął niż ja. Zaczął przeproszać jakby na prawdę coś się stało. Trening to trening. Czasami się zdarza. Może to dlatego, że czuł do mnie szacunek ? Hahaha ! Teraz to pie...ę jakieś głupoty. Gościu po prostu był uprzejmy. Gdy się zmęczył przerwaliśmy. Jego kolega, inny Arab dawał mu gratulacje i pytał się:

- Gdzie się tak dobrze nauczyłeś?
- Kiedyś trochę ćwiczyłem.
- Powalczymy na niby ?
- Nie. Zmęczyłem się.
- A ty ? - z kolei zapytał się mnie.
- Pewnie.

Ten w przeciwieństwie do pierwszego trochę mniej potrafił jednak to bardzo sympatyczne, że choć na trochę zaraziłem ich sportem. Mimo sytuacji potrafiliśmy się bawić i to było najważniejsze, że byliśmy normalnymi ludźmi, w większości nie przestępcami. Całą naszą „winą” było to, że nie byliśmy obywatelami Europy. Chory, unijny rasizm. Szkoda, że chłopaki mieli taki słaby zapal do ćwiczeń. Ten wysoki jeszcze od czasu do czasu coś tam ćwiczył ale już sam. Syryjczyk zaś chodził w swym zwyczaju w naspidowanym tępie. Pod koniec klawisze wywołali mnie pierwszego,

samego, a nie tak jak zwykle po dwóch. Domyślałem się już o co chodzi. Gdy tylko wyszedłem, kazali mi stanąć pod ścianą i po raz kolejny, już nawet nie wiem który dokładnie mnie zrewidowali. Szukali długopisu, którym ich zdaniem miałem zrobić graffiti w celi. Nawet im przez myśl nie przeszło, że mógłbym to zrobić guzikiem od spodni. Zdziwili się bardzo, iż nic nie znaleźli mimo szukania nawet w butach i skarpetach. Chyba wytłumaczyli to sobie jakoś, bo w końcu zaprowadzili mnie z powrotem do celi. Zostałem ją całą przekipiszowaną. Musieli zajrzeć w każdy kąt, bo poszły się walić wszystkie moje nielegalne i legalne „zdobycze”. Straciłem szczoteczkę i pastę do zębów, mydło, grzebień, cały zbiór kubeczków oraz sztucznego dreda, którego skręciłem z włosków koca. Posprząтали nawet moje śmieci. Mimo strat cieszyłem się z wygranej. Byłem dumny, że zrobiłem ich „w konia” i mimo ich starań dalej miałem swój sekretny „pisak”. Oni chyba byli wściekli. Próbowali mnie czymś zastraszyć. Jeden z klawiszy, „Długi Pol”, ten w okularach otworzył raz okienko i zapytał:

- Kawę czy herbatę ?

Jak zwykle wskazałem na kawę.

- Nie rozumiem musisz powiedzieć. To czy to ?

Wyraźnie wskazałem na kawę, a on dalej swoje:

- Nic nie rozumiem.

Po czym zamknął okienko. Ciule odgrywali się i chcieli mnie złamać. Następna próba nastąpiła gdy przyszła strażniczka i się zapytała:

- Chcesz iść na świeże powietrze ?

Potakując kiwnąłem głową.

- To masz dziesięć minut na umycie ścian. Dopóki tego nie zrobisz nie będziesz wychodził na spacer.

Parę łez poleciało z powodu odebrania mi tej jednej z niewielu przyjemności, które miałem w tym miejscu. Jednak niczego nie żałowałem i nawet nie myślałem czegokolwiek zmywać. „Jakoś przetrwam” pomyślałem i położyłem się spać. Przebudzili mnie na kanapki i klawiszka dała mi nawet dwie, a nie jedną. Gdy zjadłem, pomodliłem się i położyłem się dalej spać. Nazajutrz normalnie wypuścili mnie na spacer. Powoli im przeszło. Tylko od czasu do czasu coś tam jeszcze pie...li na ten temat. Jednak represje z tego powodu już się zakończyły.

Wigilia to bardzo smutne święto w tym miejscu. Całe życie, corocznie spędzałem te dni z całą swoją rodziną u babci i zawsze miłe wspominam ten czas. Teraz ze względu na zakaz w Niemczech musiałem zostać w Amsterdamie sam z Neą i Papryką. Ewentualnie mogłem sobie pójść do przyjaciół. Dorota gdy się dowiedziała, że prawie sam będę spędzał czas świąt w Holandii, powiedziała iż postara się przyjechać z Polski jednak nie udało się jej wszystkiego załatwić. Janka w końcu też się zdecydowała i oznajmiła rodzicom, że woli spędzić święta ze mną oraz z Neą. Specjalnie dla nas przyjechała przed świętami. Bardzo się cieszyłem z tej jej decyzji. Po raz pierwszy mieliśmy spędzić święta bez rodziny ale za to też po raz pierwszy we trójkę, w tej najbliższej teraz dla nas rodzinie. Już mieliśmy sobie kupować prezenty. Razem z Janką zastanawialiśmy się co sprawić dla Ney. Ja myślałem o rowerku, żona o czymś innym. Zastanawialiśmy się nad kupnem ekologicznej choinki w doniczce, jednak jak zobaczyłem jak je robią zacząłem się zastanawiać w jakim stopniu są one ekologiczne. Skoro mają przycięty korzeń tak by zmieściły się do doniczki, to zastanowiłem się, czy po takim okaleczeniu mają szansę przeżyć. Miałem się dokładnie dowiedzieć od sprzedawców jak to dokładnie jest z tymi choinkami. Jeśli by zagwarantowali, że się przyjmą to na pewno bym kupił. Jeśli jednak nie to przeszedłbym się po wystawkach i na pewno w tym okresie bym znalazł sztuczną i recyklowaną, a więc też ekologiczną. Mieliśmy sobie po raz pierwszy spróbować „sojowego kurczaka”. Dwa wina wytrawne już czekały na tę okazję. Mieliśmy wspaniałe plany by spędzić te święta jaknajlepiej, a tu takie nieszczęście. Popłakałem sobie trochę z tego powodu. Święta w takich miejscach to najsmutniejsze dni. Nawet lody które z tego powodu dostaliśmy na deser nie były w stanie poprawić mego humoru. W poniedziałek starałem się zapomnieć o świętach. Przy rozciąganiu

przedobrzyłem i nadwyrężyłem stawy w kroku. Przez to na jakiś czas musiałem przestać w ogóle kopać, bo czasem mnie to bardzo bolało. Na spacerniaku ćwiczyłem więc tylko ciosy z pięści, a czasami z główki. Ogólnie dni coraz bardziej stawały się do siebie podobne. Coraz bardziej takie same. Co raz zaklejałem judasza, a klawisze co raz go czyścili za każdym razem opieprzając mnie coraz gorzej. Zbierałem kubki sam nie wiedząc po co. Co drugi dzień brałem przysługujący mi prysznic, a myłem się u siebie w celi, bo po tym jak udało mi się przykisić pastę i mydło, wołałem sobie dłużej pospać. Nie rozpakowywałem nowej szczoteczki, bo już wiedziałem, że jest chińska. Wołałem myć palcem niż dawać zarabiać na obozach pracy „Lao Gaj”. Któregoś dnia przez celofon włączyli radio. Na początku bardzo się cieszyłem, jednak pod wieczór gdy już chciałem iść spać, a strażnicy nie chcieli go wyłączyć mój zachwyt prysł niczym bańka mydlana. Kilka razy dzwoniłem celofonem i próbowałem dać im do zrozumienia, że już mam dosyć radia. W sumie to nie odzywając się jedynym sposobem na danie im jakiegoś znaku było robienie „głuchych telefonów.” Zrobiłem ich kilka, dotąd aż nie zdenerwowałem jednego z nich, który w końcu przyszedł wkurzony, że musi wstać i zapytał:

- Czego ? - ja dwojąc się i trojąc gestami dałem mu do zrozumienia, że radio przeszkadza mi spać.

- Radio wyłączamy o określonej porze. Nie teraz. - uzyskałem odmowną odpowiedź. Chyba nauczyłem się wcześniej zasypiać bo następnego dnia miałem podobny problem tylko tym razem ze światłem. Znowu strażnik mi odpowiedział:

- Światło gasimy dopiero o dziesiątej. - ja nawet nie wiedziałem ile mam jeszcze czekać bo było już ciemno i nie widać było już zegara na dworze, z którego czasami korzystałem. Wkurzyłem się. Nawet spać normalnie nie było mi można. Tym razem jednak mogłem coś zaradzić. Zdjąłem poszewkę z „kamiennej” poduszki i przy pomocy zaoszczędzonych naklejek z jedzenia zasłoniłem nią lampę. Po raz kolejny przydało się moje zbieractwo i nie wyrzucanie rzeczy. W więzieniu trzeba szanować wszystko co może się przydać bo nie ma się za wiele, a różnie to bywa. Co prawda lampa dalej przebijała przez płótno jednak światło nie było już tak ostre i dało się spać. Już prawie zasnąłem gdy do celi wpadł Rudy wymachując pałą krzyknął:

- Zciągaj to! - gdy to uczyniłem, dodał już spokojniej:

- Nie można tego robić. - po czym wyszedł, a ja na szczęście ugryzłem się w język, bo już miałem mu powiedzieć moje zdanie na ten temat. Przecież to hitlerowski rasizm. Nie dawanie ludziom spać kojarzyło mi się z obozami koncentracyjnymi albo z jakimiś laboratoriami wiwisekcyjnymi dla zwierząt. Nawet tego mi nie było można. „Boże. Za co ?” - pomyślałem i znowu się rozplakałem. W końcu wpadłem na pomysł i mimo wszystko udało mi się postawić na swoim. Zaciągnąłem kaptur od bluzy tak, iż zasłaniał mi oczy przy czym nos pozostawał odkryty dzięki czemu wciąż mogłem swobodnie oddychać. „Nie złamiecie mnie tak łatwo.” - pomyślałem i szczęśliwszy położyłem się spać. Następnego dnia na spacerniaku Chińczyk z Syryjczykiem wymyślili granie w piłkę kubkami. Syryjczyk tak jak w przypadku „bicia się”, szybko zrezygnował. Za to ja podchwyciłem pomysł i kontynuowałem grę z Chińczykiem. Wydawało mi się, że mój rywal jest gorszy ode mnie mimo, iż nie jestem dobrym piłkarzem. Zakończyliśmy remisem 1: 1 gdy Chińczyk nie wytrzymał kondycyjnie. Ja też bardzo się zmęczyłem jednak to co się wysmialiśmy i wybawiliśmy to nasze. Choć na chwilę mogliśmy zapomnieć o naszej kiepskiej sytuacji. Naprawdę dobrze się bawiliśmy. Potem jeszcze kilka razy graliśmy razem jednak po paru razach Chińczyk mi wytłumaczył, że źle znosi wysiłek.

We wtorek klawisz przyniósł mi komórkę i powiedział, że dzwoni moja adwokatka. Wziąłem telefon i gdy wyszedł zacząłem rozmawiać.

- Cześć Thea.

- Cześć. Rozmawiałam z policjantami powiedzieli, że w czwartek przewiozą Cię do więzienia.

- Jest to pewne ?

- Nie wiem. Mogą tak mówić by Cię przestraszyć. Trudno wyczuć.

- To co myślisz robić ?

- Nie wiem. To zależy od Ciebie. Możesz go oddać dopiero gdy Cię przewiozą do więzienia.
- Jak tylko się dowiem, że Cię przewieźli zadzwonię do Zdenka i poproszę by przywiózł paszport. Dobrze ?
- Dobrze. Ja będę próbował do Ciebie zadzwonić gdy się tylko dowiem, że jestem w więzieniu.
- Dobra. To wszystko ?
- Wszystko.
- To cześć.
- Cześć.

„Kurczę.”- pomyślałem - „Siedzę już tu tyle dni, że może w końcu Bóg zlituje się nade mną i w końcu mnie wypuszcza.” Siedziałem już tu tyle czasu to stwierdziłem, iż wytrzymam te dwa, trzy dni dłużej. Im więcej tu przebywałem tym dni bardziej stawały się takie same. Próbowałem sobie urozmaicić ten okres na różne sposoby. Na przykład wymyśliłem grę w kubki. Polegała ona na tym, iż wszystkie zebrane kubki rozstawiałem po celi, a potem próbowałem je poprzewracać kapslem zrobionym z denka. Grałem na zmianę z samym sobą. Raz ja, a po mnie ja. Radosne było to, że jakby nie było, zawsze wygrywałem jednak smutne było to, iż zawsze też przegrywałem. Innym razem z nudów podarłem swój „termos”, czyli zamykany karton po soku i potem układałem z niego puzzle. Gdy to już mi się znudziło podarłem tłumaczenia papieru, który dostałem na początku i w ten sposób układając ćwiczyłem sobie sześć języków naraz. Co do języków to ćwiczyłem je też czytając wszystko co miałem do przeczytania, a najczęściej pocztówkę od Arrestande Support Group, która bardzo podtrzymywała mnie na duchu. Trochę z nudów, a trochę też z potrzeby i natchnienia wymyśliłem dwa nowe teksty do kapeli „Zbuntowani”. Jako, iż nie mogłem ich zapisywać musiałem je zapamiętać. O to one:

Żaden człowiek nie jest nielegalny
Jestem tutaj nielegalnym,
Bo się tu nie urodziłem.
Jestem tutaj już przestępcą
Choć nic jeszcze nie zrobiłem.

Moja praca też przestępstwo,
A i płaca dużo niższa
Od leniwych i mniej twórczych
Ale tutaj urodzonych.
Wobec Boga wszyscy równi
Więc to jest szatańskie prawo,
Które my musimy zniszczyć,
Które musi przestać istnieć.

Już nie będzie nielegalnych.
Każdy inny, wszyscy równi.
Eksmisja
Ja jestem gliniarzem z ME.
Dziś nadeszła wasza kolej.
To nic, że jeszcze nic nie wiecie.
To co, że sobie jeszcze śpicie.

Mamy pały, mamy tarcze,
Mamy gaz i mamy maski,
Sprzęt lepszy niż włamywacze.
Działamy jawnie, a nie skrycie.

Refren:

To Holandia, to Holandia
Słynąca z tolerancji
To Holandia, to Holandia
Zjednoczona Europa
To Holandia, to Holandia
Faszystowska Europa
To Holandia, to Holandia
Rasistowska granica

Najpierw drzwi wam wyważymy.
Jak się nie da użyjemy piły,
A gdy fleksa nie pomoże
Ekipę do kontenera,
Który nas na dach zaniesie.
Są tam słabsze barykady,
Którym łatwiej damy radę.
Refren

Potem wszystkich wyrzucimy.
Może zaaresztujemy.
Nielegalnych imigrantów
Do domu deportujemy.
Że są dzieci oraz matki
to mnie głównie to obchodzi.
Gdy trzeba zamknijemy ojca,
By nam już nigdy nie wadził.
Refren

Znowu akcja się udała.
Można robić interesy.
Efekt naszej pracy widać.
Około dwustu bezdomnych.
To nic, że znów puste domy.
Jak nie mają z czego płacić,
Niech mieszkają na ulicy.
Niech zdychają na ulicy.
Refren

Poza tym coraz, na różne sposoby, na nowo zatykałem judasza, a oni go czyścili coraz bardziej się denerwując. Grozili mi przy tym:

- Jak jeszcze raz zalepisz to zobaczysz! - nigdy się nie dowiedziałem co miałem zobaczyć, bo ich cierpliwość okazała się większa.

Ogólnie nudziłem się potwornie. Robiłem wszystko by tego uniknąć. Spałem jaknajczęściej i jaknajdłużej. Wymyślałem jaknajwięcej zajęć, a gdy tego już zabrakło rozmyślałem. Cokolwiek bym nie robił czas niemiłosiernie dłużył mi się w nieskończoność. Najchętniej wcisnąłbym ten okres na przewijanie. Im szybciej tym lepiej. Szkoda, że tak się nie dało. Najgorsze było rozmyślanie. Jak myśli tak sobie błędziły to często zajrzały tam, gdzie i łza w oku się zakręciła. Gdy dopadły mnie doły było najsmutniej i najtrudniej.

„Co za debil i rasista wymyślił, iż człowiek może być nielegalny ze względu na swoją narodowość? Co za chore rasistowskie prawo. W ogóle jaki jest sens zamykania przestępców z

innymi przestępcami. Dzięki temu mają się stać niby lepsi ? Przecież nawet według starego przysłowia „i szpak zaczyna krakać wśród wron”. Moim zdaniem o wiele lepiej zamiast utrzymywać ich na koszt podatników byłoby nauczanie ich robienia czegoś dobrego dla innych oraz życia bez przestępstw. Tylu organizacjom charytatywnym, ekologicznym, socjalnym itp. przydałyby się jakieś ręce do pracy. Zamiast utrzymywać go wspólnymi pieniędzmi gdzieś, gdzie się nudzi niech pomaga tym organizacjom, a dzięki temu skorzystają wszyscy. My, bo nie będziemy musieli płacić na kogoś, kto może nas wcześniej okraść. Przestępca, bo zamiast bez sensu zanudzać się w więzieniu będzie miał okazję uczciwie żyć i czynić dobrze. Organizacja ponieważ zyska kogoś do pomocy. To zarys mojego projektu na karanie i resocjalizację.” Nie czas i miejsce tu na dłuższe rozwodzenie się na ten temat.

W czwartek po południu kazali mi poodnosić prześcieradła do prania. Oddali w worku klawiszowi moje rzeczy. Po raz kilkunasty przeszukali. Wsadzili do celowozu, po czym opóściłem areszt. Najpierw jak się zorientowałem po paru szczegółach, jechałem tą samą drogą co mnie tu przywieźli. W Amsterdamie zawieźli mnie na ten sam posterunek, na którym odebrali mi komórkę. Kazali mi sprawdzić, czy wszystko mam, po czym znowu miałem pokwitować. W rzeczywistości nic nie dostałem, bo wszystko zabrali bastardi, którzy mnie transportowali. Potem zamknęli mnie znowu w celi w samochodzie i ruszyliśmy w daleką drogę, która w ogóle nie była mi znana. To sku...wo, doprowadzać człowieka do takiego stanu, że marzy mu się wypadek, z którego wyszedł bym cało. Najważniejsze to, iż **był wyszedł**. Przewieźli mnie do więzienia dla obcokrajowców „Terrappeal” w prowincji Groningen. Wtedy zdałem sobie sprawę, że mogą mnie tu trzymać nawet i pół roku. Co z tego, że w celi miałem telewizor, na zewnątrz było boisko i stół do ping ponga, a spacerki były dużo częściej.

Jak usłyszałem od jednego Rosjanina, iż jest już tu pół roku, bo nie chce ujawnić swych danych przypominała mi się historia Wacka, którego w tym samym więzieniu trzymali trzy miesiące. Widząc te perspektywy zadzwoniłem do adwokatki i poprosiłem ją by przekazała im mój paszport. By przyspieszyć proces także podałem swe dane klawiszom. Niestety. Zaczął się noworoczny długi fikend i cała biurokracja miała wolne do drugiego stycznia.

Nowy rok tak jak inni więźniowie spędziłem na oglądaniu fajerwerków w telewizji i kopaniu w drzwi gdy wybiła dwunasta. Były to najsmutniejsze i najnudniejsze święta w moim życiu. Do Polski deportowali mnie dopiero ósmego stycznia. Od Arestande Support Group dostałem sto guldenów bym miał za co dojechać z lotniska. Zajęło mi prawie pół roku załatwienie cofnięcia zakazu wjazdu do Niemiec, który niegdyś dostałem za pracę na czarno. Kosztowało to długą niesprawiedliwą rozłąkę z moją rodziną.

ZJEDNOCZONA EUROPA – FASZYSTOWSKA GRANICA

To musiało się zdarzyć. Pieprzony pech. Może dlatego, że 13 (ha! ha!). Już wracaliśmy na skłot, tak by Janka mogła wyjść na czas do pracy. Zdaje się, że jak zwykle ostatnio nie poszło nam najlepiej. Jacek chyba gorzej się nadaje do sępienia niż ja. Z tym po prostu trzeba się urodzić. Tym razem, chyba na szczęście, nie zaczął się nawet pytać, bo na stacji do przedziału weszło dwóch gliniarzy i jedna gliniarka. Gdy ich zobaczyłem gitara wydała bezwładne kończące dźwięki, bo ręce mi opadły. Od razu skierowali się do nas.

– Weź Paprykę na smycz. – po cichu, szybko powiedziałem do Jacka lecz tylko zdążyłem wymówić te słowa, a już byli koło nas. Stanęli koło nas, tak byśmy nie mogli uciekać. Jeden z nich, nazwijmy go Wąsacz, oznajmił nam po holendersku, że nie można grać w metrze. Drugi, nazwijmy go Staruchem, też z przejęciem zaczął nam coś gadać w tym języku. Jednak Wąsacz po naszym głupim wzroku, chyba się skapował, że niewiele rozumiemy, bo w końcu zapytał:

– Czy mówicie po holendersku?

– Nie.

– Po angielsku?

– Tak.

– Skąd jesteście?

– Z Polski. – może to źle, że odpowiedziałem zgodnie z prawdą lecz nie przyszło mi do głowy kłamać w tym momencie. Po tych słowach poczułem jakby już zapadł na nas wyrok i być może taka była prawda, bo Staruch tylko to usłyszawszy poleciał do drzwi i niczym konduktor dał znać maszyniście żeby ruszał. Pierwszy raz spotkałem się z takim zachowaniem więc całkiem możliwe, że trafiliśmy na tego maszynistę, który nas tak bardzo nienawidzi i cham nasłał na nas gliniarzy. Nie wiem tego na pewno, pewnie nigdy się nie dowiem jak było naprawdę.

Tymczasem Wąsacz pytał nas dalej:

– Macie bilety? – Jacek swój podał, a ja jak na złość nie mogłem znaleźć swojego w tym kieszeniowym bałaganie. Podczas gdy gorączkowo przeszukiwałem kieszeń po kieszeni gliniarka (którą nazwijmy Małpą, bo nic lepszego pasować nie będzie) dopatrzyła się:

– Ten bilet jest stary.

– Jak to stary? – udałem zdziwionego.

– Na tym bilecie można jeździć tylko godzinę.

– My tego nie wiedzieliśmy. Przepraszamy. – cały czas próbowałem załagodzić sytuację lecz cały czas nadaremnie, bo bastardi owi byli całkowicie bezduszni. Wszystko od początku do końca wykonywali jak automaty, jakby ich zaprogramowano, co zresztą może mało miało się z prawdą.

– Nie ma „przepraszam”. – odparł Staruch – gracie i sępicie w metrze, psa macie nie na smyczy, a do tego nie macie biletów. Wsiadamy! – oznajmił. Jakaś starsza pani próbowała nas bronić:

– Przecież oni nic takiego złego nie zrobili. Byście lepiej poszukali prawdziwych przestępców.

– Zapłacą karę i będą wolni – odpowiedział jej Staruch, po czym wyprowadzili nas na prawie pusty peron „Overamstel”. Jednak nie od kary zaczęli lecz...

– Pokażcie paszporty – zażądali.

– Nie mamy – odpowiedzieliśmy. Ja jeszcze dla pewności zapytałem Jacka po polsku.

– Nie masz paszportu?

– Nie mam. – odpowiedział.

– Jak to nie macie? – zapytali oburzeni.

– A gdzie są?

– Zostawiliśmy w domu.

– Jak to? Nie wiecie, że trzeba nosić paszporty przy sobie? Dlaczego ich nie macie? – pytali jeden przez drugą.

– Boimy się, że je zgubimy więc nie wozimy ich ze sobą.

– A macie w ogóle 29 euro? – zapytał Wąsacz, a ja po polsku zapytałem Jacka:

– Jacek, jak myślisz, mamy 29 euro?

– Gdzie tam. Jak 15 będzie to dobrze.

– Ja mam może 7, czyli nie mamy. – zaś bastardom oznajmiłem po angielsku:

– Mamy ponad 20. – ci jakby tylko na to czekali.

– W takim razie ja aresztuję Ciebie. – powiedział Wąsacz do Jacka, po czym wyciągnęli kajdanki, by nas w je zakuć.

– Są niepotrzebne. – nie jesteśmy przestępcami, przecież wam nie uciekniemy – próbowałem tłumaczyć, na co usłyszałem tylko:

– Dawaj ręce! Nie gadaj! – Małpa wzięła ode mnie gitarę i kazała mi zapiąć Paprykę na smycz, czego z tego wszystkiego zapomnieliśmy i jeszcze nie zdążyliśmy tego zrobić.

Po jakiejś pół godzinie Brodac zwołał mnie do swojego biura. Było tam dużo komputerów i przy niektórych ktoś działał. Przy Brodacza komputerze siedziała uszminkowana blondynka po trzydziestce, która przedstawiła mi się po polsku.

- Jestem tłumaczem przysięgłym. Ten pan mnie tu wezwał ponieważ stwierdził, że pański angielski nie jest wystarczająco dobry.

- Zgadza się. - potwierdziłem.

- Więc teraz ten pan będzie zadawał pytania, a ja będę je tłumaczyła panu, po czym będę tłumaczyła pana odpowiedzi na holenderski - i tak to mniej więcej wyglądało. Brodacz pytał najpierw o moje dane, bo pewnie chciał sprawdzić, czy dobrze się ich nauczyłem na pamięć (hahaha!). Wszystkie moje odpowiedzi wpisywał na komputer. Potem zapytał się ile tutaj jestem i gdzie mieszkam.

- Ostatnio na Nassau kade ale numeru nie pamiętam. - trochę skłamałem

- Czy jest pan tu gdzieś zarejestrowany ?

- Nie.

- Z czego się pan tu utrzymuje ?

- Mam pieniądze.

- Skąd ?

- Przywiozłem z sobą.

- Ale skądś pan je musi mieć.

- Gram na gitarze.

- Czyli pan żebrze.

- Nie żebrzę. Gram na gitarze. - klóciłem się urażony. Wkurzają mnie ludzie , którzy moje muzykowanie na ulicy nazywają żebraniem. Gdy grałem na Chmielnej w Warszawie obok koszyczka na pieniądze miałem napisaną tabliczkę: „Nie żebrzę lecz gram dla Waszej przyjemności. Za Waszą zapłatę serdecznie dziękuję.” Potem na gitarze jeszcze sobie dopisałem: „Nie chcę pieniędzy rzucanych z litości”. Ludzi, którzy tego nie rozumieją uważam za idiotów. To tak jakby nazwać kolędników żebrakami. Jak dla mnie to jakiś absurd. Jeśli coś z siebie dają, wkładając w to jakiś swój wysiłek, swój czas i swoją duszę, to może Ci się nie podobać to co robią (wykonanie itp.). Nie musisz im płacić, ale nigdy nie możesz ich, czy mnie nazywać żebrakiem. Osobiście wstydziłbym się żebrać, co do grania na ulicy jestem z tego dumny. Nieraz nagrywała mnie jakaś telewizja (niestety nie miałem okazji się w niej zobaczyć.)

Raz nawet ukazał się o mnie artykuł ze zdjęciem w „Machinie” jako o grajku ulicznym. Nie sprzedawałem tego za pieniądze. Ukazałem się w mediach, bo jestem dumny z tego co robię. „ Gram, a nie żebrzę ” (W ogóle na ten temat chętnie się jeszcze porozpisuję, ale to już w innym rozdziale).

Zdaje się , że ta baba w ten sposób przetłumaczyła me słowa:

- On to nazywa graniem. - ta suka nie spojrzała się na mnie przez całą rozmowę, tak jakby uważała się za istotę wyższą, nadczłowieka, czy ch... wie kogo. Później razem z Jackiem zastanawiałem się, czy ta chamka jest Polką, czy Holenderką. Jacek nawet na koniec swej rozmowy miał się zapytać o to i też nawrzucać jej trochę jakby okazała się Polką ale by nie pogorszyć sytuacji chyba w porę ugryzł się w język.

- Który raz jest pan w Holandii ? - pytała dalej

- Trzeci.

- Jak długo pan tu teraz przebywa ?

- Około 2 miesiące - i tu z perspektywy moich późniejszych przemyśleń powinienem najlepiej odpowiedzieć, że „wczoraj przyjechałem z Berlina i jutro tam wracam.” Wówczas według nieznanego mi wtedy prawa nie musiałbym mieć zameldowania, które okazało się... ale o tym później.

- W jakim celu pan tu teraz przebywa ? - Suka pytała dalej.

- Przyjechałem z wizytą do przyjaciół.

- Nie w celach zarobkowych ?

- Nie.

- Czy żąda pan adwokata ?

- Po co ?

- Żeby pana bronił.

- Ale ja nic nie zrobiłem oprócz tego, że nie kupiłem biletu w metrze, bo nie wiedziałem, że ten stary jest ważny tylko godzinę.

- Ten pan mówi, że będziecie musieli tu zostać dotąd aż nie sprawdzą wszystkiego : Czy nie jesteście poszukiwani i czy jesteście tu legalnie i jeśli wszystko będzie w porządku to Was wypuszczą. Wierze pan tego adwokata ?

- Tak.

- Ten pan właśnie jej zostawia wiadomość i ona jak najszybciej się z Wami skontaktuje.

- Yhmyy.

- Czy masz coś do dodania ?

- Raczej nie.

- Żadnych pytań ?

- Interesuje mnie to, że nie padło tutaj żadne pytanie o to co zrobiliśmy, ale cały czas bada się to, czy jesteśmy tu legalnie, czy nie legalnie. Wnioskuje z tego, iż jedynym przestępstwem jakie popełniliśmy, jest to że nie urodziliśmy się w Unii Europejskiej.

- Jeśliby Belg zostałby złapany w metrze bez biletu i nie miałby przy sobie paszportu zostałby potraktowany tak samo.

- Haha! - roześmiałem się drwiąco - akurat ! Czy pan uważa, że ja jestem ślepy, czy głupi. Nie wierzę w to, bo widzę jak jest. Czy wszyscy z unii mogą być zamknięci nawet za jazdę bez biletu, mimo tego , że są gotowi zapłacić za to obowiązującą karę ?

- Tutaj możecie zobaczyć , że jesteście traktowani jak inni aresztowani.

- To wszyscy oni są zamknięci za podobne „przestępstwa” ? Wszyscy nie mogą palić ?

- Zaraz będziecie mogli zapalić. Jak ktoś przyjeżdża do obcego kraju jako turysta to powinien się zachowywać jak turysta.

- No i tych z Polski trzeba zamknąć by sprawdzić, czy są legalni, a tych z unii nie. Ci z po za Unii są gorsi. Podobne podziały tworzył Adolf Hitler.- i na to już nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, a że byłem ciekawy zażądałem :

- Czy mogę znać odpowiedź ?

- Jeśli się panu nie podoba w Holandii, to po co tu przyjeżdżasz ?

- O to chodzi, że mi się tu podoba, lecz te faszystowskie prawo nie pasuje do tego tolerancyjnego ludu.

- Czy masz jeszcze jakieś pytania ?

- Nie rozumiem też tego, że jak mi wiadomo bardzo dużo pieniędzy wydajecie by nas tu trzymać, dużo pieniędzy by nas deportować do Polski. Dla mnie to nie sprawia różnicy, czy mnie deportujecie, bo i tak chciałem wracać na święta. Może to i nawet lepiej, bo nie będę musiał kupować biletu - kitowałem trochę. - nie rozumiem jednak po co Wam wydawać tyle pieniędzy. To przecież złe dla waszego kraju tak marnotrawić pieniądze podatników.

- Zapytasz o to swoją adwokatkę jak będziesz z nią rozmawiał.

- Nie mam więcej pytań.

- Ten pan jeszcze mówi, że jest pan już znany w holenderskiej policji dla obcokrajowców, ale nie wiedzą jeszcze dlaczego ?

„Za przestępstwo jak to, że nie urodziłem się w Unii” - pomyślałem.

- Czy może pan zawołać kolegę jak pan będzie odprowadzany do celi ?

- Tak. - odparłem, po czym odprowadzono mnie z powrotem do celi.

- Jacek, teraz Ty idziesz się spowiadać.

- Ja ? Samemu ? Jak ? Przecież ja ich nie rozumiem.

- Tłumaczkę nam przywieźli.

- Aaa... To co innego.

- Aha ani słowa o zbieraniu.

- Jakim zbieraniu ? - zapytał się mnie sprytnie Jacek po czym poszedł na 15-20 minut do pomieszczenia biurowego. Gdy wrócił Brodacz w końcu dał nam zapalić po dwa papierosy. Pewnie

tylko dlatego by pokazać tłumaczce, że jesteśmy „równo traktowani”. Oprócz ognia dostaliśmy plastikowy jednorazowy kubek, który wszędzie tu służył jako popielniczka.

- No. Nareszcie możemy zapalić. - radośnie powiedział Jacek.

- Od razu lepiej.

- Człowiek se zapali, to i nerwy przejdą.

- Bez szluga to już mnie k...ca strzelała. - potwierdziłem

- Nie dosyć, że człowiek wku..ony, że go zamykają za głupi bilet, to jeszcze nie dają mu zapalić by się uspokoił.

- No. A dodatkowo musi się jeszcze bardziej wkurzać, że mu zapalić nie dają. Teraz od razu lepiej.

- A pewno, że lepiej - tak chwaliliśmy na zmianę zalety jakie palaczowi daje trująca nikotyna w chwilach zdenerwowania. Potem gadaliśmy jaka to suka i chamka z tej tłumaczki i ani się nie obejrzelśmy i znów zostaliśmy bez szługów. Na jakiś czas jednak zaspokoiliśmy nasz narkomański głód nikotynowy. Niedługo po tym jak skończyliśmy palić przyszedł Brodacz i przyniósł nam napisany po angielsku protokół zatrzymania w areszcie.

- Chyba przetrzymają nas przez noc. - zaprorokowałem smutno

- Za bilety ?! - zapytał z niedowierzaniem Jacek.

- Chyba, że nas tylko tak straszą.

- Cholera ich tam wie. - nie mogliśmy obaj uwierzyć w to, że zamykają ludzi za jazdę bez biletu.

Co za europejski rasizm. Już wówczas był to dla nas szok nie do przyjęcia. Dodać do tego wszystko co nas spotkało potem za jazdę na gapę to można by to zapisać jako jeden z większych absurdów niesprawiedliwości. Jednak to tylko niestety kolejny POWSZECHNY PAŃSTWOWY RASIZM EUROPEJSKI.

Wystarczy wyobrazić sobie wysłańca z wioski trzeciego świata, który wysiłkiem swoim i wszystkich mieszkańców został wysłany do świata bogatych, by stamtąd pomógł biednej wiosce. Wyobraźmy sobie tego człowieka deportowanego za jazdę bez biletu. On wraca do umierającej z głodu wioski, pozbawiając ją ostatniej nadziei, którą w nim pokładali. Nie mają szans na ponowne zgromadzenie pieniędzy, by po raz kolejny spróbować kogoś wysłać. Jedyne światelko nadziei tych ludzi zostało zgaszone szatańskim rasizmem Europy. Najsmutniejsze jest to, że oni są biedni i głodni, bo ich pola, warzywa, owoce i dobra materialne są wywożone do krajów bogatych by tam np. wykarmić zwierzęta hodowlane przez co wyprodukowany będzie kawałek mięsa kilkanaście razy mniejszy niż pożywienie jakie zużyto na jego produkcję. Wszystko byśmy my, na zachodzie mogli pić kawę i objadać się tanimi owocami tropikalnymi, które są tańsze niż miejscowe jabłka, bo ktoś tam, w trzecim świecie został wykorzystany.

Takie i inne tragedie zdarzają się często w Europie, która szczyci się, że zniszczyła widmo faszyzmu podczas II wojny światowej. Czym jednak rasizm „krzywych nosów” różni się od rasizmu Unii Europejskiej.

Prawda jest taka, że każdy obywatel nie będący członkiem UE ma gorsze prawa i ograniczenia, które jeśli będą przekroczone mogą być podstawą do deportacji.

Potem przewieźli nas do jakiegoś aresztu, gdzie otrzymaliśmy oddzielne cele. Odtąd spotykaliśmy się tylko na papierosach. Powiedzieli nam, że nas deportują. Na to czekaliśmy dosyć długo. Jacek 9 dni, a ja 11. Nie było wolnych miejsc w samolotach. Wszystko za głupią jazdę bez biletu, a raczej za naszą narodowość. Skandal. Szkoda słów, dlatego zakończenie w telegraficznym skrócie.

PROJEKCJA NA FABRYCE

Siedzieliśmy z Pietią i Stolarzem w Parterowcu opowiadając sobie co nowego wydarzyło się w naszym życiu i jakie nastąpiły zmiany. Co rusz wspominaliśmy też i stare czasy.

Nagle wpada Kocek i mówi nie do mnie, tylko do Stolarza :

– Ty, Stolarz? Może puścilibyśmy ten film u nas w barze, na tym większym telewizorze i

więcej osób przyjdzie... Co ty na to??

– Jak uważasz.

– To zrobmy to u nas – stwierdził, a my z Janką staliśmy i patrzyliśmy na to zszokowani.

Gdy tylko zdążył wyjść nie wytrzymaliśmy i... parsknęliśmy nie powstrzymywanym śmiechem.

– No właśnie. A co ja mam do tego? Griks, przecież ty to robisz – skomentował Stolarz.

– Lepiej już by zrobił, jakby poprosił kogoś by ze mną pogadał. Ha, ha!

Zaraz potem wróciliśmy z powrotem do naszych rozmów. Gadaliśmy tak na różne tematy, aż do około osiemnastej. Wtedy niosąc wideo poszliśmy do biurowca robić tę projekcję. Specjalnie chciałem się spóźnić te 2 minutki, by nie być tam pierwszym. Norbi, który siedł z nami, otworzył nam drzwi, Janka widząc to pierwszy raz skomentowała:

– O! Zamek wstawiliście.

– Jak się wprowadziłem to już był.

Gdy weszliśmy do baru okazało się jednak, że jesteśmy tam pierwsi. Nie czekał na nas ani telewizor ani nie było posprzątane. Wszędzie ciemno i ani żywej duszy.

– To może ja ich zawołam – zaproponował Norbi.

– No, i powiedz, żeby ktoś przyniósł telewizor.

– Dobra – rzekł i ruszył na górę.

Po krótkiej chwili z ciemności wyjął się Kocek, który zaczął przestawiać beczki, a raczej rozrzucać je z hukiem. Zaraz za nim pojawił się Koszul niosący telewizor. Nagle drzwi spadły z hukiem na posadzkę a wszyscy deptali po nich przez resztę wieczoru. Najważniejsze, że przestały w końcu torować drogę, a to, że deptane mogły się w końcu połamać nie było już dla nikogo istotne. Może za wyjątkiem tego nieobecnego, do którego te drzwi należały. Po chwili telewizor i wideo zaczęły grać. Wciąż jednak brakowało kabla dzięki któremu można by podłączyć jedno do drugiego. Razem z Koszulem próbowaliśmy w jakiś sposób poradzić sobie za pomocą przewodu, który akurat mieliśmy, ale nie dało rady. Niestety. Koniec końców to ja musiałem iść na Parterowiec po drugi telewizor. Tym razem poszedł ze mną Koszul. Nieco już wk...ony, przyniosłem ten ciężar, a nikt nawet nie zrobił miejsca, bym go mógł postawić.

Gdy go w końcu podłączyliśmy ukazała nam się czerwień i biel. Przy najlepszym ustawieniu ledwo pokazywał co było nagrane. Do tego co jakiś czas obraz trzeba było poprawiać ciężkim do znalezienia w świetle telewizora przyciskiem. O tym jednak dowiedziałem się w trakcie. Na szczęście mimo wszystko ktoś z punkowej publiczności oznajmił:

– Dobrze jest! – więc już starałem się już niczym nie przejmować i zacząłem opowiadać historie związane z obrazami przedstawianymi na taśmie.

Zaczęło się od fali eksmisji, potem demonstracyjne skłotowanie wielkiej szkoły, a następnie bohaterska obrona na Kalenderpanden. Punki oglądały z zainteresowaniem. Tekst leciał po holendersku, a ja po polsku trochę tłumaczyłem co się dzieje na ekranie. Opowiadałem też dużo o ogólnej sytuacji skłoterskiej w Holandii. Z początku bałem się, że w pewnym momencie się zatnę i nie będę miał już o czym opowiadać. Nawet wymyśliłem sobie wyjście awaryjne z tej sytuacji:

„Może teraz Janka o tym opowie...” (pewnie nie byłaby zadowolona z takiego wkopania). Na szczęście jednak kaseta cały czas podsuwała mi pomysły i bez żadnej wcześniejszej próby udało mi się zainteresować do końca prawie wszystkich. Nawet przy pierwszej kasecie, która była ciekawsza, wszyscy bez szmeru wysłuchali mego opowiadania. Gadając jak katarynka udało mi się w końcu dotrzeć do końca nagrań i opowieści, które zakończyłem pytając:

– To może ktoś z Was chciałby mnie o coś zapytać?

– Czy długo trzeba czekać na obywatelstwo, jeśli się z kimś ochajtnie – zapytał Seweryn.

– Nie wiem, może z pół roku?

– No co Ty. Przecież Marcin ile już czeka?

– Czy jest możliwość przegrania tej pierwszej kasety? – zapytał Wesel.

– Możliwość zawsze jest, jeśli macie do załatwienia drugie wideo.

– Nancy, Ty masz wideo?

- Nie, nie mam.
- No to nie ma możliwości.
- Możliwość zawsze jest. Jeśli dasz mi kasetę to przegram Ci ją, ale dopiero w Amsterdamie.

OK?

- Nie, tak to nie, ale ja mam jeszcze drugie pytanie: czy znasz może Czarnego z Piły?
- Nie wiem Stary, ja nie mam pamięci do imion i ksyw, a w Amsterdamie do tego żyje tyle

Polaków.

- Tak? Naprawdę dużo?
- Polaków wszędzie dużo.
- To też prawda.

Podczas tej krótkiej rozmowy sala opustoszała i nikt, oprócz Norbiego, nie zapytał:

- Pomóc Ci to zanieść z powrotem?
- No pewnie. Dzięki!
- To ja zaraz przyjdę, tylko pójść się ubrać.
- Dobra – i tak zostaliśmy sami.
- Niezły klimat – stwierdziłem.
- Weź przestań. Szkoda gadać – potwierdziła Janka – nawet Ci nie podziękowali, choć Ty im

dziękowałeś za uwagę.

– Takie życie, co poradzisz? – zakończyłem chowając wideo w reklamówkę. Gdy już mieliśmy się zbierać przyszedł Norbi i jako jedyny nam pomógł. Nie wiem, może mi się wydaje, ale za każdym razem, kiedy odwiedzam Fabrykę czuję nieuzasadnioną niechęć od ludzi, którzy nie zdążyli mnie jeszcze poznać. Plotki widocznie szybko się rozchodzą i działają bardzo skutecznie. Nic dziwnego, skoro puszczane są z takiego źródła, które potrafiło skłócić nawet kochających się ludzi.

Zanieśliśmy telewizor i wideo z powrotem na Parterowiec. Tam zastaliśmy rodzinną atmosferę oraz gorącą obiadokolację. Kopytka zrobione przez Stolarza były wyśmienite.

Właśnie zacząłem się zastanawiać czy dobrze zrobiłem przenosząc miejsce projekcji z Parterowca do baru, jednak Karol rozwił moje wątpliwości pytając:

- Wiesz czemu nie chcieliśmy żeby było u nas?
- No czemu?

– Bo oni jak zwykle po sobie by nie posprzątali. – wyjaśnił Karol, a ja po raz kolejny zauważyłem podział, jaki istniał między Biurowcem i Parterowcem. Tak sobie trochę miło pogadaliśmy, Grajek pogrywał spokojnie na gitarze, a na koniec wraz z Pitą uraczyli mnie i innych skunem. Potem musieliśmy już wracać do Siedlec.

Mimo wszystko i projekcje i cały pobyt na Fabryce uważam za dobry i nie żałujemy, że tam pojechaliśmy. Nie wiem, po co napisałem ten rozdział. Może dlatego, że koniecznie chciałem napisać coś o Fabryce, a może by wpisać się jako obiektywny obserwator do wspaniałej kroniki Stolarza, może po to by opisać nowy rozdział w moim życiu – projekcje, a może, by po prostu przełamać mój zastój w pisaniu tworząc coś na bieżąco. Nie wiem.

Na zakończenie chciałbym dodać, że jeśli ktokolwiek byłby zainteresowany zorganizowaniem tego typu wieczorku na tematy głównie zawarte w tej książce, jestem otwarty na propozycje. W przyszłości chciałbym wyruszyć w Polskę z trasą promującą „Los Buntownika”. Można by więc to jakoś pogodzić. Warto też wziąć tu pod uwagę kapelę ZBUNTOWANI oraz kolekcję filmów Spirit Of Squatters Collective z którymi także jestem związany.

PSY SKŁOTERSKIE NAJMĄDRZEJSZE – PSY SKŁOTERSKIE NAJWIERNIEJSZE

Idąc z dworca w Siedlcach, zobaczywszy budkę telefoniczną, ponownie spróbowałem zadzwonić na policję. Tym razem, po dłuższej chwili, jakiś zaspany, męski głos odebrał:

- Pogotowie policji. Słucham?
- Dobry wieczór. Ja dzwonię, bo zginał mi dzisiaj pies i chcę się dowiedzieć, czy nie

wiadomo u was coś o nim?

– Nie, nic nie wiadomo. A gdzie on zginął? – pytał gliniarz niemiłym głosem.

– W Mrozach. Zostawiłem ją na podwórku za zamkniętą furtką i poszedłem na cmentarz, a ona wyskoczyła przez siatkę i całkiem możliwe, że pojechała gdzieś pociągiem.

– A miała kaganiec?

– Nie przecież uciekła z podwórka.

– To jak nie miała kagańca to jeszcze kolegium pan zapłaci – po tych słowach k...ica zaczęła mnie strzelać.

– Ale pies uciekł to jak mu miałem założyć kaganiec?

– Nas to nie interesuje, to pan odpowiada za swojego psa, a pies nie powinien biegać bez kagańca.

– Dobrze. To ja zapłacę te kolegium jak będzie trzeba, ale ja zadzwoniłem po to, by się dowiedzieć gdzie mam go szukać, gdzie mam zadzwonić jeśli mój pies został przez kogoś złapany jako bezdomny.

– Ale my się tym nie zajmujemy.

– I nawet jak kogoś ugryzie to nadal się tym nie zajmujecie?

– Jeśli kogoś ugryzie to będzie trzeba psa uśpić, albo zastrzelić.

– Ale ten pies jest szczepiony.

– To co. Pies powinien być na smyczy, w kagańcu, a nie latać bezpańsko.

– To ja tu dzwonię z nadzieją, że policja jakoś mi pomoże, a wy zamiast pomóc jeszcze mi grozicie mi jakimiś kolegiumami i zastrzeleniem psa.

– Było go pilnować.

– Czyli jest tak jak zawsze myślałem: więcej szkodzicie niż pomagacie i jeśli ktokolwiek zrobi krzywdę mojemu psu, to ja go pomszczę. – co powiedziawszy odłożyłem słuchawkę.

– Co za k...y?!!! – skomentowałem całą rozmowę Jance.

– Co? Jeszcze Cię postraszyli kolegium?

– Nooo, to jakiś absurd, paradoks.

– No. Człowiek dzwoni z nadzieją, że mu pomogą, a oni go jeszcze straszą. Oto polska policja.

– Tak jak myślałem. Więcej wyrządzają zła niż pomagają.

– Moim zdaniem to chyba oni powinni mieć numery do jakichś schronisk, do Animalsu itp.

– A co myślisz, że nie mają. Przecież w Warszawie jak na trzydziestce Motywa pies ugryzł gliniarza to zaraz hycle przyjechali.

– Może skurwiel ma zły humor, bo nie dałeś mu spać zamiast Ci pomóc to Cię postraszył – skomentowała zachowanie bastardów Janka.

– Jakby mi zastrzelili Paprykę to naprawdę bym im podpalił ten ich komisariat – stwierdziłem zdenerwowany.

To zdarzenie utwierdziło nas w przekonaniu, że policja bardzo kiepsko spełnia swoją powinność w stosunku do zwykłych biednych ludzi. Co innego gdybym przedstawił się jako dyrektor większej, znanej firmy. Tak to już jest, że cały ten system służy raczej tym bogatym, bardzo często tylko po to, by uchronić ich przed biednymi, by mogli dalej robić bezkarnie swe interesy w imieniu prawa, które stworzyli. Stworzyli sobie prawo, by w jego imieniu i za jego pomocą mogli nas skuteczniej wykorzystywać i okradać z tego co nam jeszcze zostało. Niestety tak już oni poukładali ten świat i zrobili to dla siebie, nie dla nas.

Nie znalazłszy Papryki smutni wróciliśmy do domu. Zmęczyło nas to całe szukanie oraz ta cała tragiczna sytuacja. Mimo to od razu się wziąłem za robienie plakatu. Zacząłem od przeszukiwania zdjęć, by wybrać te, które najbardziej odpowiadałyby do zrobienia plakatu. Janka w tym czasie pościeliła łóżko. Gdy to zrobiła przytuliła mnie i powiedziała:

– Griksiu, jesteś już zmęczony. Zrobisz ten plakat jutro, gdy będziesz wypoczęty. Na pewno wtedy wyjdzie Ci lepiej. Po drugie ksero i tak nie jest czynne od samego ranka więc i tak będziesz

musiał czekać.

– Mam nadzieję, że Mama mi trochę odbije. Masz rację. Będzie lepiej jak zrobię to jutro. Jak dobrze mieć tą ukochaną, kochającą osobę, która gdy trzeba, podniesie na duchu, z którą dzieli się smutki i żale, z którą razem idzie się przez życie. Samemu byłoby o wiele trudniej. Całkiem możliwe, że gdyby Janki nie było przy mnie o wiele gorzej bym to wszystko znosił, a być może całkiem bym się załamał.

Długo nie mogłem zasnąć. Myśli o całej tej sytuacji, o tym co się dzieje z Papryką nie dawały mi spokoju. Wymyśliłem kilka chwytających za serce tekstów, które nadawałyby się na plakat. Jak to zwykle z takimi „złotymi myślami z łóżka” robię od razu je zapisałem, bo pewnie jutro bym już o nich nie pamiętał. Nea obudziła nas około dziewiątej. Od razu, bez śniadania, wziąłem się za robienie plakatu. Wybrałem kilka zdjęć, które potem musiałem zniszczyć, by wyciąć z nich Paprykę. Obok fotek wstawiłem teksty, które wczoraj wymyśliłem, pod spodem napisałem telefon cici Marysi oraz mojej mamy i plakat był gotowy.

Gdy tylko skończyłem zadzwoniłem do Mamy i poprosiłem:

– Mamo, to co poodbijasz mi te plakaty?

– No poodbijam, a ile byś ich chciał?

– Jak najwięcej?

– A ile?

– Jak najwięcej.

– To znaczy ile? 20 wystarczy?

– Co?! Mamo, na 20 plakatów to nas jeszcze stać i możemy sobie sami je poodbijać.

– To ile ty chcesz ich rozklejać?

– Dzisiaj co najmniej 50, a jak to nie pomoże to każdego następnego dnia następne 50.

– Gdzie ty je będziesz rozklejał?

– Na początku w Siedlcach i Mrozach, a potem w każdej wiosce na tej trasie.

– No dobra postaram się odbić jak najwięcej jeśli dyrektor mnie nie pogoni.

– Dzięki. To przyniosę oryginał.

– Nie. Nic mi nie przynoś. Zaraz sama po niego przyjdę.

– Dobra, to na razie.

– No cześć – skończyliśmy rozmowę, a Mama za 5 minut odebrała oryginał. Zjadłem podgrzane przez Jancię śniadanie i gdzieś tam w starej gazecie wyszukałem numer pod którym można było zostawić treść ogłoszenia o zaginięciu psa, po czym oni wydrukowaliby to za darmo. Ogłoszenia te przyjmowali od 11.00, więc liczyłem czas jaki mi pozostał. Miałem zamiar zapytać się też tam o numery schronisk, pogotowia zwierzęcego i wszystkich innych organizacji, które mogły mi pomóc odnaleźć Paprykę. Zostało mi około 10 minut gdy zadzwonił telefon.

– Griks? – usłyszałem głos Agaty.

– Tak, to ja.

– Ej, gdzie ty jesteś?

– Jak to, gdzie? W domu przecież.

– A dlaczego Papryka jest u nas? – jej ton brzmiał opie...ajaco lecz nie przejąłem się tym wcale, ponieważ ma radość wówczas nie miała granic.

– Tak?! Naprawdę jest u Was. To niemożliwe – nie wierzyłem własnym uszom. Wcześniej rozpatrywałem możliwość, że pojedzie do Warszawy lecz szanse, że trafi z powrotem na skłot lub, iż znajdę ją w tym wielkim mieście uważałem za żadne. Agata jednak potwierdziła.

– Tak, jest tutaj. Tylko nie mogę tego zrozumieć dlaczego ona jest tutaj, a ty jesteś w Siedlcach? – na co opisałem jej w kilku zdaniach co się stało.

– Tak? Pie...sz. Przebyła całą drogę, aż 80 kilometrów? Ale mądra psina.

– No. Teraz to zaczęń wierzyć w książkę „O psie, który jeździł koleją”. Nic jej nie jest? Kiedy do was dotarła?

– Ma trochę rozwaloną łapę. Już jej przemywaliśmy. Nic poważnego. Wiesz, my nie wiemy,

kiedy ona przysłała, bo wszyscyśmy spali. Stolarz rano, z godzinę temu wracał skądś tam i Paprykę wystraszoną zobaczył pod skłotem. Była tak zestresowana, że nie poznała Stolarza i zaczęła na niego szczekać. Jak ją wpuścił to cała drżała. W ogóle przez tą ranę cała była zakrwawiona i żeśmy myśleli, że jakieś zło was spotkało. Od razu gdy skołowaliśmy kartę, zadzwoniliśmy do ciebie. Wiesz jak wszyscy żeśmy się martwili o ciebie?

– Dobra, to ja pierwszym pociągiem do was przyjadę. Weź Agata jakąś puszkę jej kup. Ja ci później pieniądze oddam.

– No ja już jej dałam trochę. W ogóle, to jest już z nią dużo lepiej. Nie denerwuj się tak bardzo.

– Dobra. To do zobaczenia za parę godzin. Będę jak najszybciej.

– Jak nie będzie nas na skłocie to jesteśmy na myjce.

– OK. Cześć.

– Cześć – i zakończyliśmy rozmowę, po czym zacząłem skakać i śpiewać z radości. Janka, która przysłuchiwała się całej rozmowie też się cieszyła i nie mogła w to uwierzyć. Zamiast do gazety zadzwoniłem do mamy, by nie odbijała już więcej plakatów oraz do cioci Marysi w Mrozach, by zakończyli poszukiwania. Każdy był w szoku jak opowiadałem w jaki sposób się znalazła i wcale się im nie dziwię, bo sam też włożyłbym tę historię pomiędzy „niewiarygodnie zmyślane”, gdyby nie wydarzyła się naprawdę. Dziękowałem Bogu, że mam tak mądrego psa.

Na skłocie już ich nie było, więc zajechałem na myjkę. Papryka, gdy tylko mnie zobaczyła, z radości tak się na mnie rzuciła, że nie miałem szans utrzymać się na nogach. Skakała po mnie i lizała po twarzy nie dając mi wstać, a jej ogon tak mocno machał, iż jeszcze trochę to by pofrunęła dzięki niemu. Ja zaś nie zważałem, że całego mnie pobrudzi. Cieszyłem się z nią i próbowałem przytulić mówiąc do niej: „Jaka ty mądra jesteś Papryka? Gdzie ty byłaś?? Poszedłaś mnie szukać? Już nigdy cię nie zostawię!!”. Z boku słyszałem głosy podziwu wśród myjkarzy:

– Ale radość.

– Ale się cieszą.

– Jeszcze nie widziałem by pies się tak cieszył.

Gdy po dłuższym czasie pierwsza radość minęła, Papryka dała mi wstać. Cały byłem brudny lecz kto by się tam teraz tym przejmował. Podszedł do nas Radzio i powiedział:

– Gratuluję Ci psa Griks. Myślałem, że Rudi zrobił wyczyn, ale Papryka pobiła go o głowę.

– Rudi też zrobił wyczyn. Po prostu: „Psy skłoterskie najmądrzejsze, psy skłoterskie najwierniejsze”.

– Święta prawda. – potwierdziła Agata.

Na całe szczęście przygoda zakończyła się dobrze. Papryka miała tylko lekko ranioną stopę i zgubioną kolczatkę. Co się z nią działo, w jaki sposób dotarła na Fabrykę, dlaczego straciła kolczatkę, jak się zraniła? Tego wszystkiego możemy się tylko domyślać. Myślę, że ranę na stopie mogła sobie zrobić przeskakując przez siatkę. Do Warszawy dotarła pociągiem, bo nie wiem, czy tak szybko przebiegłaby 70 kilometrów nieznaną drogą. W Warszawie myślę, że poruszała się na piechotę, albo tramwajem. Spacerkiem szedłem tą trasą może raz w życiu, może dwa. Tramwajami to nie wiem, czy by się połapała z numerami i przesiadkami. Rudi się kiedyś połapał więc ona może też. Ktoś pewnie złapał już ją na smycz lub na łańcuch, bo wołała zostawić kolczatkę niż być na uwięzi. Są to jednak wszystko domysły i prawdę zna tylko Papryka (chyba, że opowiedziała już ją innym czworonogom). My niestety bardzo słabo znamy psi język i być może ich to trochę wkurza, że jesteśmy tacy tępi.

Ta historia i historia Rudiego potwierdza fakt, że zwierzęta są bardzo często mądrzejsze niż myślimy, a z ich wierności i miłości często my ludzie moglibyśmy się wiele nauczyć.

Nadziei na znalezienie Papryki dodawał mi skrawek papieru doczepiony do jej obroży. Był na nim napisany jej adres, telefon, imię oraz kilka słów trafiających do serc. Gdy Papryka się gubiła zawsze mogłem mieć nadzieję, że trafi na uczciwego znalazcę mającego serce. Jeśli trafiłaby do schroniska, oni od razu by się ze mną skontaktowali. Nie musiałaby się wtedy tam męczyć do tego

czasu, aż sam bym się dowiedział, gdzie ona jest. Wy wszyscy, którzy macie psy, jeśli naprawdę je kochacie, napiszcie dane psa na kartce. Jeśli Was stać na nagrodę to napiszcie też obietnicę o niej. Napiszcie też krótko o uczuciu i przywiązaniu, które Was łączy. I proszę nie zwlekajcie z tym, bo tak naprawdę nie znacie dnia i godziny, ani nawet sytuacji, w jakiej Wasz pies może się zgubić. Nawet bardzo mądry pies, który nigdy nie zginął, nawet w najmniej spodziewanej sytuacji może się zgubić. Po prostu nieszczęścia chodzą po wszystkich i każdemu mogą się przydarzyć. Dlatego lepiej dmuchać na zimne.

KLINIKA DLA NIELEGALNYCH

Gdy przyjechałem do Amsterdamu, jako że Polska nie była jeszcze w Unii Europejskiej, nie mogłem ani ja, ani nikt z mojej rodziny być leczonym. Moja córka zachorowała. Tak jak wielu Polaków i innych nielegalnych, próbowaliśmy wyleczyć ją sami. Nasz przyjaciel Greg powiedział nam, iż kiedyś była przychodnia dla nielegalnych, która nazywała się „Witte Jas”. Poradził, że może jak tam pójść, to znajdę ślad za lekarzami takimi jak Zet, który wciąż gdzieś tam przyjmował. Wybrałem się pod wskazane miejsce, pytałem gdzie się dało i w końcu udało mi się znaleźć doktora Zeta. Niestety. Okazało się, że Nea potrzebuje specjalistycznego leczenia. Za te zaś jako, że byliśmy nielegalni i nie mogliśmy być ubezpieczeni, trzeba było drogo płacić. Nie było nas na to stać, bo nielegalnie pracując też płacono nam mniej niż innym. Musieliśmy z Neą powrócić do Polski i spędzić tam cały okres leczenia. Czas ten był dłuższy niż 3 miesiące. W Polsce oczywiście byłem bezrobotny, a pracy na tak krótki okres nie było nawet co szukać. W tych czasach o robotę było na prawdę trudno. Całe szczęście mogliśmy mieszkać u moich rodziców, co nie kosztowało nas dodatkowo. Na przeżycie miałem odłożonych trochę pieniędzy i wspomagała nas też Janka, która też w tym celu oraz by zarobić na swoje studia musiała zostać w Amsterdamie. Jak tylko miałem możliwość, jeździłem do Warszawy by dorobić na myjce i trochę też by odwiedzić znajomych. To, że byliśmy nielegalni kosztowało nas rozłąkę z rodziną i z tym pięknym miastem, w którym mieliśmy mieszkanie i czuliśmy się jak w domu. Polska nie jest aż tak bardzo daleko jak Afryka. Bilet dla Polaka także nie jest aż tak drogi. Gdy wyobrażam sobie, że ktoś by uzyskać leczenie musiałby wracać do dalekich kontynentów, gdzie nawet ciężko zarobić na powrót uważam to, za tym bardziej niesprawiedliwe niż nawet to co mnie spotkało. Wielu z tych ludzi nie ma nawet specjalistycznego leczenia w swych krajach, gdzie często nawet brakuje jedzenia. Wielu z uchodźców ucieka do UE z powodów politycznych i nie może wracać do swych ojczyzn. Z własnego życia wiedziałem, iż nie urodzonym w UE trudniej o pracę, za którą, bo nielegalna często otrzymywali dużo mniejszą zapłatę. W tych warunkach często niemożliwością jest opłacić zawyżone dla nieubezpieczonych koszt leczenia. Te wszystkie powody oraz najważniejszy: chęć wzięcia zdrowia mego i mej rodziny we własne ręce, potrzeba uniezależnienia się jak najbardziej jak tylko mogłem od tego systemu skłoniła mnie bym zaczął uczyć się na własną rękę medycyny. Chciałem pomóc sobie oraz takim jak ja być godnie traktowanym i niezależnym od jakichś rasistowskich, dyskryminacyjnych reguł Unii Europejskiej.

Trening pierwszej pomocy.

Gdy zobaczyłem plakat mówiący o treningu pierwszej pomocy z wyszczególnieniem leczenia w sytuacjach na demonstracjach, na których policja użyła przemocy, od razu pomyślałem, że to coś dla mnie.

Ze względu, iż mój angielski nie był za dobry, trochę się obawiałem. Właściwie to myślałem, że pewnie dużo nie zrozumie i pewnie ucieknę zawstydzony po pół godzinie. Uczenie się medycyny, a do tego po angielsku było dla mnie wielkim wyzwaniem, a jednocześnie tym wielkim przełamaniem się jakie człowiek musi podjąć na etapie nauki języka obcego.

Na szczęście naszym nauczycielem był sympatyczny Amerykanin. Nazywał się Doc i sam też był aktywistą działającym w ruchu Street Medic (Uliczny Medyk), który był obecny jako pierwsza pomoc na demonstracjach szczególnie tych, na których protestujący byli narażeni na brutalność policji. Większość „uczniów” było mniej lub bardziej znajomymi mi skłotersami. Doc mówił

powoli i wyraźnie. Jednym z jego pierwszych pytań było :

- Jak rozumiecie angielski ?

Gdy usłyszał ode mnie:

- Mój angielski jest słaby i może by nie spowalniać toku nauki dla całej grupy, może będzie lepiej jak opuszczę kurs. - zaproponowałem poświęcając dla dobra ogółu tę niepowtarzalną możliwość. On jednak mnie pocieszył :

- Nie przejmuj się. Zwykłem nauczać też w Gwatemali, gdzie mało kto rozumiał po angielsku. Ten trening ma dużo praktycznych ćwiczeń, do których język nie jest aż tak bardzo potrzebny. Na pewno dużo się nauczysz i nie będziesz spowalniał innych.

- OK. To zostaję. - powiedziałem ucieszony.

- Jeśli czegoś nie będziesz rozumiał, to pytaj śmiało i nie przejmuj się, że zajmie to czas. W trakcie tego kursu opowiadałem wiele historii, które nie uczą aż tak wiele. Najwyżej je będę musiał skrócić.

- Czy mogę, by sobie móc powtarzać nagrywać kurs na dyktafon ?

- Tak. Jeśli ma Ci to pomóc.

Pomagało. Uczyłem się nie tylko pierwszej pomocy ale także angielskiego. Jednocześnie musiałem przyswoić informację, jak i ją przetłumaczyć, a potem zaś zanotować czasem po polsku, czasem po angielsku. Później nagrana taśma mogła mi pomóc skorygować błędy, powtórzyć i poprawić niedomówienia. W trakcie kursu musiałem być całkowicie skoncentrowany. Po każdych zajęciach „mózg parował mi z wysiłku”. Za to nauczyłem się nie tylko wiele z medycyny ale też dużo angielskiego.

Doc był jednym z najlepszych nauczycieli jakich spotkałem na swej życiowej drodze. Atmosfera „klasy” była całkowicie luzacka i bezstresowa. Można było nam nawet leżeć jeśli tak było wygodniej. Co jakiś czas opowiadał nam dowcip lub adekwatną do tego co nauczał historię ze swego życia. Były to opowieści z wielkich masowych demonstracji w USA, na których protestujący zostali pobici przez brutalną amerykańską policję i Uliczni Medycy ratowali im życie, przed przybyciem oficjalnej służby zdrowia. O tym jak zakładali grupy Ulicznych Medyków w Gwatemalii, gdzie ludzie do służby zdrowia w ogóle nie mają dostępu. O tym jak pomagali w obszarach dotkniętych kataklizmami. Właśnie te opowiadania sprawiały, iż te ośmiogodzinne kursy (oczywiście z przerwami) były dużo bardziej interesujące i znośniejsze. Był on jednym z nas, aktywistą takim jak my. Może trochę starszym i z większym bagażem doświadczenia. Był człowiekiem, którego opowieści słuchaliśmy niczym dziatwa dzieci, siedząca wokół dziadka opowiadającego barwnie historie z przeszłości. Podziwialiśmy Doca oraz to co robił. To wszystko pomagało nam mieć entuzjazm i tę dodatkową energię do nauki. Zafascynowani przy jego pomocy sami też stworzyliśmy grupę Ulicznych Medyków, która wraz z jej holenderskim odpowiednikiem EHBA (Erste Hulp Bij Action – pierwsza pomoc w akcji) towarzyszyła przy prawie każdej demonstracji organizowanej w Amsterdamie i okolicy. Wielu z nas tak jak ja nie zaprzestało na podstawach. Doc dał nam później 9 – cio dniowy kurs pierwszej pomocy dla zaawansowanych. Potem co pół roku dawał nam dwu tygodniowe kursy z akupunktury i Qi Gong.

Pomógł nam założyć klinikę dla ludzi bez papierów, gdzie raz w tygodniu pomagając ludziom głównie ze świata skłoterskiego, praktykowaliśmy to co nas nauczył. Wielu z nas nie zaprzestało na tych pierwszych krokach. Niektórzy poświęcili się studiom akupunktury. Dla mnie też raz na pół roku intensywny kurs Ulicznych Medyków oraz klinika raz w tygodniu nie były wystarczające. Gdy tylko pojawiła się okazja asystowania doktorowi Zet, skorzystałem z niej. Zachodnia medycyna nie była czymś, co bym wybrał i miałem świadomość, iż czasem jest szkodliwa i ma zbyt dużo ubocznych skutków, jednak okazja uczenia się więcej oraz idea pomagania ludziom, którzy tego potrzebowali były wystarczającymi powodami by podjąć ten kompromis. Poza tym doktor Zet był także człowiekiem, którego podziwiałem za jego otwarte serce i energię. Przyjemnością było rozwijać naszą przyjaźń i robić z nim cokolwiek.

Rozmowy w zaskłotowanym kościele

Pewnego dnia doktor Zet, sześćdziesięcioletni aktywista, z którym powoli zaczynałem się zaprzyjaźniać oznajmił mi ze smutkiem, że stracił ostatnie miejsce, w którym leczył. Stało się tak ponieważ kobieta, która mu to miejsce wynajmowała, czy może użyczała umarła, a z nowym właścicielem nie szło się dogadać.

- Trzeba szybko znaleźć nowe miejsce. - stwierdziłem

- Gadałem już z Lukaszem z zaskłotowanego kościoła by tam udzielili miejsca. Powiedział, że dysponują takim miejscem lecz reszta mieszkańców musi wyrazić na to zgodę.

- Fajnie. Klinika w zaskłotowanym kościele. Nie źle brzmi.

- Haha...Tylko byśmy to miejsce dostali.

- Dostaniemy. - odpowiedziałem z nadzieją.

Nie minął tydzień, a już pukaliśmy do drzwi kościoła, by Lukas pokazał nam miejsce, z którego mielibyśmy zrobić naszą klinikę. Było to duże, wysokie pomieszczenie, w którym jak nas poinformował Lukas trzeba by wybudować ścianę dzielącą na pół. Druga połowa miała być wykorzystana jako darmowa kafejka internetowa.

- Trzeba by się zgadać któregoś dnia, zobaczyć co jest potrzebne i jakoś można by już zacząć to robić. Ja i parę innych osób stąd na pewno Wam pomożemy. - powiedział Lukas.

- No to pięknie. To miejsce jest tak duże, iż można by wydzielić jeszcze miejsce na gabinet stomatologiczny. - oznajmił z entuzjazmem Zet.

- Ale przecież nie mamy żadnego dentysty.

- Jak zrobimy miejsce, to i dentysta się znajdzie. - Powiedział Zet optymistycznie tak jakby wszystko było takie proste. Taki właśnie jest ten starszy człowiek, który nie jednego zadziwiał swym optymizmem i jakże młodzieńczą energią.

Jednak nie wszystko było takie proste jakby się wydawało. Po paru dniach Lukas zadzwonił do Zeta i powiedział, że wynikły jakieś trudności i najlepiej będzie jeśli przyjdziemy na mityng domowy mieszkańców kościoła by przedstawić na nim naszą prośbę o miejsce. Jako, iż Zet, jak to on był zajęty w tym czasie, poprosił mnie, bym nas reprezentował na tym spotkaniu.

Mityng odbywał się przy dużym stole zaraz przy wejściu. Było na nim około 10 osób, głównie mieszkańców, a po za tym Niko - jeden z największych radykałów jakich znam. Głównym celem spotkania, jak się okazało była ochrona przed nadchodzącą eksmisją. Miała ona nastąpić z powodu rzekomego niebezpieczeństwa zawalenia się budynku. Oczywiście było to absurdem. W grę na pewno wchodziła duża kasa, bo już samo wyburzenie takiego budynku musiało wiele kosztować. Jedną sprawę kościół już wygrał ze spekulantami. Teraz wspólnie razem zastanawiali się jakby tu dobrze nagłośnić i z której strony szukać poparcia by wygrać po raz kolejny z kłamliwymi handlarzami nieruchomości. Przysłuchiwałem się temu z boku nie mówiąc ani słowa, bo coś mógłbym rzec skoro nic nie wiedziałem. Następnym tematem były ostatnie imprezy oraz te, które miały się odbyć w najbliższej przyszłości. Tu dało się odczuć mały konflikt wewnętrzny.

Jedna dziewczyna, nazwijmy ją Karina, oskarżała Lukasa, że robi zbyt duży wjazd na imprezę i tak sponsorowaną, a do tego bardziej komercyjną, podczas gdy ona na ostatniej imprezie zupełnie nie komercyjnej wyszła do tyłu, bo poproszono ją o zniżenie ceny.

- Jeśli Ty robisz party, to Ty ponosisz koszt i to Ty, a nie nikt inny ustala cenę biletu, tak by Ci się zwróciło.

- Zrobiłam tak, bo powiedziano mi, że nie mogę robić imprezy na skłocie ze zbyt drogim wjazdem. Niecałe dwa tygodnie później Ty robisz koncert za 5 euro i nikt Ci nic nie mówi.

- Dlatego, że na tę imprezę przyjdą ludzie z zewnątrz, którzy wiadomo, że mają więcej kasy niż skłotersi.

- Ale jeśli ode mnie wymagano obniżenia ceny, to nie dziw się, że ja wymagam od Ciebie tego samego.

- Ja ceny nie zmienię. Po pierwsze, jak już zaznaczyłem: nie mam zamiaru dopłacać. Po drugie cena jest już na plakacie, który jest już rozlepiany. Co do biednych skłotersów, to chyba normalne, że jak nie będą mieli na wjazd to po cichu będzie można ich wpuścić. Co do pieniędzy, które może

zarobimy, nie mam nic przeciwko by pokryć to co Ty straciłaś. - oznajmił wspaniałomyślnie Lukas by załagodzić sytuację lecz wnioskując po minie Kariny wcale mu się to chyba nie udało.

- Jeśli skończyliście ten temat, to ja też chciałbym coś dodać na temat tej przyszłej imprezy. Gdy zobaczyłem w ASCII ten plakat, to czym prędzej go zerwałem. Krew mnie zalewa gdy widzę, że imprezę na skłocie sponsorują „Austriackie linie lotnicze”, które deportują ludzi, a Wy robicie im reklamę. Wiele osób jest tym oburzonych i nawet deklaruje bojkot jeśli będziecie dalej tak postępować. - te słowa Nika sprawiły, iż Lukas zrobił się czerwony ze wstydu i zaczął się tłumaczyć.

- Sorry, ale ja nic nie wiedziałem, że ta firma deportuje ludzi i gdybym to wiedział przedtem, to nawet bym z nimi nie gadał.

- No właśnie. W tym jest problem, że zwykle te firmy bardzo dobrze chowają swe brudy i właśnie w tym momencie używają Was by stworzyć sobie dobry, fałszywy imidż firmy wspomagającej kulturę oraz skłotersów. Także druga firma na plakacie, powszechnie wiadomo, że jest kapitalistycznym krwiopijcą, nastawionym tylko na zysk. Co do trzech pozostałych, skąd możemy wiedzieć, że nie robią jakiś brudnych gier, o których nic nawet nie wiemy.

- No tak, ale tego nigdy nie wiadomo. Nawet jak zaczynasz coś z kimś robić nigdy do końca nie wiadomo, czy przypadkiem nie okaże się oszustem. Czasem rzeczy nie da się przewidzieć.

- Dlatego my, jako ruch skłoterski, staramy się unikać brania kasy od jakichkolwiek dużych sponsorów. Myślę że jesteśmy na tyle silni i mocni, że stać nas na więcej niż branie kasy od bogatych, którzy powszechnie wiadomo, w większości są wyzyskiwaczami. Gdy będziemy dbali o nasz wizerunek, nie splamiany kompromisami wielcy, drodzy artyści, mający jakieś pozytywne przesłanie sami będą chcieli u nas zagrać. Jak na przykład chociażby Chumbawamba na ADM-ie.

- No tak. Lecz w tym wypadku artysta i tak się zgodził grać prawie za darmo i jedynym finansowym problemem było to, by załatwić mu przelot, który jak wiadomo kosztuje. Dlatego zwróciliśmy się do „Austriackich linii lotniczych” by dostać bilet na przelot w tę i z powrotem w zamian za reklamę na plakacie. Jest to bardzo dobry raper, z politycznym przekazem i nie ukrywam, że moim marzeniem było zrobić mu koncert na skłocie. Teraz gdy słyszę, że przez pomyłkę miałbym promować firmę deportującą ludzi, na prawdę źle się z tym czuję. - powiedział zmartwiony Lukas.

- Ja też uważam tego muzyka za zajebistego gościa. Szczególnie jego fajne teksty, z którymi dużo się zgadzam. Jednak o ile jeszcze kompromis z tymi trzema firmami uważam do przyjęcia (choć nie jest to moja droga działania) to reklamowanie firmy deportującej ludzi nie jest do przyjęcia nie tylko przeze mnie ale też przez większość skłotersów nawet jeśli chodzi o najulubieńszą kapelę.

- Może i masz rację , ale ja już za dużo pracy w to włożyłem i sprawy za daleko zaszły bym mógł wszystko odwołać. - powiedział całkowicie wku...ny Lukas opuszczając obrady.

- Poczekaj ! - zawołał za nim Niko. - Nie chcę byśmy się kłócili. Nie po to tu przyszedłem. Moim celem było uświadomić Was komu robicie reklamę i uchronić Was przed tym by ruch skłoterski Was zbojkotował, bo wtedy zostalibyście sami i to byłoby prze...ne. Ja uważam, że nie ma sytuacji bez wyjścia i ja chyba już widzę rozwiązanie.

- Jakie ? - zapytał zatrzymany w drzwiach Lukas.

- Powiedziałeś, że już dostaliście ten bilet w obie strony ?

- Dostaliśmy.

- Tego biletu nie mają prawa unieważnić. Czy oni wiedzą, że party jest na skłocie?

- Oczywiście, że wiedzą

- Z tego wynika, że zrobili Was w ch... Powszechnie wiadomo, że skłoty są bardzo przeciwne rasizmowi deportacji. Wykorzystując Was do reklamy jednocześnie zatajając fakt, że deportują ludzi, ewidentnie zagrali z Wami w kulki. Czyż nie ?

-No tak. Gdyby byli uczciwymi, przyznaliby się do tego na wstępie i by powiedzieli: „ale Wy nie będziecie nas pewnie chcieli zareklamować, bo my deportujemy ludzi.” - wtrąciłem, co o tym

sądę.

- Jednak nie na uczciwości im zależy lecz na reklamie. - kontynuował swój wykład Niko. - I jeśli oni zrobili nas w konia, to teraz kolej byśmy my ich także przekręcili. Jeśli mamy już bilet, to spokojnie możemy ich poodcinać z plakatów i nawet jakby się przyczepili, że nie dotrzymaliście umowy to można to im wytłumaczyć, że Wy plakaty zrobiliście prawidłowo jedynie ci skłotersi, co je rozlepiali poodcinali Waszą firmę, bo deportujecie ludzi.

- To brzmi jak sensowne rozwiązanie stwierdził pocieszony Lukas.

- OK. To może przejdźmy do następnego punktu spotkania. - zaproponowała. Karina.

- Ja z doktorem Zetem, który nie mógł dzisiaj przyjść potrzebujemy miejsca na klinikę dla ludzi bez papierów. Czy moglibyśmy dostać na nią miejsce w kościele? - zapytałem.

- Ogólnie to chyba tak. Zapytamy wszystkich mieszkańców. Raczej nie powinni mieć nic przeciwko. Jednak będziecie sami musieli sobie zbudować pomieszczenie.

- Lukas mówił, że w tym może pomóc parę osób z kościoła.

- Tak mamy nawet materiały. - powiedział Lukas – Jak dla mnie to moglibyście zaczynać już dzisiaj ale może warto jeszcze z tydzień poczekać dotąd aż sytuacja, co do kościoła się wyjaśni?

- Pewnie. Teraz nie ma, co zaczynać, bo cała robota może pójść na marne.

- OK. Skoro tak uważacie to poczekamy. - przytaknąłem.

- Czy ktoś chce coś dodać ?

Jako, iż nikt się nie zgłosił, przeszli do następnego punktu dzisiejszego spotkania, a mianowicie sytuacji zaskłotowanego kościoła i omówienia opcji jego prawnej obrony przed groźbą eksmisji. Jako, że by pokazać polityczne życie skłoterskiego Amsterdamu, pokrótce przedstawiłem już jedną dyskusję dodatkowo, tę trzecią, jeszcze dłuższą sobie podarujemy.

Miejsce w Hautsmie

Niestety. Rozmowy na temat otrzymania miejsca w klinice się przedłużały, aż czasem coraz bardziej wiadome stawało się, że kościół świętego Tomasza z Akwinu już nie utrzyma się długo, bo miasto zaplanowało go zburzyć i na jego miejscu wybudować socjalne mieszkania dla starszych ludzi. Wobec tego dla zaskłotowanego kościoła przyszłością była szybciej lub wolniej nadchodząca eksmisja.

Gdy Zet otrzymał wiadomość od Wista, iż możemy zrobić klinikę w Houtsmie „od zaraz” nie zastanawiając się długo szybko umówiliśmy się na spotkanie. Ulko oprowadził nas po całym miejscu i pokazał nam pokój, który moglibyśmy dostać. Houtsma wcześniej była „narzędziowym” supermarketem o tej samej nazwie. Nie było w niej za dużo gotowych pokoi, więc ludzie sami je pobudowali z dykty, dużych desek i wszystkiego, co udało im się znaleźć, a co przydało się jako materiał. My otrzymaliśmy właśnie jeden z takich pokoi po kimś kto się wyprowadził. Miał nawet piętro jednak Ulko powiedział, że on raczej by nie ryzykował wchodzenia na nie bez uprzedniego wzmocnienia. Na razie piętro mogliśmy używać jedynie do przechowywania nie zbyt ciężkich rzeczy. Oprócz wzmocnienia piętra pozostawało nam posprzątać, wstawić zamek, parę medycznych mebli, sprzęt doktora, po czym moglibyśmy się wprowadzać. Jeszcze w tym samym tygodniu zrobiłem, odbiłem i rozkleiłem po skłotach plakat informujący o godzinach przyjęć. Staruszek Zet zastanawiam się, w jaki sposób, bo nie wiem, czy ja, młody bym temu podołał, sam przywiózł bakficom meble i cały sprzęt doktorski. Barry wstawił nam zamek i od następnego wtorku klinika ruszyła.

Na początku mieliśmy pacjentów tylko z Houtsmie. Potrzeba było czasu by wieść się rozeszła. Barry przyszedł by mu opatrzyć rękę

- To chyba Ty możesz zrobić? - zapytał mnie doktor.

- Tak.

- W tej szufladzie trzymamy rzeczy pierwszej pomocy. Tu masz plastry i bandaże, tu betadinę by przeczyszczyć ranę. - wskazał. Umyłem ręce w pobliskiej łazience. Przy pomocy gazy wyczyściłem ranę, po czym przyłożyłem na nią drugą gazę, którą owinąłem bandażem zawijając też za kciuk tak by bandaż się nie zsuwał. Przy zawiązywaniu w taki specjalny, sprytny sposób trochę się pogubiłem

ale w końcu mi się udało. Nadzorujący Zet widząc to powiedział.

- Widzisz. Potrzebna Ci praktyka to nie będziesz się mylił.
- Nie robiłem tego od czasu kursu.

- Teraz będziesz miał okazję to robić częściej. - zaśmiał się Barry, gdy ja mu sprawdzałem, czy nie ścisnąłem ga za mocno poprzez naciśnięcie paznokci i zobaczenie, czy krew do nich powraca. Mimo tego, iż nie dotknąłem rany, dla formalności poszedłem umyć ręce.

Następnym pacjentem był Johny, który przyszedł, bo skończył mu się tlen dla astmatyków. Wyjaśnił, że ma astmę i czasami potrzebuje tlenu z tego wyglądającego jak doustny dezodorant konteneru. Inaczej nie był w stanie zatrzymać ataku tej choroby, który objawiał się nieprzyjemnym, nie przerwany kaszlem. Doktor Zet przepisał na różowej receptce nazwę preparatu i wyjaśnił Johnemu.

- Z tą receptą możesz dostać to w aptece za darmo.
- Dzięki – powiedział uśmiechnięty Johny wychodząc.
- Ty chyba tutaj mieszkasz ? - zdążył jeszcze zapytać Zet.
- Yhmyy.
- To jak Ci się skończy możesz przyjść bez problemu.

Gdy wyszedł Zet wyjaśnił mi, że te różowe, darmowe recepty dostaje z opieki zdrowotnej.

Homeopatia

Było to pewnego razu gdy robiliśmy benefit na Ulicznych Medyków (jednocześnie ostatnie party w Dupie na Sarphatistraat), bo potrzebowaliśmy pieniędzy by opłacić przelot Doca, na następny kurs, który chciał nam dać. Gdy robiłem bimerem projekcje z tego, co nagrałem w Amsterdamie (demonstracje, akcje skłoterskie, otwieranie drzwi, manifestacje, festiwale, teatry itp.), podszedł do mnie Thumb i przedstawił mi Ferrego:

- To jest Ferry, homeopata. Chciał pogadać z tobą o „Klinice Bez Papierów”.
- Ja jestem Marek Griks. Miło mi Cię poznać. - powiedziałem podając mu rękę.
- To Ty prowadzisz „Klinikę Bez Papierów” ?

- Nie. Ja jestem tylko asystentem doktora Zeta, który to jest oficjalnym domowym doktorem zachodniej medycyny i to on głównie ją prowadzi. Ja mu tylko pomagam jak tylko mogę i przy okazji się od niego uczę.

- Tu na ulotce jest napisane, że też jako Uliczni Medycy prowadzicie klinikę i lecycie ludzi

- Tak. Jestem także Ulicznym Medykiem i raz w tygodniu leczymy akupunkturą proste przypadki. Chińskiej medycyny uczy nas doktor z USA, Doc, na którego przelot staramy się zebrać pieniądze organizując ten benefit.

- I jesteście otwarci na wszystkich pacjentów ?

- Generalnie tak. Klinikę Bez Papierów reklamujemy na plakatach jako ostatnich lekarzy, którzy pozostają wierni przysiędze Hipokratesa, na którą przysięgają wszyscy doktorzy po zdaniu egzaminów. Jak pewnie wiesz obiecuje ona, że będzie się leczyło wszystkich, którzy będą potrzebowali pomocy bez względu na zapłatę, papiery, narodowość, stan itp.

- Tak też i ja leczę.

- Niestety, dzisiejszy system zmusza lekarzy by najpierw patrzyli na ubezpieczenie, papiery, pieniądze, a dopiero potem na człowieka, czy chorobę.

- No właśnie. Dobrze, że coś robicie w tym kierunku.

- Z kliniką Ulicznych Medyków nie możemy się reklamować gdy Doca nie ma wśród nas, bo nie mamy certyfikatów akupunktury. Jednak by się rozwijać musimy praktykować, a ludzie potrzebują pomocy. Leczymy więc ludzi głównie z naszego skłoterskiego środowiska, a wieść o nas wolimy by rozchodziła się bezpieczną, bo dyskretną drogą z ust do ust.

- I słusznie. Chciałbym Wam pomóc. Może mógłbym uczyć niektórych z Was homeopatii, albo może można by było zrobić homeopatyczną Klinikę Bez Papierów?

- Naprawdę ? To wspaniale. Co do reszty Ulicznych Medyków to zapytam, czy są zainteresowani nauką. Ja bardzo chętnie bym się dowiedział dużo więcej o homeopatii. Co do założenia

homeopatycznej Kliniki Bez Papierów, to jaknabardziej. Im więcej pomocy tym lepiej.

- A gdzie mogłoby być na to miejsce?

- W Film Akademii na Overtoom 301 mamy pokój zdrowia, który dzielimy pomiędzy Ulicznych Medyków, Klinikę Bez Papierów, Reiki, Jogę i masaże Shiatsu. Można by wygospodarować też czas na homeopatyczną Klinikę Bez Papierów z tym, że byłoby trzeba też brać udział w opłacaniu kosztów za miejsce.

- Ja mogę jedynie ofiarować moją pomoc i wiedzę. Nie stać mnie by do tego jeszcze dopłacać.

- Z tym nie powinno być problemu. Nie wynosi to więcej niż 10 euro za miesiąc i możemy to zorganizować jak z doktorem Zetem, że ludzie płacą dobrowolne datki do słoika.

- A dużo osób przychodzi ?

- Około 5 – 7 w każdy wtorek. Tak akurat by wypełnić dwie godziny. Wcześniej organizowaliśmy to na skłocie i nie musieliśmy płacić. Klinika jednak wymaga miejsca stałego. Jako Uliczni Medycy otrzymaliśmy możliwość zorganizowania tego miejsca. Zaprosiliśmy inne grupy by podzielić koszt i obowiązki oraz by dać innym możliwość rozwijania alternatywnych naturalnych medycyn.

- To kiedy mógłbym przyjść zobaczyć to miejsce ?

- Kiedy tylko chcesz. Możesz do mnie zadzwonić pod ten numer – po czym podałem mu mój numer telefonu.

- A tak żeby zobaczyć jak działa klinika ?

- Możesz przyjść koło 16.00 gdy skończymy obsługiwanie pacjentów. Wtedy zapoznam Cię z doktorem Zetem.

Tak o to zaczęła się moja przygoda z homeopatią. Ta nauka tak mnie zafascynowała, że wkrótce zdecydowałem się porzucić akupunkturę. Woląłem się skupić na jednej dziedzinie. Nie zajdzie się daleko podążając kilkoma drogami jednocześnie. Wciąż pomagałem doktorowi Zetowi, bo było to potrzebne. Wciąż mogłem uczyć się od niego szacunku do pacjentów i innych uniwersalnych rzeczy. Zet był otwarty na jakąkolwiek medycynę naturalną. Dostrzegał skutki uboczne zachodnich leków. Kiedyś nawet powiedział.

- Gdy ja się uczyłem medycyny, na zachodzie nie było jeszcze alternatywy. Teraz jestem już za stary by się przestawić na coś innego. Pomagam jak umiem. - i tak też robił ten człowiek o złotym srecu. Często się mnie pytał, czy nie mam może jakiejś homeopatycznej alternatywy. Wiedział, iż jeśli ktokolwiek przyjdzie z ranami to będzie dobrze jak dam mu/jej Arnikę.

Jendak gdy do Kliniki Bez Papierów przyłączył pielęgniarkę Dżek, stwierdziłem, że za ciasno dla nas trzech i poszedłem swoją drogą.

Ferry na początku uczył mnie homeopatii przynajmniej raz w tygodniu. Później przez pewien okres mieszkał u mnie w domu. Wówczas miałem okazję pobierać nauki całymi dniami. Gdy się wyprowadzał dał mi 36 podstawowych leków o potencji 30 CH i powiedział:

- Znasz już podstawy homeopatii klasycznej. Możesz leczyć lekkie przypadki. Te ciężkie jeszcze nie. Z tymi zawsze dzwoń do mnie.

Dalej uczył mnie przynajmniej raz na tydzień. Odbił mi książkę którą napisał. Były w niej charakterystyki psychologiczne podstawowych homeopatycznych leków. W pewnym momencie mi oznajmił:

- Nauczyłem Cię podstaw homeopatii klasycznej. Dalej musisz uczyć się sam. Poprzez praktykę, czytanie ... Tu daję Ci książkę, którą sam napisałem. Są w niej charakterystyki psychologiczne podstawowych leków. Czytaj ją, studiuj „Materię Medica” i praktykuj. Gdy nie będziesz czegoś wiedział, będziesz miał wątpliwości, pytania albo przypadek będzie za ciężki, zawsze możesz do mnie zadzwonić.

I tak też już zostało. Ferry kiedyś powiedział:

- To pudełko z lekami i twoja wiedza o homeopatii mogą się okazać twymi najlepszymi przyjaciółmi.

Coś w tym było, bo gdy byłem w jednym z najgorszych załamań mojego życia, nic mnie tak nie

podniosło na duchu jak dawka spotencjowanej soli morskiej (Natrum Muriaticum).

Był czas gdy rozwieszałem wszędzie mój numer telefonu, na umówione spotkanie oferując ludziom homeopatyczną Klinikę Bez Papierów. Ogólnie znajomi wiedzą, że lecę homeopatią. Najbliższą rodzinę lecę tylko homeopatycznie i dzięki temu żyjemy bardzo zdrowo od lat nie trując się żadnymi antybiotykami. Poprzez to, iż dawka leku homeopatycznego nakierowuje nasze ciało by samo się uzdrowiło czynimy naszą odporność silniejszą, a nie słabszą jak w zachodniej medycynie.

Czasem po pomoc przychodzą znajomi i wtedy też staram się jak mogę. Ma ukochana kiedyś się zapytała:

- Dlaczego nie pójdziesz na studia by zdobyć papier i móc robić to oficjalnie ?

Główną rzeczą, którą chcę w życiu robić, która daje mi najwięcej satysfakcji, w której jestem najlepszy (nie mylić najlepszy wśród ludzi lecz sam w sobie) jest pisanie. Na tym chcę się w życiu skupić. Tę umiejętność chcę pielęgnować i rozwijać. Pisanie jest moją drugą po miłości pasją. Aktywizm, rodzina podpierają je i wchodzą w ich skład. Homeopatia jest moim zainteresowaniem, jednym ze sposobów by pomagać sobie, rodzinie i innym. Jednak zdecydowałem się odsunąć ją troszeczkę na bok. „Można być klaunem wielu sztuk, a mistrzem żadnej” mawia moja ukochana, a ja w tym całkowicie się z nią zgadzam. Pisaniem mam marzenie leczyć cały świat. By dokonać tego homeopatią, musiałbym być drugim Hahnemanem. Oczywiście wciąż, w miarę możliwości lecę tych, co potrzebują pomocy.

Rainbow festiwal

Dedykowane wszelkim obrońcom przyrody i lepszego świata.

Piękna Pirenejów nie jestem w stanie opisać nawet w części. Trzeba je zobaczyć na własne oczy. Tak trudno też opisać wspaniałość festiwalu Rainbow(czyt.rejnboł=tęcza). Trzeba tam być, by to poczuć - ten przyjazny klimat, tę rodzinną atmosferę, to ciepło domowego ogniska, tę dobrą energię, którą obdarowywaliśmy się niczym bracia i siostry. Postaram się jednak choć trochę przybliżyć idee festiwalu Rainbow. To trwające przez miesiąc wydarzenie odbywa się co roku w innym kraju, często w górach, w lesie, w naturze, z dala od cywilizacji. Kiedyś nawet był w polskich Bieszczadach (z 10 lat temu). W tym roku był po francuskiej stronie Pirenejów w wiosce Refuge de Laurenzi, gdzieś na południe od Foix. Jedną z głównych niepisanych zasad festiwalu jest życie w zgodzie z przyrodą i z innymi ludźmi. Dlatego też wszyscy starają się żyć najbardziej ekologicznie jak tylko mogą. Kompost jest zbierany i zakopywany, a po części dawany osiołkowi, który skórki od melona uważa za przysmak. Ludzie załatwiają się w długich wykopanych dołach zakopywanych zaraz po każdym użyciu. Wszystko się rozkłada i nikt nie wchodzi w kupy jak na pierwszym lepszym przydrożnym kempingu. Niemalże nie do pomyślenia jest żeby ktokolwiek zostawiał za sobą śmieci. Na każdym innym festiwalu w którym bierze ponad 2000 ludzi jeśli nie są zatrudniani sprzątacze, ludzie niemalże toną w śmieciach. Nie tutaj. Może jakby ktoś się uparł to znalazłby jakiegoś śmiecia, ale na pewno nie prędko. Niektórzy ze swoją głęboką ekologią szokowali nawet mnie. Do umycia nie używali żadnej chemii, a zamiast tego myli się popiołem. Gdy zobaczyłem jak gościu zamiast pasty do umycia zębów też używa popiołu, na pewno zrobiłem duże oczy. Być może tak jest lepiej lecz ja jeszcze do tego nie dorosłem. Dlatego też niczym Indianie dbają o czystość domowego ogniska. Mój kolega bardzo się oburzał jak ktoś rzucił mu w ogień chociażby niedopałek papierosa. Miał rzeczywiście powód bo ciapaty, które lepiła jego żona smażył bezpośrednio na żarach ogniska. Z plastikiem, czy petem na pewno nie smakowałoby tak dobrze . Przez cały mój pobyt nie zauważyłem nawet by ktokolwiek pił mleko i jadł jajka, o mięsie nie wspomniawszy. Wszystkie kuchnie, nawet ta dla dzieci były wegańskie.

Nigdy w życiu nie widziałem by aż tyle osób odżywiało się w ten sposób .Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Lepszy świat jest możliwy - to jedno z piękniejszych spostrzeżeń, które nasunęły mi się na tym festiwalu. Żadnej policji, żadnych strażników porządku, w żadnej kuchni żadnych szefów, nikt bardziej uważany, żadnych panów, żadnych poddanych i co?

... i nikt się nie pozabijał, nikt się nawet nie pobił, nigdzie nie czułem się tak bezpieczny o swoją kamerę nie mając jej przy sobie. Jeden gościu tłumaczył żartem, gdzie jest schowane 6000 euro na jedzenie dla wszystkich na wypadek, gdyby ktoś chciał je ukraść. Oczywiście nikt nie chciał. Ta dobra aura, która unosiła się wszędzie powstrzymywała na pewno nie jednego złodzieja, przed złym czynem. To niemal niewyobrażalne, że podczas całego festiwalu nikt nie skarżył się, iż mu coś ukradli. Rzeczy które zgubiłem ja i moja córka kilka dni później znalazły się w pudle ze znalezionymi rzeczami. Piękne, a do tego prawdziwe. Jednak lepszy świat jest możliwy - po raz drugi. Najważniejszym i jednym z najpiękniejszych wydarzeń dnia było poranne i wieczorne „Food Circle”(koło jedzenia-tłum.), czyli wspólny wielki posiłek. Codziennie z rana dało się słyszeć okrzyk roznoszący się po całej dolinie: „Ludzie potrzebni w kuchni!!!” Czasami potem był powtarzany potem co jakiś czas, dotąd aż znaleźli się ochotnicy.

Główną kuchnię tworzyły plandeki rozpostarte na palach. To był dach, a pod dachem szerokie wykopane rowy, w których paliło się ognisko. Nad ogniskiem, nad rowami leżała żelazna krata, na której stawiało się garnki z potrawą do gotowania lub kładziono blachy, na których smażyono indiańskie ciapaty - najpopularniejszą potrawę na festiwalu. Z mąki i wody robisz ciasto, dodajesz przypraw (albo nie), rozwałkowujesz naleśniki, smażyysz na żarze, na blasze lub na patelni i w ten sposób otrzymujesz najprostszej roboty indiański chleb. Obok zbudowane były stoły, które robiły też za deski do krojenia. Było to bardzo praktyczne, szczególnie przy tej liczbie krojących i jedzących.

Wśród ochotników często także zdarzały się dzieci. Moja Nea przy kręceniu kulek została ochrzczona jako workoholic (pracoholic- tłum.) i była zawiedziona gdy robota się skończyła. Jak wszystko już było przygotowane kucharze oznajmiali krzykiem „food circle!!!”i sami zasiadali pierwsi do jedzenia. Każdy kto usłyszał ten okrzyk powtarzał go, przez co informacja roznosiła się szybko w najodleglejsze zakątki obozu. Powoli, bez pośpiechu na główną polanę zaczynali się schodzić ludzie i siadając obok siebie tworzyli najpierw jedno duże koło, a gdy te było już pełne przychodzący siadali już w drugim kole mniejszym lub większym. Tak wciąż oddaleni od siebie o 2-3 metry ludzie z dwóch różnych kół wciąż mogli się komunikować ze sobą. Kucharze zanim zjedli do końca, kilka razy przypominali opieszale, że food circle się już zaczął. Często się też zdarzało, iż ludzie w kole znecierpliwieni czekaniem sami krzyczeli food circle by ponaglić spóźnialskich. Gdy gotujący już podjedli, a głodni zgromadzili się w 2 kołach, kucharze przynosili jedzenie do znajdującego się w środku kół ogniska, wokół którego stawali trzymając się za ręce. Dwa pozostałe koła robiły to samo po czym zaczynaliśmy pieśń :

„to jest zgromadzenie...” -dalej zapomniałem, ale była to ładna piosenka.

Powtarzaliśmy tak kilkanaście razy aż do znudzenia, po czym każdy zaczynał nieprzerwanie wydawać z siebie jeden ton śpiewając powiedzmy ooooooumm z przerwami na oddech. To było niesamowite usłyszeć jak robi to ponad 1000 osób trzymających się za ręce, poczuć tę niesamowitą wibrację i uczucie jedności . Tego naprawdę nie da się opisać. Jedźcie to poczuć. Naprawdę warto. Gdy zmęczeni byliśmy już tym śpiewaniem, każdy pocałował na znak braterstwa rękę trzymanej osoby i czekaliśmy na swoją kolejkę . Kucharze i inni pomocnicy zaczęli rozdzielać jedzenie. Jedni roznosili ciapaty, drudzy jakiś ryż z warzywami, trzeci sałatkę. Szli z ogromnymi garami między dwoma rzędami ludzi (dwoma kołami) i pytali się głośno :

- Ciapaty po raz pierwszy.

- Sałatka drugi raz.

Na co odpowiadało wiele głosów:

-Ja chcę.

- Tutaj my nie mieliśmy pierwszego razu. - itp.

Na dokładkę trzeba było poczekać. Kucharze czasem nawet dwa razy obeszlili koło, by upewnić się, czy każdy otrzymał już pierwszą porcję. Tak więc nawet spóźnialscy mieli szansę się załapać. Godny podziwu był fakt, że rozdanie jedzenia odbyło się bez ani jednego plastikowego, jednorazowego śmiecia. Każdy przynosił własny talerz i problem z głowy. Niektórzy jedli z

wielkich płatów kory drzewnej lub z liści. Nie wiem, czy to z braku, czy też z potrzeby zbliżenia się do natury. Gdy całe jedzenie zostało rozdane i wszyscy najedli się do syta, w podróż dookoła wyruszył „magic hat” (magiczny kapelusz- tłum.) - grupa śpiewających, grających i roztańczonych muzyków oraz dzieci śpiewających coś w stylu „Wrzuć swój grosz do kapelusza”. Najczęściej szła z nimi dziewczynka, która zbierała do kapelusza dobrowolne datki. Tak to funkcjonowało - każdy dawał tyle na ile go było stać. Nie potrzeba było żadnej biurokracji, żadnych rozliczeń, zapisów itp. a wszystko tak pięknie funkcjonowało. Czyli lepszy świat jest możliwy-po raz trzeci. Gdy z piosenką na ustach obeszli ze dwa razy dookoła, kapelusz był już pełny. Często między rozdającymi przechodzili też ludzie, którzy coś ważnego mieli do zakomunikowania. Najczęściej zapraszali na warsztat jogi, medytacji, kalendarza Majów, ziołolecznictwa, szkół językowych itp. Czasem ktoś zapraszał na debatę o problemach wioski a czasem tak jak ja z Neą pytał się o podwiezienie do...

Po jedzeniu ludzie szczególnie wieczorem zapalali ogniska, grali na bębnach, na gitarach, tańczyli, śpiewali, robili performance, fajerszoły i przede wszystkim bawili się. I to jak się bawili. Dla niektórych nie do uwierzenia będzie fakt, że ta zabawa była bez alkoholu, który tak jak narkotyki były „zakazane” na festiwalu.

Lepszymi słowami w przypadku Rainbow byłoby „nie mile widziane”. Za to zapach gandzi unosił się dość często. Zapytasz dlaczego? A to dlatego, iż gandzia może ukierunkowywać twórczo, pozytywnie, pokojowo podczas gdy wódka działa raczej dezorientująco i wywołuje agresję.

Można napisać o tym książkę ale to już może ktoś inny...

Tylko raz zobaczyłem upitego gościa, który swym głupim zachowaniem zaczepiał i rozśmieszał ludzi. Myślę, że jak wytrzeźwieje, może odczuje i zrozumie że takie zachowanie nie jest tu mile widziane. Tak to tu działało. Dobrych rzeczy można było się nauczyć od innych, którzy je robili, złe nawyki można było się oduczyć od tych, którzy ich nie czynili. Gdy podchodzisz do jednego ogniska i częstują Cię herbatą, przy drugim częstują Cię też ciapatami i tak przy każdym, które napotkasz na twoim wieczornym spacerze. Co zrobisz gdy rozpalisz swe własne ognisko? Jeśli masz otwarte serce i szybko się uczysz zrobisz herbatę, skręcisz dzointa, zrobisz jedzenie itp. Wszystko po to by ugościć każdego kto do Ciebie zawita. Tak nauczyłeś się gościnności i teraz czujesz jakie to wspaniałe. Uczyc się być dobrym, przekazywać tę wiedzę innym. Doświadczać jak ekologicznie, przyjaźnie i dobrze jest żyć razem. To jedna z idei festiwalu.

Te 2000 ludzi żyjących bez bójek, bez narkomani, bez cywilizacji, będących razem jest dobrym przykładem na skuteczność tej nauki (=duchowej rewolucji ?). Jeśli zapytasz się o Rainbow to na pewno usłyszysz że to hipisowski festiwal. To prawda, która jednak uogólnia, bo ja uważam się za punka i sądzę, iż dobrze mi z tą rodziną Rainbow. W następnym roku planuję być na całym festiwalu. To fajnie mówić do siebie „bracie”, „siostrze”, to wspaniałe czuć się jedną, wielką, dobrą, ekologiczną rodziną. Na zakończenie dodam, że gdzieś istnieją tego typu wioski przez cały czas. Oczywiście mniejsze. Może kiedyś....

To wspaniałe wiedzieć , że można żyć inaczej !!!

Miłość

To jeden z najbardziej osobistych rozdziałów jakie napisałem. Moja ulubiona koszulka mówi, by być realistą, by żądać niemożliwego. Tylko czasami te „niemożliwe” jest także tym najbardziej niespodziewanym. W większości pisana była w bólu i niestety też często to ból przeze mnie przemawiał. Miłego czytania...mimo wszystko...

Piszę te słowa by uchwycić to, co jeszcze czuję. Zawsze chciałem napisać książkę o miłości i teraz mam to wielkie natchnienie oraz potrzebę rozpisania się na ten temat. Tym bardziej, że dopiero teraz przekonuje się czym jest moja miłość i jak silnym jest ona uczuciem. „...Ile Cię trzeba cenić ten tylko się dowie, kto Cię stracił.”
Zacznę od tego czym jest dla mnie miłość.

To uczucie tak mocne, iż może zrobić z silnego mężczyzny nawet pantoflarza, przy czym zadowolony jest on, że może tym uszczęśliwiać swoją ukochaną. Gdy się naprawdę kocha jest się w stanie zrobić wszystko dla swej(-go) wybranki(-ńca). Staje się ona(on) ważniejsza niż cały świat, nawet niż Ty sam. Jesteś w stanie poświęcić całe swoje życie, a nawet więcej tylko po to by w jakikolwiek sposób uszczęśliwić wybrankę(-ńca) twego serca. Nic innego nie może być ważniejsze, a jeśli jest, to miłość staje się zaniedbana. To bardzo złe dla miłości, bo wtedy niczym nie podlewany kwiat może ona uschnąć. Dlatego nie popełniamy tego błędu zaniedbywania miłości, nie odkładamy rzeczy na później, nie przedkładamy niczego przed nią, bo inaczej możecie tak jak ja obudzić się z ręką w nocniku. Dlatego jeśli coś nie gra w waszym związku, proszę, zamiast pójść na piwo z kolegami by sobie odreagować, lepiej zrób swej ukochanej romantyczny obiad. I nie czekaj z tym dłużej. Zrób to teraz, ona jest tego naprawdę warta, a chwile z nią są przecież najcenniejsze.

Ja przekonałem się o tym za późno. Po odrzuceniu. I uwierz mi: tysiąc krotnie milej wspominam chwile, kiedy ofiarowałem jej szczęście niż jakiegokolwiek inne. Żałuję jedynie, że było ich zbyt mało. Ileż bym dał by odwrócić czas. Zrobiłbym wszystko by naprawić moją głupotę, ignorancję oraz niewidzenie problemu wtedy kiedy było trzeba. Teraz klamka już zapadła. Janka twierdzi, że nic nie jest w stanie odwrócić sytuacji. Jednak jak ja mam jej uwierzyć skoro wciąż ją kocham. Dopóki miłość we mnie, dopóty będzie się tliła we mnie też nadzieja i nawet jeśli Janka katuje mnie powiedzeniem, iż „nie podlewany kwiat gdy uschnie nigdy nie odrodzi się na nowo”, to ja mam inne powiedzenie, że „Tam, gdzie kiedyś tlił się ogień jest jeszcze isierka, którą można rozdmuchać.”

Kiedy się kogoś kocha nie można nagle przestać go kochać gdy wszystko się skończyło. U mnie jest wręcz przeciwnie. Żałuję, że wcześniej nie kochałem jej aż tak mocno. Gdybyś wcześniej się mnie zapytał, czy jestem w stanie zmienić się dla niej, prawdopodobnie opowiedziałbym, że nie. Teraz po rozstaniu zrobiłbym dla niej wszystko. Nawet wiedząc, iż mnie już nie kocha, najlepszym zajęciem jakie uważam jest jej uszczęśliwianie. Myślę, że mógłbym to już robić do końca życia, gdyby tylko nie była zła na to.

Powiedziała bym znalazł sobie kobietę by zapomnieć lecz ja tego nie potrafię. Jak mógłbym to zrobić skoro właśnie ją kocham. Najgorsze rozwiązanie. Skrzywdziłbym tylko siebie, tę dziewczynę, a i Janka byłaby smutna. Wszystko bym zrobił dla Janki oprócz jednego: Nie przestanę jej kochać. Czy w ogóle można ot tak sobie przestać kogoś kochać ? Myślę, iż jeśli naprawdę się kogoś miłuje, nie da się tego ot tak po prostu stłumić. To moje uczucie. Szczere i mocne. Budowane przez długi czas. Czy jeśli z niego zrezygnuje, to czy nie stanę się nieczułym „macho”, który nie potrafi kochać ? Bo co to za miłość, z której ktoś rezygnuje kiedy ktoś sugeruje koniec ? Janka mówi, że zasługuje na lepszą kobietę, ale ja pytam jaką lepszą skoro dla mnie tylko Ona jest najlepsza ? Taka jaka jest. Wraz z jej wadami, których postaram się już nie widzieć nigdy więcej.

Inne kobiety nie istnieją dla mnie skoro tylko ją miłuję. Kolega poradził mi bym spróbował seksu, by o niej zapomnieć. Jednak rzygać mi się chce na takie rozwiązanie. Po pierwsze: Po tym odkąd poczułem jak bardzo to może boleć to już nigdy nie zdradzę mej ukochanej. Ktoś w jakimś filmie powiedział: „Jest coś gorszego niż gwałt – jest to zdrada.” Na pewno to ciężkie porównanie, ale odzwierciedla poczucie bólu jakie może wywołać zdrada ukochanej osoby.

Po drugie: po tym jak Janka skończyła ze mną, nie masturbowałem się już prawie dwa tygodnie, co jest dla mnie rekordem od ponad dziesięciu lat. Niegdyś masturbacja była dla mnie najlepszym środkiem nasennym. Teraz już zasypiam bez tego. Nie wiem, co miałbym sobie wyobrażać. Obecnie kobiety ? Przestały mnie interesować. Zacząłem o nich nawet myśleć „wrogo” - szczególnie gdy próbują mnie poderwać. Oddałem wszystkie moje „świerszyczki”, z obrzydzeniem myśląc o sobie, że mogłem tym wyrządzać krzywdę Jance. Postanowiłem już nigdy więcej nie oglądać tych bzdur. Powodują one głupie relacje. Czasami dziwiłem się czemu Janka nie jest przeciwna. Czasem nawet trochę chciałem by mi zrobiła o to awanturę, a ja miałbym wtedy dobry powód by wyrzucić te śmieci.

Szkoda, że te wszystkie błędy dostrzegłem zbyt późno. Szkoda, iż cały czas byłem tak pewny tego, że mnie kocha, iż w momencie kłótni nie dostrzegałem, że problemy, które Ona porusza trzeba naprawić, bo są poważne. Zawsze myślałem, iż jutro jej przejdzie, że jutro zacznie działać lek homeopatyczny, który ją uspokoi, który zatrzyma jej potok narzekań, których nie brałem serio. Jakiż głupi byłem. Jakże się oszukiwałem, że wszystko będzie dobrze, albo iż jestem taki dobry, bo pomagam innym zamiast jej. Jak mogłem szczyścić się tym jaki jestem szlachetny dla innych podczas gdy ją wykorzystywałem. Aż wstyd mi przyznać lecz dopiero teraz poznałem jak wiele czasu poświęcała ta cudowna kobieta dla naszej rodziny. Ja zamiast pomagać jej, pomagałem innym i teraz gdy przejrzałem na oczy, strasznie się z tym czuję. Jak mogłem ją wykorzystywać przez ten cały czas, a potem dziwić się, że za dużo narzeka, iż nie umiem nawet po sobie posprzątać. Janka miała więcej powodów do narzekań, a ja zamiast je rozpatrzeć, nagminnie je ignorowałem. Wstyd mi, że za te wszystkie prania, sprzątania i zmywania, nie potrafiłem nawet przybić gwoździa, a nawet jak coś takiego zrobiłem, to myślałem, iż po tym należy mi się spokój „przynajmniej na pół roku”. Wstyd mi też za to, że nie wspierałem jej wystarczająco finansowo. Ostatnimi czasy to Ona raczej mnie utrzymywała. Jak mogłem ? Przecież jest jej tak ciężko, a ja zamiast jej pomóc, to jeszcze się z nią kłóciłem, że przecież robię wystarczająco dużo (a tak na prawdę prawie nic).

Tak bardzo chciałem jej to wynagrodzić. Ciężko jest wynagrodzić 7 lat, ale przynajmniej będę się starał. Bo co, jak nie staranie mi pozostało ? Teraz mogę jedynie próbować, by jej życie było łatwiejsze, przyjemniejsze i szczęśliwsze. Cieszy mnie to, że pozwoliła mi zbudować dla niej ścianę, cieszy mnie każde pranie, każde odkurzanie, które mogę dla niej zrobić. Mógłbym, chciałbym pomagać jej do końca życia. Aby tylko mi na to pozwoliła. Chciałem jej dać 300 euro by mogła zapłacić za studia, lecz teraz już nie chce ich przyjąć. Może dlatego, iż pożyczyłem je od mojej Mamy. Albo może raczej dlatego, iż Ona nie akceptuje tego, że ja się dla niej staram. Nie akceptuje tego, że cokolwiek robię dla niej z miłości. Oszukuje ją, iż robię to tylko dla siebie by jak najszybciej poczuć się w porządku, by wyprać swoje sumienie. Po części jest to prawda. Jednak nie cała i ona też to widzi, bo wcale nie chce bym coś dla niej robił, bo wie iż robię to z miłości. Najbardziej okrutne wydało mi się gdy powiedziała, że boli ją to iż ją kocham. Nie chciałbym by cierpiała przeze mnie dlatego niezręcznie zatajam całą prawdę. Mogła mnie wyprosić z łóżka, mogła mnie wyprosić z domu, może mnie wyprosić ze swego życia ale nie może mi zakazać kochać. Boję się, że może mnie znienawidzić za tę moją miłość. To bardzo boli.

Dlaczego tak długo przymierzałem się do książki „Kobiety są z Wenus. Mężczyźni są z Marsa.” Może wówczas, po jej przeczytaniu dostrzegłbym to, co teraz widzę, że kobiety są inne. Pragną bezpieczeństwa, stabilności i szukają jakiegoś oparcia. Ja zamiast jej to dać potrafiłem jedynie pieprzyć, że jej ciągle zamartwianie się jest niezdrowe. Z głupią naiwnością oczekiwałem, że lek zacznie działać i nagle Janka przestanie się martwić. Jednak lek, którego wybór był nie trafny, nie mógł zadziałać. Po drugie złamałem podstawową zasadę homeopatii: Nie można leczyć skutków bez leczenia przyczyny. Ta przyczyna leżała we mnie. To ja mogłem sprawić, by przestała się martwić. Wystarczyło założyć światełka na rower lub czasem zadzwonić by się nie martwiła. Ja zamiast tego stwierdziłem, że telefon jest mi zupełnie nie potrzebny, zapominając, iż to ona mi go niegdyś dała, prosząc bym go nosił, by nie musiała się martwić. Jakiż byłem nie czuły i głupi. Jak mogłem sprawić, iż nie obdarowywałem jej wystarczającą miłością ? Chciałbym być najlepszy jak tylko mogę, gdyby mi tylko na to pozwoliła.

Jutro minęłoby siedem lat odkąd jesteśmy razem. „Siedem” - taka magiczna liczba. Słowo honoru. Tak bardzo chciałem przygotować specjalny, romantyczny wieczór z pyszną kolacją, ze świeczkami, ze spokojną muzyką i przytulanymi tańcami. Nawet wiązałem nadzieję z tym dniem. Myślałem: „Trochę nie układa nam się ostatnio ale po tym święcie na pewno się poprawi.” Zapomniałem, że miłość należy pielęgnować codziennie, nie tylko w łóżku ale też w dzieleniu się trudami powszechnego życia.

Janka raz powiedziała, że to już siedem lat się ze mną męczyła i jest to dla mnie bardzo bolesne. Jakim ch...m musiałem być skoro tak twierdzi. Może jestem ch...m, a to tylko mnie wydaje się, iż

jestem dobrym. Nie mam przyjaciół, a jak mam to chyba tylko takich, którzy jadą na mojej pomocy. Nie odzywa się do mnie prawie cały dom w którym mieszkam. Czasami wydaje mi się, że wszyscy gadają o mnie za moimi plecami. Wszystkie rzeczy mi się sypią i nie znam ani jednej osoby, do której nie odzywało by się aż tylu ludzi co do mnie. Z drugiej strony to też mam także dużo dobrych cech, a najważniejsza to, iż pracuję nad sobą. Cały czas staram się zmieniać siebie na lepsze. Janka powiedziała, że to za wolno. No cóż. Staram się jak mogę. Jak dla mnie to osiągnąłem duże postępy. Gdy pomyślę, jak kiedyś psychicznie znęcałem się nad Neą, to nie dziwię się Dorocie, a wręcz szanuję ją za to, że jako jedyna z zewnątrz robiła mi o to jazdy. Nadal nie uważam się za idealnego rodzica ale przynajmniej staram się jak tylko mogę i cieszy mnie to, że chyba jestem coraz lepszy. Dużo pomaga mi w tym praca w szkole i to, iż Nea dorasta do wieku, w którym coraz bardziej się rozumiemy. Dobrze jest dla młodego rodzica trochę popraktykować w pracy. Szkoda i bardzo żałuję mojego wcześniejszego podejścia do życia. Wydawało mi się, że najlepiej zminimalizować wszystkie swoje wymogi i wtedy nie będę potrzebował żadnej pracy ani pieniędzy. Działo się to w okresie, kiedy Janka prosiła mnie o pomoc w życiu, bo chodziła do dwóch szkół i musiała za nie płacić. Ja w tym czasie mimo, że jej to obiecałem, nie zrobiłem nic by wywiązać się z mych słów. Ponadto gdy Michał zaproponował mi pracę to ja z moim idiotycznym motto opowiedziałem mu, iż ja przecież nie potrzebuje pracy, bo mi się jedzenie psuje w lodówce. Zapomniałem, że w małżeństwie powinien istnieć podział na role, że nie może być tak, iż jedna osoba robi co chce, a druga nie dosyć, że uczęszcza do dwóch szkół to jeszcze wszystko inne jak utrzymywanie rodziny, trzymanie porządku oraz inne prace domowe spadają na jej barki.

Jednak w tym moim egoistycznym zidioceniu czasem miewałem przebliski dobrych pomysłów. Bardzo mi się podobała idea pomagania Jance w pracy. Naprawdę, szczerze chciałem jej pomagać. Szkoda, że nie zacząłem od naszego domu. Może dlatego Janka nie pytała się mnie o to już więcej. Bardzo chciałbym odwrócić trochę tę sytuację. Chciałbym znaleźć jakąkolwiek pracę, dzięki której mógłbym pomóc Jance i dać jej choć trochę odpocząć. Nie ukrywam, że szukam innej pracy, ale dla niej mógłbym nawet tyrać na budowie od świtu do zmierzchu. Tak żałuję tych wszystkich kłótni, w których to Ona miała często rację.

Teraz gdy wiem już wszystko. Proszę Cię Janko tylko o jedno. Zostań moją przyjaciółką i daj sobie pomagać oraz pokazać mi się od mej dobrej strony. Siedem lat to długo i myślę, że zmarnujemy ten czas jeśli nie nauczymy się czegoś. To bardzo ważne dla mnie byśmy zostali przyjaciółmi, bo tak naprawdę to oprócz Ciebie, sama widzisz ilu ich mam. Ja chciałbym wynieść z tej porażki mój nowy charakter. Chcę w przyszłości umieć darzyć kobiety tymi rzeczami, co zaniedbałem u Ciebie. Pomóż proszę mi się tego nauczyć. Jak nauczę się pomagać Tobie oraz szanować twoje zmartwienia itp. to może jeszcze kiedyś będę w związku, który się nie rozleci przeze mnie. I wiesz, iż Ty także możesz mi pomóc i bardzo tego potrzebuję. W ciągu ostatnich miesięcy, czy dni wszystko mi się pieprzy. Dlatego przestałem przypalać by uporządkować swoje życie. Ty, jako przyszła resocjalizatorka, mogłabyś mi pomóc w tych ciężkich chwilach. Zamiast mówić mi, że to moja wina jak coś się sypie, wskaż mi błąd i naucz jak go nie popełniać. Ostatnio bardzo mnie bolały komentarze typu : „, Dziwisz się...” . Tym bardziej, że to nie moja wina. Każdy upadek powinien nas czegoś nauczyć. Mnie to wszystko nauczyło wiele. Nie chciałbym tego wszystkiego zmarnować w alkoholu, we wrogości do Twego faceta i do Ciebie. Pragnąłbym wypracować inną drogę. Żal mi się robi jak patrzę na Darka, czy Zdenka. Nie chcę by się kończyło w taki sposób. Dlatego proszę Cię o tę drogę, w imię przyjaźni i pokoju. To bardzo ciężki gest pojednać się z nowym kolesiem ex żony. Jednak ja przewyciężam się by zrobić ten krok. Dlatego proszę Cię: zapomnij, iż Cię kocham, a z czasem może ja też o tym zapomnę. Takich rzeczy po prostu nie można na siłę.

Dzisiaj śniłście mi się. Wchodzę do domu, a tu siedzicie przytuleni kolanami. Na to mówię:

- Co szczęściarz ?- on się na to trochę przestarszył, na co ja zaraz dodałem:

- Nie bój się. Dopóki jej nie krzywdzisz nic Ci nie grozi. - i po tym się obudziłem.

Wczoraj Ci powiedziałem, że nie chcę byś cierpiała przez to, że ja cierpię. Dlatego też staram się

jak mogę to ukrywać. Twardzielem jednak nie jestem i czasem nie wytrzymuję i wybucham płaczem. Jednak nie przejmuj się tym proszę.

Bardzo się tego wstydzę, bo naprawdę nie chcę się nad sobą użalać. Nie wiem po co to wszystko piszę.

Jeśli kiedykolwiek wrócisz do mnie podziękuję Bogu, że ta sytuacja pozwoliła mi przejrzeć na oczy, iż nie obdarowywałem Cię wystarczająco miłością. Haniebnie to zaniedbałem. Byłaś dla mnie boginią lecz szkoda, że Ci tego nigdy nie powiedziałem ani nie okazałem. Zbyt bardzo zaufałem temu co robię. Zawsze starałem się robić dobrze dla ludzi. Szkoda tylko, iż zapomniałem o Tobie. Teraz Ty masz prawo zapomnieć o mnie. Zrób tak. Idź za głosem serca. Nie przejmuj się mną, bo ja zasłużyłem na karę od Ciebie. Bądź szczęśliwa to ja także będę szczęśliwszy przez to, że nie przyczyniam się do twego cierpienia. Proszę Cię też o to, byś dała mi sobie pomagać. Starać się być dobry dla Was. Tylko to mi zostało i tylko to mnie teraz cieszy w moim życiu. Boli mnie czasem, iż mimo tego nie wychodzi tak jak bym chciał. Boli mnie, że narzekasz, że coś jest jeszcze gorzej. Jednak teraz, mimo tego, że to boli, widzę też dobrą stronę tego narzekania. Wiem wtedy przynajmniej co mam posprzątać.

3.4.XII 2004

Ty chyba myślisz, iż ja robię to wszystko na pokaz, tylko po to byś do mnie wróciła. Pewnie myślisz, że po miesiącu wszystko byłoby tak samo, iż gdybym osiągnął swój cel to przestałbym się starać. Masz prawo tak myśleć. Tyle razy coś obiecywałem, tyle razy mówiłem o poprawie, a tak na prawdę nie wiele z tego wychodziło. Jednak uwierz mi: Tym razem jest naprawdę inaczej. Ja naprawdę zrozumiałem swoje błędy. Szkoda, że za późno. Jeśli ktoś żałuje tego co robił, to chyba nie będzie się powtarzał, by znowu żałować. Myślisz, iż Cię oszukuję mówiąc, że teraz chciałbym Ci całe życie okazywać, że jesteś dla mnie najważniejsza. Musisz wiedzieć, że w niczym Cię nie okłamuję. Nie jestem taki. Wiem, iż to może tak trochę wyglądać np. wciąż obecne świerszczyki mimo iż powiedziałem Ci, że je oddałem. Trochę się wkurzyłem na Koszula, iż ich zapomniał. Jeśli chodzi o palenie, to by być szczerzy przestałem palić po to także, by uporządkować swoje życie. Nie ukrywam, że jak już je sobie poukładałem, to jeszcze sobie nie raz zapalę. Jednak na pewno nie będę robił tego całymi dniami. Zresztą teraz odkryłem, iż jeśli się to robi non stop to, już tak nie cieszy jak kiedyś. Stało się to zwykłą rutyną dla mnie i może mnie w pewien sposób relaksowało jednak było zbyt normalne by było wciąż atrakcyjne. Dlatego też, iż po paleniu miałem mniej więcej i tak „normalnie” to teraz gdy mam „rzeczywiście normalnie”, nie widzę prawie żadnej różnicy. Zrozumiałem, że jeśli będę palił raz na miesiąc, specjalnie by się pobawić, to pewnie będę miał większą radochę niż jakbym kurzył przez cały miesiąc. Zresztą zauważyłem też, iż jak się pali codziennie, to tak naprawdę duża część życia upływa nie tylko na kręceniu dzointów ale także na kręceniu się wokół nich. Ja jestem osobą, która lubi coś robić więc nie chcę już więcej tracić czasu i energii na te sprawy. Nie chcę by życie przeciekało mi przez palce. Nie chcę by przez to, że nie umiem trzeźwo spojrzeć na świat, grunt usuwał mi się spod nóg, podczas gdy ja nawet nie umiem ocenić dlaczego tak się dzieje. Teraz widzę, iż jakbym nie spędzał tak dużo czasu na rzeczach wokół palenia, nie zaniedbałbym tych wszystkich, które mi się teraz sypią. Tyle rzeczy w moim życiu nie wypaliło, nie zostało ukończonych przez to, że nie jestem zorganizowany. Ja nie jestem z tych osób, co chciałyby spędzać życie przy stoliku. Nie mam nic przeciwko nim. To ich wybór jak chcą przeżyć swoje życie. Nadal uważam ten wybór za lepszy niż narkotyczne gromadzenie pieniędzy oraz dóbr materialnych. Pieniądze powinny być środkiem umożliwiającym wymianę naszej pracy, a nie celem samym w sobie do tego stopnia, że sprawia, iż rodzice zapominają o swych dzieciach.

By nie być kłamcą, muszę zaznaczyć, że na zrozumienie powyższej prawdy w dużym stopniu wpłynęła marihuana. Poza tym miała także pozytywny wpływ w innych dziedzinach mego życia. Tak jak napisałem w którejś „Makulatureczce” : Dziękuję gandzi, że nie stałem się biznesmenem robiącym kasę. Nadal widzę jej pozytywny wpływ na świat, co widać np. gdy porównamy agresję w Warszawie z amsterdamską, której prawie nie ma. Jednak teraz rozumiem też bardziej słowa

mego Taty: „Wszystko jest dla ludzi jednak trzeba umieć z tego korzystać i nie wolno przesadzać.” To tyle na temat marihuany.

O tym, że moja zmiana jest nie okresowa świadczy także fakt, że pracy zacząłem szukać takiej, która by mnie interesowała. Po tym jak trudno ją znaleźć widzę, iż być może masz rację, że błędę w obłokach. Jednak tak jak Ty wierzysz, że nie będziesz całe życie sprzątać, to ja też wierzę, iż kiedyś ją znajdę. Dzisiaj jednak, po dwóch tygodniach starania się, po rozwieszeniu i rozdaniu ponad 50 – ciu moich CV i po rozesłaniu drugiego tyle, dochodzę do wniosku, że muszę się skupić na znalezieniu pracy nawet takiej, która mnie nie interesuje. W zasadzie to już wcześniej w CV zaznaczyłem, iż tego typu pracy szukam także. Jeśli bym ją znalazł, niezależność finansowa dałaby mi to, że w wolnych chwilach mógłbym robić to, co lubię. Jednak teraz będę większą rolę przykładal by znaleźć jakąkolwiek pracę, bo naprawdę jej potrzebuję i nie mogę już dłużej czekać aż „moja książka” i pisanie stanie się dobrze płatną pracą (nie jest to jej głównym celem) Żałuję bardzo iż zbyt mało rzeczy robiliśmy razem. Jaka to szkoda, że kiedyś gdy pojechałem z tobą do biura, ktoś tam był i nie poszliśmy sprzątać razem. Może wtedy wspólnie docenilibyśmy jak ważne i przyjemne jest robienie czegoś razem, jak istotnym jest by pomagać sobie nawzajem. Potem wołałaś już brać Dorotę. Wcale się Tobie nie dziwię skoro ja nie potrafiłem nawet posprzątać po sobie. Bardzo podobało mi się to jak brałaś mnie do „Bitter Zoet” bym Ci pomógł tam wysiedzieć. Bardzo miłe wspominać jak Ty chciałaś pomóc chłopakom kupić kadaster, dokument potrzebny do skłotowania. Wspaniale było jak oboje staraliśmy się im pomóc. Jako „resocjalizacyjny zespół” chyba (mam nadzieję) dalej stanowimy coś mocnego w tym temacie. Wystarczy zapytać Koszula jak wiele mu pomogliśmy. Także pisanie razem prac to też jedna z naszych mocnych stron, których efekty widać po twoich dobrych ocenach. Jednak tych rzeczy było za mało z mojej strony. Z twojej nie, bo przecież przez siedem lat głównie to Ty robiłaś prace domowe, a ja byłem na tyle ślepy, iż uważałem, że skoro robię dobrze to robię dobrze, iż pomoc komuś innemu jest ważniejsza niż jakieś tam przyziemne zmywanie. Niestety, zapomniałem, że Cię wykorzystuję.

Szkoda, iż nie potrafiłem poprowadzić naszego życia tak, byśmy nawzajem się wypełniali. Przecież gdybym więcej czasu Ci poświęcał, gdybym Ci pomagał to może Ty też byś bardziej chciała bym dzielił się z Tobą moimi projektami. Może nadal skłoting uważałyś za coś interesującego jeśli nie doprowadziłbym do stanu, że uważasz, iż obiera Ci on męża. Jak mogłem doprowadzić do sytuacji, że uważasz, iż inne rzeczy są dla mnie ważniejsze kiedy na prawdę nigdy tak nie było. Jest mi wstyd, że nie potrafiłem Ci tego okazać. Zawsze szukałem osoby, która razem ze mną może robić rzeczy, które mnie interesują. Zawsze szukałem przyjaciela, który razem ze mną będzie realizował różne pomysły. Jakież ślepy byłem, że ta osoba była zawsze tak blisko. Wystarczyło tylko zacząć pomagać Ci także w twoim działaniu. Zapomniałem, iż Ty także masz swój projekt i że nie można czekać tylko na kogoś, kto będzie się interesował jedynie tym, co ciekawi mnie. Tym bardziej, iż to, co Ty robisz, ja naprawdę uważam za dobre. Nie jest to droga, którą ja bym obrał. Nie jest to rzecz, na której ja bym się skupił, ale wciąż jest to coś, co w Tobie podziwiam i żałuję, że tak mało Cię w tym wspierałem.

Wciąż jednak wierzę, iż jak tylko byśmy chcieli to nadal moglibyśmy stworzyć „zespół”, w którym ja tym razem bardziej bym wspierał to, co robisz, a nie tylko Cię wykorzystywał.

Wiem, że teraz to nie możliwe ale marzę byśmy chociaż zostali przyjaciółmi i byś dała mi sobie pomagać.

Aha ! Nie przejmuj się proszę tym, że cierpię. Jeśli Ty przeze mnie cierpiałaś to teraz mi się należy. „Litość to ostatnia rzecz, którą chciałbym wywołać.” - coś takiego miałem kiedyś nawet napisane na tabliczce gdy grałem na ulicy. Dlatego też mimo wszystko staram się cieszyć z życia.

9 XII Wiesz, pisanie to wygodny sposób przekazu. Można wtedy zapanować nad emocjami. Można, a nawet trzeba przemyśleć każde zdanie by nie popełnić błędu. Nie wiem, czy wiesz ale w przeciętnej rozmowie emocje mają większe znaczenie niż sens wypowiedzianych słów. Częściej to, co mówimy jest mniej ważne niż ton jakim to wypowiadamy. Tak działa (dzieje) się także u nas.

Wszystkie twoje prośby odbierałem jako atak na moją osobę, więc zamiast rozpatrzeć wszystko na spokojnie zwykle kontraatakowałem. Ty z kolei na kontratak nie byłaś bierna, więc nie dziwne, że nasze życie wyglądało czasem jak pole bitwy. Dlaczego dopiero teraz tak dużo zrozumiałem ? Bo wszystko rozpatrzuję na spokojnie. Tak bardzo staram się nie denerwować bo „nerwy nie załatwią niczego. Nerwy to najgorsza droga.” (Złodzieje Rowerów). Jednak w tych czasach ciężko jest się nie denerwować. Szczególnie, że wszystko zwały mi się na głowę i nie mam czasu nawet się wypaść. Dodając do tego jeszcze cały ten stres wywołany sytuacją między nami to, to iż nie chodzi jak bomba zegarowa może świadczyć o tym jak bardzo się staram. Jednak jak każdy, jestem tylko człowiekiem i wciąż jeszcze mi się zdarza podnieść głos, czy się rozpłakać. Jest mi wstyd z tego powodu jednak wciąż próbuję, wciąż się staram, wciąż pracuję nad sobą i wciąż się nie poddaję. Czasem jest bardzo ciężko, tak jak np. dziś kiedy to musiałem Cię prosić o spędzenie świąt razem z Wami. Zrozum cała ta sytuacja i tak jest dla mnie bardzo ciężka więc po co ją jeszcze utrudniać jakimiś „bólącymi” pytaniami. Przecież widzisz, że ja też nie chcę Ci w niczym utrudniać. Zrobię tak byś była szczęśliwa. Nawet wyprowadzę się z tego miejsca, gdzie tak bardzo ostatnio czuję DOM. Aż mi głupio, że mogłem myśleć i chcieć się stąd wyprowadzić. To kolejny przykład jak emocje mogą wziąć górę nad zdrowym rozsądkiem.

Nawet jeśli te wszystkie moje starania nie przyniosą żadnego skutku to obiecałem sobie, że przynajmniej Nea będzie miała korzyść z tego, co ja nauczyłem się w tej sytuacji. Myślę, iż to pomoże nam zostać przyjaciółmi jeśli oboje nauczymy się panować nad nerwami. Zrozumiałem, że często lepiej jest się przytulić niż się kłócić. Jak się z Neą przytulimy to miłość zawsze znajdzie jakąś okrężną drogę by rozwiązać problem. Wiem, że z moim charakterem będzie trudno się przestawić. Muszę jednak próbować w innym bowiem razie Tato będzie „panem czepialskim”, a nie tak jak się stara przyjacielem. Na dobry początek za radą jednej doświadczonej mamy, zrezygnowałem z dawania kar, bo to nie jest wcale miłe, a na dłuższą metę również nie skuteczne. Wymazałem te słowo z wychowania Ney i bardzo się cieszę, że zrobiłem ten pierwszy krok. Będę się starał i proszę zwróć mi uwagę na wszystko co robię źle. Tylko proszę zastanów się najpierw jak to zrobić bym nie odebrał tego jako ataku na moją osobę.

11 XII 04

To wielka szkoda, że nie mogę Ci napisać ani powiedzieć wszystkiego. Niestety. Do niektórych prawd musisz dojść sama. Ja Ci w tym naprawdę nie mogę pomóc. Nie nalegaj i nie denerwuj się na mnie, że nie dokańczam tego, co zacząłem (?), bo ja mogę Ci życzyć tylko szczęścia.

12 XII 04

Wcale Ci się nie dziwię, że nie wierzysz mi, że się zmieniłem na stałe. Już raz Ci pokazywałem, że się zmieniłem. Już raz Ci obiecywałem, że nigdy nie będę na Ciebie krzyczał, a tak naprawdę po jakimś czasie wszystko było gorzej. Dlatego nie będę Ci już nic obiecywał, bo wiem, iż moje słowa straciły już swoją wagę. Całe szczęście, że Nea była malutka i jej jeszcze nic nie obiecywałem. Teraz mam szansę chociaż dla niej dotrzymać słowa. To dobrze, że chociaż dla niej mam szansę zrobić wszystko tak jak obiecuję.

14 XII 04 2.30

Jedno z przebudzeń w środku nocy gdy Cię nie ma. Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu przewracać się z boku na bok mając pretensję do Boga, iż w ten sposób męczę się jeszcze bardziej. Nie ma sensu marnować tej cennej, dobrej energii, którą mam w sobie i którą odkryłem dzięki temu rozstaniu. To duże szczęście w nieszczęściu, że tak wiele rzeczy nauczyłem się i zrozumiałem po tym kopie od życia. Dobra energia to coś wspaniałego w środku nas, coś dobrego czego nie warto psuć poprzez złość, krzyk, rywalizację i inne złe uczucia, rzeczy oraz grzechy. Chociaż byłem blisko, to chyba dużo pomógł mi w dostrzeżeniu tego Ryjek – ostatnia osoba, którą bym podejrzewał o jakąkolwiek pomoc. Tak bardzo nie znałem tego typu. Człowiek się uczy całe życie. Myślę, że jeśli do wszystkiego, co w życiu robimy włożymy najlepszą dobrą energię jaką w sobie mamy to możemy otrzymać z tego też najlepszy efekt. Przyczyną, iż tyle rzeczy w życiu mi nie

wyszło jest to, że wkładałem w nie za mało tej dobrej energii. Działo się to często z lenistwa ale także często przez to, że nie miałem jej zbyt dużo, bo tak często marnowałem ją na złość krzyk itp. złe rzeczy. Stres to chyba coś, co zjada człowieka od środka. Chyba za pomocą dobrej energii, która jest jego przeciwieństwem można sobie z nim poradzić.

Widzisz ? Jeszcze nie jest tak ze mną źle jak niektórzy myślą. „Nie ważne jest jak lecis. Ważne jest jak spadasz.” (cytata z filmu „Nienawiść” – polecam.) i czy potrafisz się podnieść. Najlepiej z podniesioną głową. Lecz na to nie zawsze pozwala nam smutek, czy poczucie winy.

Trochę boli mnie jak widzę twój stres, twą nieświadomość w twoim życiu. Głównie chodzi mi tu o wychowanie Ney, bo jak będziesz budować swoje szczęście to twoje życie. Jeśli nawet ja potrafiłem wyrzucić krzyk z jej wychowania, to uwierz mi, że Ty też możesz. I uwierz mi także, że Ty też na tym zyskasz. Nie będziesz tłumiła w sobie złości. Nie będziesz marnowała swej dobrej energii. Nie zapominaj, iż dobry rodzic to rodzic przyjaciel, a przyjaźni tak jak miłości nie budujemy krzykiem. Paradoksalnie mówi Ci to człowiek, który zmarnował tak piękny (przynajmniej dla mnie) związek przez krzyczenie. Szkoda, że człowiek czasem uczy się na błędach i że czasem musi dostać ostrego kopa od życia by cokolwiek zrozumieć.

Drugi błąd, który oboje popełniamy i który myślę także przyczynił się do upadku naszego małżeństwa, to ten, iż pędzimy jak głupki przez życie, często nie mając chwili czasu, by nad czymkolwiek się zastanowić. Przyznaję, że do czasu kiedy to zrozumiałem, ja też byłem dużą przyczyną tego, iż się przepracowywałaś. Jednak teraz, gdy staram się Ci pomóc jak tylko potrafię i na tyle ile mi pozwalasz, Ty nadal wracasz strudzona i zła na to, że dalej jestem smutny. To duży plus, iż potrafisz znaleźć czas na romantyczną chwilę. To już jakiś postęp. Jednak martwi mnie to, że wciąż nie możesz znaleźć czasu by pójść z Neą na spacer. Nie twierdzę, iż jestem w tym lepszy jednak sama wiesz czym jestem teraz zajęty. Może jakbyś dała mi sobie czasem pomóc w pracy to pogodzilibyśmy jakoś te zajęcia. Oczywiście nie musisz jeśli masz się z tym źle czuć.

Nie odbieraj mnie jak bym się czepiał. Ja tylko chciałbym Ci dać kilka rad od serca.

Miłości nie da się kupić. Uwierz mi. Nei dużo bardziej potrzebny jest czas spędzany dla niej niż następna lalka Barbie. Następnym razem gdy coś będzie chciała, wytłumacz jej może, że lepiej dla Was będzie gdy czas poświęcony na zarabianie na tę zabawkę będzie można wykorzystać na wspólną zabawę, czy spacer.

Sama też musisz wiedzieć, iż materialne rzeczy szczęścia Ci nie dadzą. Myślę, że nawet to rozumiesz. Tak tylko przypominam dla pewności. Proszę, przy każdym kupnie każdej nowej rzeczy (np. nowego ubrania podczas gdy szafa pęka w szwach - może przesadzam - u niektórych jest gorzej) zastanów się cztery razy, czy nie bardziej potrzebny jest Ci odpoczynek. Ja rozumiem, iż kobiety są z Wenus ale, czy Ty na prawdę wierzysz, że jak nie będziesz miała tych spodni to staniesz się mniej atrakcyjna ? Może to ja, facet nic nie rozumiem, ale uwierz mi, że chcę dobrze.

Ja bardzo szanuję twoje ambicje, że nie chcesz się zatrzymać na sprzątanii. Wiele osób podziwia Cię za to, iż robisz tyle rzeczy na raz, ale na Boga, proszę nie popełniaj błędu, który ja popełniłem. Nie zapominaj o czasie tylko dla siebie i dla ukochanej osoby. Serce mi się kraje gdy słyszę, że możesz zawalić piąty rok przez to, iż wzięłaś za dużo na swoje barki.

Ja będę starał się Ci pomagać jak tylko mogę, ale proszę Cię: zastanów się dobrze następnym razem jak będziesz brała na siebie kolejny ciężar. Zastanów się też dobrze, czy musisz być w dwóch szkołach najlepsza, czy nie lepiej jest teraz się skupić bardziej na skończeniu „resocjalizacji”, a holenderski powoli sam będzie przychodził? Czasem trzeba zwolnić by się nie zadyszeć. Przy takim stylu życia masz zadatki na pracoholika, dlatego będzie dobrze dla naszej przyjaźni jeśli to Ty będziesz wykorzystywać mnie, a nie jak dawniej - odwrotnie.

Jak chcesz możesz olać te rady. Przecież masz prawo uważać inaczej, tak jak ja mam prawo myśleć, że to są dobre rady.

16. XII. 2004 - Noc

Chcę byś wiedziała, że Iweta jest moją przyjaciółką, która mnie podtrzymuje na duchu. Jestem pijany więc pozwolę sobie na chwilę szczerości. Tak na prawdę to teraz, gdy wszystko

zrozumiałem, to kocham Cię jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Bardziej niż wtedy gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w Amsterdamie. Bardziej niż wtedy gdy obroniłaś mnie gazem na Dworcu Centralnym. Bardziej niż jak tęskniłem i martwiłem się o Ciebie słysząc płaczącą do telefonu, gdy dzwoniłaś do mnie, gdy mnie zaaresztowali. Bardziej niż gdy wraz z Neą tarzaliśmy się ze śmiechu w łóżku. Bardziej niż wtedy gdy cierpiałas gdy po pijanemu dopuściłem się najgorszego. Nie wiem, czy nie kocham Cię nawet bardziej niż wtedy gdy przyrzekałem Ci wierność. Kocham Cię do tego stopnia, iż z całego serca życzę Ci szczęścia, do tego stopnia, że czyszczę kibel na wizytę twojego nowego chłopaka. Życzę Ci szczęścia i nie chcę Ci w tym przeszkadzać. Kiedy tylko powiesz zrobię wszystko, co zechcesz. Odejdę z mego domu i będę wdzięczny, że dałaś mi po raz ostatni spędzić święta z rodziną. Dlatego proszę każdego i będę wszystko robił by te święta były moimi, tymi pierwszymi bezstresowymi. Potem zadowolę się twoją **przyjaźnią**, bo tylko to mi w życiu zostało.

Tak na prawdę zawsze Cię będę kochał, „bo taka miłość jest jedna.” Nie przejmuj się, bo ja już cierpię coraz mniej, a tak na prawdę to wygrałem na tym dużo rzeczy, które bym stracił w innym wypadku. Są to rzeczy bardzo ważne: przyjaźń Ney, dobra energia, spokój wewnętrzny i zdrowe spojrzenie na świat, a także lepsze jego zrozumienie. Wygrałem samego siebie takim, jakim zawsze starałem się być. W ciągu tych paru dni dokonałem zmian większych niż w ciągu ostatnich paru lat. A że nie mogę mieć wszystkiego. Takie życie. Przecież niektórzy mają jeszcze mniej.

Uszanuj moje uczucie tak jak ja staram się uszanować twoje i proszę, **zostańmy przyjaciółmi**. Chciałbym najlepszymi ale to już twój wybór.

20. XII. 2004 ~6.00 rano

Wiesz Janko, gdy tylko zauważyłem pierwsze trudności w budowaniu naszej przyjaźni, postanowiłem tym razem nie uczyć się na własnych błędach i udałem się o poradę do osoby, której przyjaźń z jej ex w ogóle nie wyszła, a która była w „mniej, więcej” sytuacji takiej jak Ty jesteś. Tą osobą jest oczywiście Petra. Po przedstawieniu sytuacji zapytałem ją wprost :

- Petro, jakie błędy popełniłście wy ze Zdenkiem, że teraz jesteście bardziej wrogami niż przyjaciółmi ?

Otóż, wyobraź sobie jej odpowiedź była podobna do słów jakie powiedziałem Ci dzień, czy dwa przedtem :

- Myśmy się po prostu nie rozumieli. - brzmiała odpowiedź Petry.

Jak ważne jest zrozumienie siebie nawzajem w danej sytuacji pisałem już wcześniej więc nie będę się powtarzał. Napiszę za to parę rzeczy byś może Ty bardziej mnie zrozumiała.

Otóż to, co Ty nazywałaś wczoraj „tylko”, dla mnie jest wiiiieelkim AŻ. Ty przyzwyczajałaś się do rozstania, jak mi powiedziałaś już trzy lata. Ja przeżyłem tan szok w ciągu jednego dnia. Po tygodniu przeżyłem szok jeszcze większy. Jakby tego było mało wymaga się ode mnie jeszcze bym opuścił mój ukochany dom i stał się (o zgrozo !) tatusiem na odległość. Czy potrafisz postawić siebie w takiej sytuacji ? Ja przed tymi ciosami bronie się jak mogę. Staram się we wszystkim znaleźć dobre strony. Wyrwać jakieś korzyści dla siebie, dla Ney. Staram się jak najwięcej rozumieć, a jak najmniej rozpaczać, unosić się, czy popełniać błędy. Oczywiście „świętym” nie jestem i nadal je popełniam (a kto nie ?).

Wczoraj zauważyłem, iż chyba **na siłę** chcesz coś mi dać do zrozumienia. Proszę Cię nie rób nic na siłę, bo nic tym nie osiągniesz. Proszę Cię, nie bądź dla mnie wroga, nie wymagaj zbyt wiele, bym wyzbył się własnych uczuć. Marzyłem zrobić wszystko, by te ostatnie święta w „rodzinnym” do niedawna gronie, były pierwszymi bezstresowymi.

Ja rozumiem wszystko lecz jeśli Ty na siłę będziesz się starać pokazać mi od wrogiej strony, to pewnie to osiągniesz. To, czy zostaniemy przyjaciółmi, czy wrogami zależy **tylko od Ciebie**.

20.XII.2004 ~ 15.00

Myślisz, że jak staniesz się moim wrogiem, to przestanę Cię kochać ? Niestety. Tak się nie da, a wręcz jest to najgorsze rozwiązanie, bo wówczas wszyscy będziemy cierpieć jeszcze bardziej.

21.XII.2004 23.50

Wiesz, ja po prostu nie mam czasu pomyśleć, albo może inaczej: za dużo myślę o tym, o czym nie powinienem. Myślę także, że to zmęczenie czasami daje znać. Olewanie to chyba jedna z ostatnich rzeczy o jakie możesz mnie posądzać.

24.XII.2004 ~15.00

Ktoś kiedyś ładnie zaśpiewał: „Miłość Ci wszystko wybaczy...”, albo inne: „Miłość jest ślepa”.

25.XII.2004 9.45

To wspaniale jak się starasz przestawić na lepsze w wychowaniu Ney. Sam wiem jak bardzo jest to trudne ale wiem też, iż najdłuższa droga zaczyna się od pierwszego kroku. Do tego na drodze można zawsze spotkać wiele zakrętów, nierówności i innych przeszkód. Czasem nawet przez jakieś rozstaje, powikłania coś nas próbuje z tej drogi zawrócić. Bardzo się cieszę, że coraz bardziej starasz się tłumaczyć Nei. Wierzę, iż twoje dobre serce szybko dostrzeże, że to jest ta właściwa droga i mam nadzieję, iż wówczas Cię już nic z niej nie zawróci. Byłoby wspaniale. To bardzo dla mnie ważne, by Nea wygrała jak najwięcej na tym rozstaniu (oczywiście nie zabawek – to moje zdanie). „Gdy czegoś nie potrafisz zrobić doskonale, to zrób to najlepiej jak potrafisz” - to słowa Doca, mojego pierwszego nauczyciela medycyny.

Drugie, co mnie cieszy to, że się nie poddajesz w tym, co robisz, że masz zamiar poświęcić dużo czasu na pisanie pracy magisterskiej i że pomagasz dużo dla Ninki. To ważne dla tych dzieci, by był ktoś, kto choć trochę pomoże im złagodzić patologię. Wierzę, że nawet nie będąc rodzicem, od których najczęściej zależy, można w jakiś sposób pomóc tym dzieciom. Wiem, że należałoby porozmawiać z rodzicami, albo dać im porozmawiać ze sobą, pomóc im dojść do jakiegoś porozumienia, ustalenia zasad i zrozumienia pewnych rzeczy. Myślałem, iż najlepszą pomocą dla Ninki, Petry i Zdenka byłoby zorganizowanie im spotkania, gdzie moglibyśmy im wszystkim pomóc (przynajmniej spróbować). Jest to bardzo delikatna sprawa i tak na prawdę możemy stracić dobrych przyjaciół. Myślę, że ważne by nie szukać w nikim winy i bez względu na nasze osobiste relacje z nimi nie stawiać po żadnej ze stron, a jedynie **po stronie Ninki**. Też ważne jest, by wszystko to zrobić na spokojnie. Nie dać im i sobie ponieść się emocjom. Uspokoić sytuację, wyrazić obiektywne zdanie, rady - to, co możemy dla nich zrobić. „Tylko spokój nas uratuje” - święte słowa.

Na pewno, gdy to czytasz, to myślisz sobie, że głównym powodem dla którego chcę im pomóc jest to by się do Ciebie zbliżyć. Głównym powodem to może nie jest, ale nie ukrywam, że jest jednym z nich. Jak Ci napisałem, chcę być twoim **przyjacielem** lecz to, czy nim będę zależy tylko od Ciebie.

Głównym powodem oczywiście jest Ninka i bez względu na to, czy zrobisz to ze mną, czy nie, to i tak będę chciał im pomóc. Wychodzę też z założenia, że pomagając im pomożemy też sobie zrozumieć pewne sprawy, dostrzeżemy pewne błędy, których potem będziemy mogli uniknąć w wychowaniu Ney. „Ucz się na błędach innych - to mniej boli” -prawda, która może w życiu bardzo pomóc.

Po za tym ja wiem, iż są różne sytuacje, a ludzie są inni ale myślę, że dobrze by było jeśli mamy im udzielać rad to...

26.XII 10.30

... sami musimy być dla nich przykładem, że po rozstaniu wcale nie trzeba być wrogami.

Bardzo mnie cieszy, że w końcu zobaczyłem Cię uśmiechniętą i odstresowaną. Cieszy mnie twoje szczęście, a martwi mnie twój stres. Dlatego ja też wczoraj się zrelaksowałem i myślę, iż tak powinno być. Już wystarczająco długo denerwowaliśmy się wzajemnie, a nie o to mi chodzi. Życie powinno polegać na radości, a nie smutku.

Wczoraj po waszej rozmowie pomyślałem sobie, że jestem za głupi by udzielać komukolwiek rad, iż tak na prawdę sam muszę się wiele nauczyć. Sam muszę się zająć rozwiązywaniem swoich własnych problemów, które jak mi się wydawało już w jakimś stopniu rozwiązałem. Dzisiaj jednak uważam, że może ekspertem co do życia nie jestem, co najlepiej świadczy to, iż nawet własnego nie umiem dobrze połatać. Powody dla których chcę pomóc Nince i Nei jednak wciąż istnieją, a ja

nadal mam tę dobrą wolę by zrobić to jak najlepiej. Myślę, że przy moim braku doświadczenia może pomocna przydać się twoja książkowa wiedza.

Nie bez przyczyny mam pomysł w jaki sposób możemy to zrobić. Jeszcze są święta, a to nam sprzyja, bo to przecież okres do przemyśleń i wybaczenia sobie win. Mym pomysłem jest to, byśmy my poprosili ich o porady. Dzięki temu sami będziemy się uczyć jakich błędów możemy uniknąć. Oni się skupią w jaki sposób nam pomóc, by wychowanie nie stało się grą obojga rodziców o to kto lepszy. Jeśli będą nam starać się pomóc, a nie obwiniać siebie nawzajem, to tłumacząc nam, sami sobie też wytłumaczą wiele rzeczy. Tak na prawdę to oni sami sobie muszą pomóc, a my tylko mamy im to umożliwić i to samo z resztą tyczy się też nas.

Czasami wydaje mi się, iż stąпам po niebieskich obłokach, jednak są dwie osobki: Nea i Ninka, które każą mi wierzyć, że warto zrobić dla nich wszystko i nawet jeśli ma się być głupcem, to przecież warto wciąż próbować, chociażby po to, by w końcu przestać już tym głupcem być.

26.XII.2004 ~ 15.00

Bardzo mnie cieszy, że zdążyłem w końcu chociaż zreperować tę szafkę, którą zepsułem w złości. Nigdy przedtem nie chciałem jej reperować by przypominała mi, że nie chcę na Ciebie krzyczeć ani kłócić się tak jak wtedy. Teraz nie potrzebuje już tego przypominaacza, bo zrozumiałem, że nigdy nie będę krzyczał. Nie potrzebuje tego więcej. Szkoda, że nie zdążyłem porobić wszystkiego, co planowałem, jednak ciężko jest w jeden miesiąc ponaprawiać wszystko, co powinno się zrobić w przeciągu siedmiu lat. Najważniejsze, że się staram.

28.XII.2004 ~ 13.00

Wiesz Janko, skrzywdziłem Cię kiedyś bardzo, lecz teraz się o Ciebie troszczę i martwię. Bardzo chciałbym Ci dać parę rad, lecz ostatnio zrozumiałem, że daje się je ludziom, którzy o nie pytają. Mogę i muszę dawać rady Nei lecz Ty jesteś już dorosła i gdy będę Ci doradzał na siłę, to możesz nie zrozumieć. Jednak w trosce o Ciebie chciałbym żebyś zapytała.

Przepraszam, że jeszcze nie zdjąłem flagi ale sama wiesz (Ha !)

I tak Cię kocham ! Tak mocno jak nigdy przedtem. Na zawsze. Bez względu na wszystko. Tą najmocniejszą miłością.

„Prawdziwa miłość przezwycięży wszystko. Nienawiść jest ostatecznym upadkiem”.(-Włochaty), a „nienawiść to taka odrzucona miłość”(- to cytat z czasami mądrej książki: „Związki i Rozwiązki”).

Dzisiaj, a może wcześniej uświadomiłem sobie, że gdybym przestał Cię kochać, przestałbym wierzyć we wszystko, co do tej pory wierzyłem, przestałbym mieć nadzieję na wszystko, co do tej pory miałem. Przegrałbym okrutnie. Wtedy pewnie byłbym smutnym człowiekiem na całe życie. Wiara, nadzieja i miłość to chyba ta trójca święta, o której próbują nauczyć nas katecheci. I proszę zrozum to, że miłości nie można zabijać, tak jak nadziei nie można odbierać i tak jak prawdziwa wiara musi być silna nawet wtedy jak wydaje się nam, że Bóg nas opuścił. Bóg nas nie opuszcza, bo kocha nas miłością nieskończoną, której od niego się nauczyłem. Zrozumiałem, iż nawet jak nie będę z tobą do końca życia to i tak chcę Cię kochać. Niebo zawsze wyobrażałem sobie jako miejsce, gdzie wszystkie marzenia się spełniają. Nie mam pojęcia w jaki sposób, ale mogę być pewny, że kiedyś będę do końca szczęśliwy.

Moja miłość jest tak duża, że życzę Ci szczęścia nawet z kimś innym. Szkoda, że byłem tak głupi, że zmarnowałem kolejną szansę. Jednak teraz jestem pewny, że teraz nie zawiódłbym Cię **nigdy**, bo jeszcze nigdy nie miałem w sobie tak wielkiej miłości do Ciebie i do Nei jak teraz. Po tym jak wyzbyłem się wszystkich złych emocji, nigdy wcześniej nie byłem tak dobry. Po tym jak rozumiem wiele rzeczy...

... szkoda, iż nie mogę napisać Ci wszystkiego. **Sama musisz to zrozumieć.**

31.XII.2004

Tak dużo miałbym Ci do powiedzenia w trosce o Ciebie, lecz nie mogę pisać ani słowa bo **sama musisz to zrozumieć**, sama musisz do tego dojść. Jeśli tego nie pojmiesz, będziesz cierpieła, a od tego chcę Cię uchronić jako twój przyjaciel. Mogę jedynie dać Ci wskazówkę, która Ci pomoże

oraz którą może powoli zrozumiesz. Pierwsza to podtrzymuje moje zdanie byś szła za głosem serca bez względu na wszystko, nawet własny rozsądek. Druga to staraj się być dobra, staraj się wyzbyć zła, choć tego do końca się nie da, bo przecież nie jesteśmy świętymi.

Lekcja z dnia 12.I.2005 brzmi: Wszystkie moje zmiany dokonałem z miłości do ciebie lecz teraz wiem, że muszę je przekształcić tak bym zmienił się także dla samego siebie. W innym bowiem razie na zawsze będę zależny od nadziei, która zawsze we mnie. Im jej mniej tym bardziej ode mnie odchodzą me zmiany na lepsze, dobra energia i spokój wewnętrzny. Im jej więcej, tym więcej we mnie tej mocy uśmiechu i zrozumienia. Muszę je przeobrazić na zmiany dla samego siebie, bo inaczej gdy nadziei będzie brakło stanę się zgorzkniałym przygnębionym człowiekiem. Tego przecież nie chcę.

– 8.25

Nadal będę robił wszystko by uzyskać twe wybaczenie, lecz wczoraj powiedziałem sobie: „Już dość!” Wystarczy już oszukiwania samego siebie, że Ty jesteś moją przyjaciółką skoro Ty traktujesz mnie jak najgorszego wroga. Uświadomiłem sobie, iż jakby nie Nea, to prawdopodobnie nie chciałabyś mnie nawet znać. Ostatnio gdy przyszedłem do Ciebie po przyjacielską poradę, to poza tym, że miałem to szczęście napić się z tobą wina stało się coś, co bardzo mnie zabolalo. Chodzi o ten przymusowy wyjazd do Polski. Nie chodzi nawet o ten rozwód, bo to dopiero za pół roku. Lecz o te „**Nigdy**” co mi kiedyś powiedziałaś. Na szczęście nie wierzę we wszystko to, co mówisz, a w to też nigdy nie uwierzę. Uświadomiłem sobie (chyba pisałem to wszystko wcześniej, jednak powtórzę, bo chyba nie dotarło), że jeśli stracę nadzieję, stracę też wiarę we wszystko w co zawsze wierzyłem i nawet jeśli zachowam we mnie moje drogocenne zmiany to i tak na zawsze stanę się zgorzkniałym nigdy szczerze nie uśmiechającym się gościem, którego małą próbkę masz okazję zobaczyć gdy mam mniej nadziei i gdy się tak bardzo denerwujesz, iż jakiś marudny jestem. Czy takiego Tatę ma mieć Nea? Piszę to wszystko chaotycznie dlatego, że mam chaos w głowie i nie umiem tego ładnie poukładać.

Chciałem także zaznaczyć, że mam dosyć obwiniania mnie za rzeczy, które nie ja zrobiłem. Nie chcę być już dłużej kozłem ofiarnym, na którego zawsze można zrzucić winę. Żałuję wszystkiego złego, co Ci uczyniłem w przeszłości i do końca życia będę starał się to naprawić by uzyskać szczerze wybaczenie i zmazać mój wstyd. O tych rzeczach chcę byś do mnie krzyczała bym po raz kolejny mógł spuścić głowę i powiedzieć **przepraszam**. Z drugiej jednak strony, nie będę owijał w bawełnę (żadnych niedomówień), to co wyniosłem z mych lekcji życia, nie pozwala mi na to, by ktoś ganił mnie wtedy gdy **staram się jak najlepiej, jak tylko potrafię**, albo gdy nie z mojej winy wyszło tak, a nie inaczej. Nikt nie jest perfekcyjny, z tą różnicą, że ja Cię kocham i dlatego nie powiem Ci nigdy złego słowa. Pochwały bardziej stymulują rozwój – pamiętasz? To Ty mnie tego nauczyłaś.

Tak bardzo Cię kocham, że nie chcę stać na przeszkodzie twego szczęścia. Dlatego nie mogę napisać wszystkiego, co jest mi wiadome. Wierzę jakoś w ukryty sens tej książki, jakieś jej podwójne znaczenie dla Ciebie, ukryte pomiędzy wierszami, o którym nawet ja nic nie wiem, a które **pomoże Ci** w życiu. To jedno z moich przeczuc: byś, uważnie dla **swojego dobra = szczęścia**, jeszcze raz przeczytała tę książkę.

Tak bardzo Cię kocham, że rezygnuję z przyjaźni, którą chciałem wypełnić pustkę w moim życiu. Rezygnuję z tego mostu, który miałem nadzieję może kiedyś nas połączy.

Po raz kolejny zostaje sam na tym świecie. Teraz nie mam nawet marihuany, która niegdyś pomagała mi przetrwać te ciężkie chwile. Za to mam siłę, Wiarę i Nadzieję. Co najważniejsze mam też dla kogo żyć. Szkoda, iż nie ma w pobliżu nikogo, kto żyłby dla mnie (nawet Mama jest daleko). Jednak tak już było wiele razy. Wierzę, że nie cały czas.

Nie chcę już „specjalnie” przebywać już w twym domu i uważam by lepiej było dla Ciebie bym przyjeżdżał po Neę, nie wchodząc nawet na klatkę.

Na zakończenie bym uniknął najgorszego cierpienia jakie mnie spotyka cytat Fate:

„... Ty powiedziałaś mi bardzo ważne słowa.

Że życia nie można zabijać.
Że miłości nie można zabijać.
Że nadziei nie można zabierać.
Żywej wiary nie można zabijać.”

Miłość to pewnego rodzaju stan głębokiego uduchowienia. To uczucie, które może wyzwolić w Tobie stan, gdzie wiara staje się tak pewna, a Nadzieja tak nieskończona, niezniszczalna i trwała. Ta wielka i prawdziwa miłość, której chyba jeszcze nigdy nie czułem na tak wysokim szczeblu sprawiła, że osiągnąłem rzeczy, które wcześniej uważałem za niemożliwe, iż z dnia na dzień dokonałem zmian, nad którymi pracowałem przez lata, że dostrzegłem rzeczy, o których wcześniej nie miałem pojęcia. Dzięki tej miłości do Ciebie, osiągnąłem coś, co może dawno już straciłem. Dużo można by tu wymieniać, chociażby przyjaźń Ney, spokój ducha, a więc panowanie nad emocjami i koniec z nie potrzebnym krzyczeniem. Bardzo cieszy mnie to, że Nea kocha mnie teraz jak nigdy przedtem.

21.III.05

Kochać na prawdę, to kochać nad życie inaczej tylko oszukujemy się, że kochamy.

23.III.05

Przestałem już liczyć dni. Zdaję sobie sprawę, iż upragniony dzień może nie nadejść. Może dopiero za rok, może za 10 lat, może dłużej. Poczekam.

12.IV.05

Bo kochać naprawdę to kochać na zawsze !

„Dobro niech zwycięża.

Zawsze miej nadzieję.

Nigdy nie poddawaj się.

Miłość przezwycięża wszystko !

Miłość przezwycięży wszystko !” - Zbuntowani „Mantra”

Ostatnimi dniami spotkało mnie wielkie szczęście. Odwiedziłaś nas w końcu, by zobaczyć szczeniaczki i dać mi tę książkę. Mimo że „nie miałaś czasu” zostałaś na wino i obiad. Po raz pierwszy, od tak długiego czasu porozmawialiśmy normalnie, w przyjaznej atmosferze. Gadaliśmy tak długo, a Ty ani razu na mnie nie narzeknęłaś. W końcu odradzała się przyjaźń (taką miałem nadzieję). Byłem taki szczęśliwy.

W pewnym momencie Janka odmówiła czytania tego, co tu napisałem. Wraz z tym zniknęła część sensu pisania tego rozdziału. Jednak później nastąpiły okoliczności, które sprawiły, że na nowo zacząłem go pisać.

Minęło dużo czasu i dużo cierpienia. Wydarzyło się wiele rzeczy. Raczej przyjemnych. Na początku zaskłotowanie kempingu. To piękne miejsce dużo mi pomogło. Było tam tak wspaniale, że Nea zdecydowała się na dodatkowo dłuższe o 40 minut dojeżdżanie do szkoły aby móc spędzać czas na kempingu. Pełna przyroda. Prawie rezerwat. Aż trudno było uwierzyć, iż taki kawałek natury uchował się pół godziny rowerem od Amsterdamu. Był to zarośnięty kilkoma gatunkami drzew, krzaków i roślin teren, położony pomiędzy dwoma jeziorami. Gdzieś tam stały domki letniskowe oraz karawany w których zamieszkaliśmy. Już sama droga tam napawała zachwytem i spokojem. Przebywanie w tym pełnym naturalnej energii miejscu bardzo mi pomagało przetrwać te ciężkie chwile. Zdawało się, że mając takie piękno wokół siebie powinienem być szczęśliwy. Jednak nawet w momentach największej radości, gdzieś tam w głębi serca zawsze tliła się gorycz. Nawet gdy zaskłotaliśmy budynek marzenie, największy skłot w Amsterdamie: 6 piętér, duża hala, garaż, winda... W każdym z około 20-stu biuromieszkań: kuchnia z lodówką, zlewem i junkerem do podgrzewania wody, wszędzie wykładziny... Mogliśmy podziwiać tam jeden z najpiękniejszych widoków na Amsterdam. Jednym słowem REWELACJA. Śmiałem się wówczas, iż mogłem się czuć skłoterskim „milionerem”. Tu mieszkanie na największym skłocie z widokiem na całe miasto,

tutaj drugie mieszkanie w centrum miasta, a do tego „letnia rezydencja” na kempingu. Czego więcej trzeba w życiu ? „Choćbyś posiadał wszystkie narody świata, a miłości byś nie miał, byłbyś niczym.” - o tej biblijnej prawdzie przekonałem się na własnej skórze. Sam jeden wiem ile łez przelałem dlatego, bo nie mogłem być z Janką. Robiłem wszystko by nie pograć się w żal. Przestałem pić, palić marihuanę, masturbować się, patrzeć na kobiety. Ponadto leczyłem mój żal homeopatycznie, przez chwilę zacząłem nawet chodzić do kościoła. Starałem się robić wszystko, co sprawia mi radość jednak wciąż bardzo często wybuchałem płaczem i nadal nosiłem w sobie gorycz. „Jak długo mogę tak cierpieć ? Za co ?”- zadawałem sobie pytania. Chociaż wciąż żyłem nadzieją, że Janka może w końcu do mnie wrócić, to po siedmiu miesiącach, gdy kolejny wyimaginowany termin na zmianę na lepsze minął bez żadnej poprawy, zacząłem prosić Boga, iż jeśli Janka nie może do mnie wrócić to niech przynajmniej odsunie ode mnie ten nieprzerwany smutek. Chociaż było ze mną dużo lepiej niż na początku tej tragedii, to moja cierpliwość się wyczerpywała. Zdawałem sobie sprawę, iż nie chcę być już dłużej smutnym tatą. Nea była moim jedynym szczęściem i chciałem być dla niej człowiekiem pełnym radości, a nie żalu. Można troszkę powiedzieć, iż w pewnym momencie oddałem się w ręce Boga lub jak kto woli przeznaczenia. Gdy robiliśmy pierwsze party w biurowcu, w kolejnej „Dupie”, po raz pierwszy dopóściłem do siebie myśl, iż chciałbym na nim poznać jakąś przyjaciółkę. Przyjaźń to piękna rzecz, która dużo może pomóc jeśli się jest w kryzysie miłosnym. Przez dużą część imprezy razem z Koszulem prowadziliśmy bar, co obu nam w jakiś sposób dawało dowartościowanie i satysfakcję z tego, że robimy coś pozytywnego. Jednak ja przez większą część party tańczyłem. Było to jedną z najlepszych kuracji, która przynajmniej w jakiś sposób (niestety nigdy do końca) pozwalała mi się oderwać od mego duchowego cierpienia. Było już prawie rano i party powoli dobiegało ku końcowi, gdy tańczyłem reggae w chill out roomie, obok mnie tańczyło parę dziewczyn. Czułem na sobie wzrok niektórych z nich. Jednak nie one mnie interesowały. Była wśród nich jedna dziewczyna z pięknymi warkoczami, czerwonym odcieniem policzków, które sprawiały, że wyglądała niczym indianka. Biła od niej jakby aura dobroci tak, iż od razu zwróciłem na nią uwagę. Tańczyła z zamkniętymi oczami, które tylko czasami otwierała. Rękami w rytm muzyki bawiła się energią, która zdawała się wokół niej pływać. Też zamknąłem oczy by spróbować jak tańczy się jej sposobem. Szybko zauważyłem, że jak się nie widzi, o wiele bardziej czuje się muzykę. Cały stałem się dźwiękiem. Każda część mojego ciała pulsowała do innego instrumentu. Czułem się dobrze i pozytywnie. Nie dziwne, iż na mojej twarzy, na stałe zagościł uśmiech od ucha do ucha. Czasami otwierałem oczy by skontrolować co się dzieje. Tak samo zresztą robiła ona. W pewnym momencie nasze oczy spotkały się i zdało mi się, że się do mnie uśmiechnęła. Zrobiło mi się miło. Z jednej strony było to bardzo przyjemne. Nie czułem czegoś takiego już bardzo dawno. Z drugiej strony bałem się tego, iż przez to mogę przekreślić wszystko co czuje do Janki oraz wszystkie nadzieje jakie jeszcze miałem. Mimo wszystko też pragnąłem by moje cierpienie w końcu się skończyło.

Zawierzyłem swój los Bogu i tańczyłem dalej traktując mój taniec jako modlitwę, medytację, czy po prostu rozmowę ze Stwórcą. Było to pełne dobrej energii, bardzo mistyczne doświadczenie: oddawać siebie Bogu w tańcu. Chyba zbyt bardzo też myślałem o tej „Indiance”, która nauczyła mnie tańczyć w ten magiczny sposób. Dlatego z obawy przed dziwnymi myślami w pewnym momencie skończyłem i wróciłem do baru. Był tam Koszul więc jak to zwykle z nim pracowało mi się fajnie. W pewnym momencie wstawiona dziewczyna z kręconymi włosami, która też tańczyła w chill out roomie podeszła do nas i zapytała się mnie:

- Moja koleżanka jest bardzo nieśmiała i poprosiła mnie bym zrobiła Ci zdjęcie. Mogę ?
- A czy dostanę odbitkę ?
- Pewnie.

- No dobra. – zgodziłem się, po czym chwyciłem śmiejącego się z tego Koszula . Razem zrobiliśmy głupie miny do aparatu i uczyniono nam zdjęcie. Zamawiając piwo i sok wstawiona, roześmiana i rozgadana fotografka „poufnie” mnie poinformowała:

- Wiesz, podobasz się bardzo mojej koleżance. Ona bardzo się wstydzi z tobą zagadać. Może Ty byś z nią zagadał ? Ona jest na prawdę fajna i wspaniała, tylko się wstydzi.

- Ale ja też się wstydzę – roześmiałem się.

- Nie wstydź się ! Zagadaj. Nie pożałujesz. Ona jest naprawdę wspaniała. - powiedziała roześmiana dziewczyna na odchodne.

- Ho, ho, ho! Widzę, że masz dzisiaj powodzenie. – zaśmiał się Koszul – I co ? Idziesz z nią pogadać ?

- No co Ty ? - udałem zbulwersowanego.

- Idź, pogadaj. Dobrze Ci to zrobi.

- Koszul, przecież jak kocham Jankę.

- To chyba nie znaczy, że nie możesz pogadać z dziewczyną.

- Po co ?

- Przydałaby Ci się przyjaciółka. Rozmowa dobrze Ci robi. Przecież nie musisz z nią iść od razu do łóżka...

- Przestań mnie nakręcać. – uciąłem rozmowę, jednak w myślach przyznałem mu rację. Przecież miałem przyjaciółkę Marzenę i rozmowy z nią bardzo mi pomagały.

Spotkałem Indiankę mijając ją w toalecie. Zdobyłem się na krótkie „cześć”. Mówienie tego do dziewczyn, których nie znałem nie było w moim zwyczaju. Odpowiedziała mi czerwieniąc się lekko zmieszana. Choć „fotografka” nie powiedziała mi, o której dziewczynie mówiła, wiedziałem, że chodziło o nią. Takie rzeczy się czuje.

Potem zawierając swój los w ręce Boga, gdy impreza dobiegała końca, gdy po raz kolejny mijала mnie Indianka zdobyłem się na odwagę i zagadałem:

- Chcesz pogadać ?

- Mogę pogadać. - odpowiedziała lekko zszokowana znowu się czerwieniąc, co jeszcze bardziej dodawało jej uroku.

- Czy to Ty poprosiłaś koleżankę by zrobiła mi zdjęcie ?

- Miała Ci tego nie mówić.

- Nie mówiła.

- To skąd wiesz ?

- Tak myślałem.

- To o czym chcesz rozmawiać ?

- O wszystkim. Rozmowa pomaga.

- W czym ?

- Na przykład w cierpieniu.

- A ty cierpisz ?

- Tak. Muszę Ci powiedzieć, że porzuciła mnie żona pół roku temu i to boli, bo ja wciąż ją kocham.

- Po połowie roku ?

- Tak. Mówię Ci to na samym początku, bo nie chcę byś myślała, że chcę Cię poderwać.

- Dobry z Ciebie człowiek, skoro mówisz mi to na samym początku. Większość wołała by ten fakt zataić.

- Kiedyś może ja też. Jednak czegoś się już w życiu nauczyłem.

- I wciąż kochasz ją po połowie roku ?

- Tak.

- I teraz potrzebujesz porozmawiać ?

- Yhmyy

- To dobrze trafiłeś, bo ja za trzy tygodnie wyjeżdżam do Indii.

- Taaak ? - chyba zauważyła moje rozczarowanie, bo zaraz dodała:

- Potem możemy przecież do siebie meilować.

- Niby tak jednak to nie to samo, co rozmowa twarzą w twarz.

- Masz rację. Ja jednak planów nie zmienię. Jestem tu tylko po to by pozalać formalności. Potem chcę wyjechać do Indii kontynuować jogę.
- Ćwiczysz jogę ?
- Żyję jogą.
- Ja czasami medytuję, a czasami ćwiczę Qi Gong. Trochę pomaga.
- Mi bardzo. Ale wytłumacz jak taki człowiek jak ty może nie mieć przyjaciół?
- Może wcale nie jestem taki dobry. Niby mam przyjaciół. Pomogli by mi chyba. Czasami z nimi gadam. Też pomaga, jednak nie wystarcza.
- A myślisz, że rozmowa ze mną pomoże więcej ?
- Nie wiem. Próbuję.

... Tak też gadaliśmy o wszystkim poznając się coraz bardziej. Rozmowa ta przeniosła się do mojego pokoju. Potem Rabia powiedziała, że musi lecieć by się wyspać choć chwilę, bo później obiecała przyjacielowi pomóc poukładać płytki na podłodze.

Umówiliśmy się na pojutrze. Pojechaliśmy na kemping. Zapoznałem ją z Neą. Polubiły się od razu. Spędzaliśmy ze sobą większość czasu. W jej towarzystwie po raz pierwszy zapomniałem o bólu. Po jakichś dwóch tygodniach naszej rozwijającej się przyjaźni, stało się to „niemożliwe”...

Tego wieczoru, tak jak poprzedniego Rabia była zmęczona przygotowywaniem dnia otwartego. Zaproponowałem by ponownie spała u mnie. Jako, że mieliśmy tylko jeden materac spaliśmy na nim we trójkę, razem z Neą. „Tobie Boże zawierzam mój los. Niech się stanie, co ma się stać.” - szeptem wypowiedziałem słowa modlitwy tuż przed zaśnięciem. Zdawałem sobie wówczas sprawę, że mimo iż Nea spała pomiędzy nami, to i tak nasz sen może sprawić, że nagle obudzimy się przytuleni do siebie i wówczas nie byłem pewny, co może się stać dalej, czy ta drżająca silna sympatia jaką darzyłem Rabię nie wybuchnie w miłość. Dlatego Bogu powierzyłem tę decyzję, by pokierował naszymi losami tak by wszystko było dobrze. Tylko On mógł zdjąć ze mnie ciężar wypowiedzianej przysięgi. Tylko On mógł powiedzieć „Dostyc” mojemu cierpieniu. Tylko On mógł wysłuchać mych modlitw wypowiedzianych we łzach i bólu jakieś dwa tygodnie temu.

Obudziłem się trzymając Rabię dłoń w swojej dłoni. Poczułem wówczas przepiękną energię płynącą przez nas. Było mi tak przyjemnie, tak wspaniale. Jednocześnie tysiąc myśli na minutę kłębiło się w moim mózgu. „Czy aby na pewno dobrze robię?”, „Chyba tak! Przecież idąc spać zawierzyłem nasz los Bogu. Co za wspaniałe uczucie. Co za ogromna dobra energia przepływająca przez połączone nasze dłonie. Co jest piękne nie może być złe. Chyba Bóg nas połączył. Kocham ją.” - tym razem uświadomiłem sobie to na pewno. Tak rozmyślając czułem się bardzo szczęśliwy trzymając jej dłoń. Delektowałem się tą chwilą dłuższy czas aż w pewnym momencie już nie wytrzymałem i pocałowałem ją mocno przytulając ją do siebie. Zaraz potem wypowiedziałem te święte słowa „I love You.” na, co odpowiedziała mi tym samym.

Miłość – Szczęśliwe zakończenie

...Ja wiem, że ideałów nie ma i że w pierwszej fazie miłości nie widzi się wad partnera. Słowa te piszę, gdy jestem z Rabią już ponad pół roku spędzając razem większą część dnia. To, że nie jesteśmy sobą znudzeni, a nasza miłość jest wciąż pełna pasji świadczy o pełni uczucia jakimi siebie nawzajem darzymy. Jeśli by tu mówić o ideałach to Rabia jest bardzo blisko. Pasujemy do siebie chyba pod każdym względem. Czasem mówimy sobie, że to Bóg nam siebie dał, by przez naszą miłość uczynić nas jeszcze mocniejszymi w walce ze złem, jeszcze bardziej aktywnymi w szerzeniu Dobra.

Oboje przeszliśmy dużo złego w życiu, oboje wynieśliśmy z tego wszystkiego życiową lekcję, w obojgu z nas dokonała się ogromna przemiana na lepsze, oboje w głębi serca pragnęliśmy kogoś bliskiego, kto tak jak my za cel swego życia miałby zmienianie świata na lepsze. Jak to mówi Rabia, jesteśmy na tej ziemi nie tylko po to, by jeść, spać i konsumować. Bóg wybrał nas po coś więcej niż te przyziemne życie. Całe nasze życie nie dzieje się bez przyczyny, wszystko ma swój wyznaczony cel. Oboje uważamy, że Bóg uczynił nam wspaniały prezent dając nam siebie

nawzajem. „Darem od Boga” – tak nazywamy siebie nawzajem w chwilach uniesienia. Mamy też świadomość by nie zmarnować tego daru musimy pozostać dobrzy i aktywni, musimy pielęgnować zawsze naszą miłość do siebie, do Boga, do ludzi. Bo miłość to moc przeogromna, bardzo potrzebna w dzisiejszych czasach pieniądza i nienawiści. Dlatego jest bardzo ważne, by utrzymywać ją w nieskazitelnej czystości, nie dać jej skazić przez złe czyny, niepotrzebne kłótnie, zazdrość, chciwość i inne grzechy. Tak wielu ludzi wypowiada słowo „kocham” nie mając świadomości jak wiele ono oznacza. Nie zapominajmy, że miłość to dawanie drugiej osobie szczęścia, to kochanie jej bardziej niż siebie samego, to zapominanie o swoim ego, to oddanie swego życia ukochanej osobie. To właśnie przez miłość możemy budować niebo w tym nowoczesnym piekle. Taka jest chyba nasza misja życiowa – moja i Rabii, by przez piękny przykład, jak miłość powinna wyglądać, jak kwitnąć, jak emanować, uczyć innych tego pięknego uczucia. Właśnie poprzez nasze życie możemy uczyć innych miłości. Właśnie przez nasze życie możemy pokazywać, że tylko przez staranie się być dobrym możemy osiągnąć prawdziwe szczęście i prawdziwą radość życia, której nie zastąpi nam żadna heroina, crack, telewizor, samochód, alkohol, władza, czy inne śmieci, którymi ludzie zwykli się faszcerować by wypełnić tę pustkę w sobie po braku miłości.

Po tym wszystkim, co przeszedłem w życiu, co się wycierpiałem, czego życie mnie nauczyło, Bóg nie mógł dać mi lepszego prezentu niż Rabię – moją ukochaną Health(zdrowie)-aktywistkę. Dar od Boga, Moje Szczęście, Bogini Miłości, Wspaniała Ukochana, Miłość mego życia, Me niebo, najpiękniejsza, Mój cud to jedne z wielu pięknych przydomków, jakimi darzę ją niemal każdego dnia. Nawet te słowa nie wyrażają ani jednej setnej tego, co do niej czuję. To wspaniale jest mieć u boku kogoś, kto tak jak Ty uważa, że trzeba uczynić tak wiele jak tylko możemy by uczynić ten świat choć odrobinę lepszym. Przez to nasze wspaniałe połączenie, nasza moc i siła jest dużo większa. Razem możemy dużo więcej. Poprzez tak wielką moc, jaką jest miłość, nasze wartości nie tylko się dodają do siebie. Nawet mnożą to za mało powiedziane. One się potęgują i tylko patrzeć jak będziemy przenosić góry. Zmieniać świat na lepsze, to jest właśnie to o czym oboje marzymy i w czym się wspieramy.

Rabia jest także wspaniałym aniołem, jeśli chodzi o moją rodzinę i dom. To wspaniale, że ukochała Neę jak własną córkę i troszczy się o nasze zdrowie i dobro jak o swoje. To bardzo ważne dla mnie samotnego do niedawna ojca zapewnić córce najlepsze warunki jakie tylko mogą. Nea jest częścią mnie, moją rodzicielską miłością i to ja w połowie z jej mamą Janką jestem odpowiedzialny za jej życie. Nie ma nic ważniejszego w wychowaniu dziecka niż atmosfera miłości, którą oboje z Rabią (dzięki Bogu i jej) staramy się dać Nei. Bardzo się cieszę też, że Nea zaakceptowała swoją drugą „przyrodnią mamę” i mam nadzieję, że kocha ją z równą wzajemnością. To bardzo ważne w życiu dziecka by dać mu to, co najlepsze. To nie jej wina przecież, że jej rodzice się rozeszli. Myślę, że Nea jest dużo bardziej szczęśliwa, gdy jej tato żyje w szczęściu, a nie jest pogrążony w nieskończonym żalu. Dla dobra dziecka jest ważne wychowywać go w duchu miłości, dać mu przykład kochającej rodziny by kiedyś, w przyszłości, umiało założyć swoją rodzinę i jeśli coś nie jest idealne jest ważne, by robić wszystko, by uczynić to jak najbliższe ideału (niczym anarchiści walczący krok po kroku o raj na Ziemi).

To wspaniale też, że strony Rabii, że odświeżyła powiedzenie mojego Taty: „Na jedzeniu i zdrowiu nie powinniśmy oszczędzać”. To ona mnie uświadomiła, że kupowanie tylko niektórych biologicznych produktów dla Nei nie wystarczy, że jeśli naprawdę ją kocham nie mogę więcej jej faszcerować tanią chemią serwowaną w supermarketach. Uświadomiła mnie, że powolne zatrucie ludzi niezdrową żywnością jest kolejnym ze sposobów, w jaki system próbuje uniezależnić, w jaki próbuje osłabić nasze ciała i zatruć nasze umysły byśmy grzecznie pozostali w swych domach, posłusznie wykonywali pracę i nie walczyli o lepszy świat, o Dobro dla wszystkich.

Komu może zależeć by wybielać cukier, ładować w to energię fabryk po to tylko, by uczynić go białym, czystym i niezdrowym? Dlaczego mimo tego, że włożono w niego o tyle więcej pracy by go wybielić, to nadal jest wiele tańszy niż ten nie oczyszczony lecz zdrowszy. Komu zależy by

ludzie biedniejsi się truli? Dlaczego rządy dotują tak bardzo przemysł mięsny mimo, że ani ze zdrowego, ani ekologicznego, ani też ekonomicznego punktu widzenia się to nie opłaca? (O moralnym, etycznym względzie by uratować głodujących ludzi od śmierci i niewinne zwierzęta od rzeźni wspominam w „Makulatureczce” nr 10).

W zdrowym ciele zdrowy duch – to właśnie czego boją się i czego starają się uniknąć nowoczesne rządy.

Dlatego by uczynić nasz bunt jeszcze bardziej mocnym i świadomym zdecydowaliśmy się odciąć od tych wszystkich „E-numerów” na jedzeniu, od tej chemii i wszystkiego, co nas zatrzuwa.

Kochana Rabia uświadomiła mnie też, by być dobrym uzdrowicielem trzeba przede wszystkim samemu być zdrowym. Tylko wtedy, nie będąc hipokrytą, możemy przekazywać tę zdrową czystą energię, za którą stoi leczenie. Chodzi też o to, by wszystko, co się robi, starać się robić jak najlepiej. Jeśli chcemy jak najlepiej żyć, należy się wyzbycь wszystkiego, co nas zatrzuwa: chemicznego jedzenia, mięsa, alkoholu, używek, narkotyków i wszystkiego, co złe. Nie potrzebujemy wrzucać w siebie całego zła, które za tym stoi. **MY WALCZYMY O DOBRO.**

Dlatego też jako równie ważny krok do osiągnięcia szczęścia uważamy wyzbycie się w jak największym stopniu również wszystkich złych emocji. Gdy się złościmy na kogoś, ten gniew, to zło zawsze do nas wraca i powoli zjada nas od środka, uzależnia nas od siebie, buduje w nas frustrację, która narasta, nie daje nam spać aż w końcu rządzi naszym życiem. Gdy jesteśmy źli na kogoś nie nauczymy go w ten sposób niczego dobrego. Wszystko do nas wraca. Dajemy co otrzymujemy. Dostajemy, co daliśmy – odwieczne prawa kosmosu. Dlatego Jezus tak bardzo chciał nauczyć nas miłości, sztuki wybaczenia. Nawet gdy się buntujemy, gdy walczymy o nasze prawa miłujmy naszych wrogów, bo jeśli będziemy ich nienawidzić to czego mają się od nas nauczyć – nienawiści? Tym, co źle czynią należy jedynie współczuć, że nie mają w sobie tej miłości, tego dobra, że to przez tę pustkę, przez ten brak miłości starają się jakoś tę lukę wypełnić. To dlatego tak często piją, ćpają, gromadzą pieniądze i dobra materialne. Wydaje im się, że kupią tym szczęście. Niestety złudni to bożkowie, bo nic za nimi nie stoi, a tylko zło, frustracja, cierpienie, łzy, obojętność na głód w trzecim świecie, śmierć zwierząt, deportacje i cały ten Babilon. Czy o to w życiu chodzi by hołdować kultowi gromadzenia pieniądza? My już wiemy, że te rzeczy dadzą nam tylko frustrację.

Prawdziwe szczęście tkwi w miłości i czynieniu dobra. Współczucie dla tych, co tego nie rozumieją, bo każdy z nich ma sumienie, które mogą oszukiwać lecz wierzcie mi przyjdzie chwila, gdy spojrzą na swoje życie i wówczas zapłaczą oraz gorzko pożałują swej chciwości, obojętności i zła jakie wyrządzili.

To miłość do Rabii i jej do mnie pozwala nam osiągnąć tę świadomość, przelewać ją na papier, mieć energię na czynienie dobra i osiągnąć prawdziwe szczęście.

Bo to szczęście zamiast do pracy jechać razem na akcje w obronie lasów, dobra dzieci, ludzi, w proteście przeciwko armiom tego świata. To szczęście nic sobie nie robić z tego, że nas zaaresztują, bo i tak mamy coś, czego oni nie mają. **MAMY MIŁOŚĆ, KTÓRA PRZEWYCIĘŻY WSZYSTKO, NIENAWIŚĆ JEST OSTATECZNYM UPADKIEM** (jeszcze raz Włochaty).

A gdy nas zamkniecie nie będziemy słabi, nie będziemy płakać, ani się złościć. Areszt to wspaniały czas na medytację, na modlitwę nawet o wybaczenie dla naszych oprawców, bo nie wiedzą, co czynią. Największe zło jakie wyrządzają czynią sobie samym.

Mogą zamknąć nasze ciała, ale nie zamkną naszego ducha, naszej miłości, gdy jesteśmy prawdziwie wyzwoleni.

Wolność, równość, miłość, (=) anarchia, przyjaźń, rodzina, skłoting, punk, prawa zwierząt, prawa ludzi, ekologia, jedzenie zamiast bomb, pokój, tolerancja, przygoda, prawda, wegetarianizm jako sposób na nakarmienie głodnych w trzecim świecie, ocalenie zwierząt, planety oraz siebie, duchowość, wiara w Boga(lub jak kto woli w Dobro), indywidualizm, DOBRO, (=) SZCZĘŚCIE, rozwój, nadzieja, wytrwałość...

...Tymi i nie tylko tymi wartościami i ideami pragnę się podzielić z Wami. Chciałbym by ta książka była jednym ze sposobów na osiągnięcie lepszego świata dla Was, dla naszych dzieci, dla Nas, Dla wszystkich. Do Was należy następny krok. Powodzenia !!!

<http://positi.blogspot.com>- na tych stronach możesz przeczytać także fragmenty następnej książki Marka Griksa "Szczęśliwe Życie Aktywisty". Fragmenty książki są też dostępne w anarchistycznej księgarni Fort Van Sjakoo na ulicy Jodenbreestraat 24 w Amsterdamie(wraz z innymi polskimi wydawnictwami i gazetami).

Zapraszamy także to oglądania filmów naszego kolektywu Spirit Of Squatters

(<http://www.youtube.com/user/spiritofsquatters>) , a także do słuchania naszej audycji "Polonia Aktywna" w pirackim radiu Patapoe (info na stronach)